

PO UJAWNIENIU NAGRAŃ ROZMOWY

Afera wokół Komisji Nadzoru Finansowego
- kto poniesie odpowiedzialność?

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 6,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 47/299 19-25 LISTOPADA 2018

Ziemkiewicz chwali
narodowców

ODSZEDŁ STAN LEE
NIEZWYKŁE
ŻYCIE KRÓLA
KOMIKSÓW



Pałac Saski czas odbudować

BOŻE, CHROŃ NAS PRZED TUSKIEM

Jak wyglądałaby Polska pod rządami
Platformy – raport „Do Rzeczy”



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 80 tys. egzemplarzy

RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.



ORLEN



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tak się rodzi faszyzm

W nieodległej przeszłości, u schyłku minionego wieku, nazwisko Madeleine Albright znaczyło naprawdę dużo. Pierwsza kobieta sekretarz stanu w dyplomacji amerykańskiej, wcześniej ambasador USA przy ONZ, do tej pory pozostaje jednym z najważniejszych komentatorów i analityków sytuacji międzynarodowej. Kiedy zatem sięgnąłem do numeru tygodnika „Polityka”, w którym to ukazał się wywiad z amerykańską polityk, jaki przeprowadził Jacek Żakowski, mogłem się spodziewać prawdziwej uczty intelektualnej. Niestety, jak to często bywa, musiałem obejść się smakiem. To, co zaszerwował duet Żakowski-Albright, było co najwyżej mdłą i postną polewką.

Powodem rozmowy jest wydana przez panią Albright książka pod dość alarmującym tytułem, „Faszyzm. Ostrzeżenie”. Wreszcie, pomyślałem, dowiem się z pierwszej ręki, na czym to rzekome zagrożenie polega, jakie są jego oznaki i powody do obaw. I co? I nic. Czytam wprawdzie, że amerykańska polityk „badała historię faszyzmu” i że „wiele z tego, co teraz obserwuje, przypomina to, co działo się 90 lat temu”, jednak w żaden sposób nie potrafi swoich sądów uzasadnić. Jako bowiem

człowiekowi dość nieufnemu nie wystarczy mi powiedzieć, że ktoś coś badał i mam mu wierzyć na słowo. Nie, to stanowczo za mało. Domagam się faktów i jeszcze raz faktów. A tych nie ma.

Stwierdza choćby była sekretarz stanu, że „wielu ludzi gotowych jest zaufać tym politykom, którzy z dużą pewnością siebie oferują proste, zrozumiałe recepty i obiecują jakąś świetlaną przyszłość tym, którzy im dadzą władzę – tak jak to robili Mussolini i Hitler”, a ja się zastanawiam, kogo ma na myśli. Emmanuela Macrona, który wyskoczył niczym filip z konopi i zaoferował tak proste recepty, że aż wygrał ze znacznie bardziej doświadczonymi politykami? A może Justina Trudeau z Kanady, specjalistę od „świetlanych wizji”? To, że politycy składają obietnice i obiecują ludziom lepsze życie, jest zresztą rzeczą powszechnie znaną. Tylko jak to się ma do faszyzmu? W jaki sposób można wymienić jednym tchem, jak to robi pani Albright, Turcję, Węgry, Polskę („choć w pewnym stopniu”), Filipiny i Brazylię, twierdząc, że mamy do czynienia z powtórką sprzed 90 lat?

Jak widać, można, bo – rzekła Albright – „w odróżnieniu np. od

komunizmu faszyzm jest zawsze lokalny i nie jest ideologią. Faszyzm to proces zdobywania autorytarnej władzy”. Jeśli faszyzm to nie ideologia, nie jest uniwersalny i jest lokalny, to o co tu w ogóle chodzi? Cóż to za dziwny twór? I co sprawia, że można to coś nazywać jednym, skoro jest tak wieloraki?

Na szczęście amerykańska polityk po długich zmaganiach sama ze sobą wreszcie mówi coś, co można by od biedy uznać za cechę charakterystyczną faszyzmu. „Atak na wolne media jest ważnym symptomem idącego po władzę faszyzmu. Nie każdy atak na media prowadzi do faszyzmu, ale każdy rodzący się faszyzm atakuje media, bo każdy faszysta chce niepodzielnie rządzić umysłami ludzi”. Wprawdzie z logicznego punktu widzenia twierdzenie to zdaje się stać w sprzeczności z tezą, że „faszyzm to nie ideologia”, bo jako żywo amerykańska polityk właśnie jako do ideologii do faszyzmu się odwołuje. Ale niech tam, nie będę się czepiać.

Ważniejsze jest coś innego: przecież w oczywisty sposób to nie żadni faszyści, ale lewicowi liberałowie od lat zdominowali media. To lewicowo-liberalne media działają niczym walec, narzucając jednolity przekaz i „chcąc niepodzielnie rządzić umysłami ludzi”, wspierając kampanie LGBT, liberalizację aborcji czy napływ muzułmańskich imigrantów. Co więcej, to obecne lewicowo-liberalne rządy, wprowadzając ustawy o walce z mową nienawiści, próbują dominację wspierających je mediów zalegalizować i uniemożliwić inny, konkurencyjny przekaz. Toż to właśnie byłby faszyzm!

Wiem, wiem, nie na tyle jestem naiwny, żeby wierzyć, że tu chodzi o argumenty. Cała ta pseudokonstrukcja intelektualna – faszyzm nadchodzi – służy nie opisowi rzeczywistości, lecz przypinaniu łątek tym, których się nie lubi, i mobilizacji strachem swoich.

Czyli nic nowego pod słońcem.

RYSUNEK TYGODNIA

A rodzice mówili, synku, nie idź do bankowości!





TEMAT TYGODNIA

20 WOJCIECH WYBRANOWSKI

POLSKA PLATFORMY

Co, jeśli dzisiejsza opozycja spełni obietnice

24 PIOTR WŁOCZYK

TĘCZOWY PIĄTEK CODZIENNIE

26 PIOTR SEMKA

NOWE SZATY KRÓLA OPOZYCJI

KRAJ

30 STEFAN SĘKOWSKI

WIELKA AFERA W KNF

Nagrania Czarneckiego

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KIEDY DMOWSKI MASZERUJE

38 ŁUKASZ WARZECHA

PAŁACOWA PROWIZORKA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ZGŁOŚ SIĘ DO SZNUKA, MĄDRALO

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK

ZBRODNIE J.K. ROWLING

Powrót do Hogwartu

48 JOANNA BOJAŃCZYK

LOS AWANGARDY

50 PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

UDAJĄC GREKA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

KAPŁAŃSKA ZBRODNIA I KARA

Książka „Miłosierdzie” Jeana Raspaila

60 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM

NIE DAMY PRZEJĄĆ MARSZU

HISTORIA



62 ŁUKASZ CZARNECKI

WŁADCA WYOBRAŹNI

Stan Lee, 1922–2018

66 SEBASTIAN LIGARSKI, GRZEGORZ MAJCHRZAK

OBCHODY POD OKIEM SB

ŚWIAT

70 KRZYSZTOF TYSZKA-DROZDOWSKI

ISLAMSKIE LOBBY

Jak muzułmanie podbijają świat

74 JACEK PRZYBYLSKI

WIELKI CZERWONY BRAT

EKONOMIA

80 MARIA KĄDZIELSKA

GOSPODARCZA

ZIMNA WOJNA?

Czego wystraszyły się Stany Zjednoczone

82 ŁUKASZ ZBORALSKI

POLSKIE PO RAZ TRZECI

SPORT

87 ŁUKASZ ZBORALSKI

ISIA JUŻ NA EMERYTURZE

Najlepsza polska tenisistka zakończyła karierę

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

NIE TYLKO ODRA

Niebezpieczne wirusy wracają

Wczesne wykrycie to życie

Z **prof. Adamem Maciejczykiem**, prezesem Polskiego Towarzystwa Onkologicznego, rozmawia **Katarzyna Pinkosz**

W Polsce nowotwory u pacjentów są rozpoznawane później niż w krajach zachodnich. Dlaczego? Boimy się badać?

Rzeczywiście, z danych NFZ wynika, że zbyt mało osób zgłasza się do programów przesiewowych. Na badania cytologiczne w celu wykrycia raka szyjki macicy zgłasza się jedynie 17,34 proc. kobiet kwalifikujących się do tych badań. W przypadku mammografii sytuacja wygląda nieco lepiej, ale wciąż jest daleka od ideału. Na te badania zgłosiło się tylko 38,38 proc. kobiet. Te wyniki jasno pokazują, jak wiele jest jeszcze do zrobienia.

Nie korzystając z badań profilaktycznych, możemy nie wykryć wystarczająco wcześnie choroby i zapłacić za to najwyższą cenę

Wciąż pokutuje pogląd, że „lepiej nie wiedzieć”. Jak przekonać nieprzekonanych, że warto korzystać z badań profilaktycznych i chodzić do lekarza?

Rak jest wciąż uważany za chorobę oporną na działania człowieka i kapryśną, a więc niezrozumiałą. Zazwyczaj boimy się tego, czego nie znamy i nie rozumiemy. Dlatego w społeczeństwie powstało wiele stereotypów. Ponadto choroba nowotworowa budzi lęk. Nowotwór jest dla chorego i jego rodziny trudnym doświadczeniem, wpływa na życie osobiste i zawodowe, jest czymś, o czym ciężko nam rozmawiać. W obliczu tego społecznego lęku najlepiej, co możemy zrobić, to oswoić chorobę nowotworową. A to możemy osiągnąć przez nieustanną edukację.

Nowotwór wcześniej wykryty zwiększa szansę na wyleczenie i kolejne lata życia w zdrowiu. Jeśli podejmujemy ryzyko i się nie badamy, możemy nie wykryć wystarczająco wcześnie choroby i zapłacić za to najwyższą cenę.

Jakie objawy alarmowe powinny skłonić do pójścia do lekarza?

Jest ich wiele. Najczęściej są związane z lokalizacją zmian. W przypadku nowotworu piersi to guzki, nietypowe zmiany, płuca – przewlekły kaszel, duszność, guza mózgu – bóle głowy, wymioty, czerniaka – zmiany na skórze o nieregularnym kształcie. Czasem występują jedynie objawy uogólnione, na przykład nagły, nieuzasadniony spadek wagi ciała, który również wymaga diagnostyki w kierunku choroby nowotworowej. Każde niepokojące zmiany w codziennym funkcjonowaniu naszego organizmu, mogące stanowić potencjalne objawy choroby nowotworowej, powinien zweryfikować lekarz.

Trzeba się stale obserwować, ponieważ to pacjent najlepiej zna swój organizm. Jeżeli zauważymy, że coś się zmieniło, należy skonsultować to z lekarzem rodzinnym, który zweryfikuje nasze obawy.

We wczesnych stadiach choroby nowotwór jest jednak bezobjawowy i może być wykryty wyłącznie za pomocą badania specjalistycznego. W przypadku nowotworu piersi jest to mammografia i USG, szyjki macicy – cytologia, jelita grubego – kolonoskopia. Dlatego też konieczne należy się zgłaszać na badania profilaktyczne i przesiewowe.

Często bagatelizujemy niepokojące objawy, czekamy, aż same przejdą. Nie chcemy zawracać głowę lekarzowi. Czy słusznie?



Pamiętaj o badaniach przesiewowych:

Kolonoskopia: po 50. roku życia (osoby z czynnikami ryzyka – wcześniej).

Cytologia: kobiety w wieku 25-59 lat co trzy lata (częściej – w przypadku wskazań ginekologa).

Mammografia: kobiety w wieku 50-69 lat co dwa lata (młodsze oraz starsze – według wskazań ginekologa).

UWAGA: badania przesiewowe są bezpłatne, można się na nie zgłosić bez skierowania. Raz w roku warto wykonać morfologię (konieczne jest skierowanie od lekarza pierwszego kontaktu).

Nie. Warto obserwować własny organizm, chodzić na badania profilaktyczne, dopytywać lekarza o niepokojące objawy. Lepiej być bardziej dociekliwym czy nawet nadgorliwym, niż nie mówić o swoich niepokojach. Ważne jest to, żeby nie szukać diagnoz w internecie, tylko zbadać się i iść do lekarza. Na szczęście od wielu lat dostępne są wykazy podstawowych badań profilaktycznych, które powinniśmy wykonać po ukończeniu danego roku życia. Powinniśmy też pamiętać, że mamy prawo do tych badań w swoich jednostkach opieki zdrowotnej, gdyż te badania są refundowane przez NFZ.

Drodzy Czytelnicy!

Dziś bijemy się w pierś, w ostatnim dodatku o polskich wynalazkach pominęliśmy bowiem ważną postać, na co zwraca nam uwagę dr Paweł Tomaszewski z Państwowej Akademii Nauk. Inny czytelnik poleca niemieckiej Polonii pewną wystawę. E-maile prosimy przysyłać na adres: listy@dorzeczy.pl.

Profesor Jan Czochralski

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem dodatek specjalny o najważniejszych osiągnięciach ostatniego stulecia – „Polskie wynalazki i hity eksportowe”. Z żalem zauważyłem brak w tym tekście wspomnienia o prof. Janie Czochrańskim (1885–1953), który – nie tylko moim zdaniem – powinien się tam znaleźć. Rozumiem, że autorzy mieli trudny wybór, ale pominiecie jednego z trzech największych polskich uczonych-praktyków uważam za poważny błąd. Ojciec naszej cywilizacji elektronicznej (to powinno wystarczyć!) powinien być pokazany choćby z dwóch powodów: odkrycia

Stało się to, co zdaje się niejako dalszym ciągiem ponad 60-letniego urzędowego zapomnienia, jakiego doświadczał Czochrański.

Jako biograf profesora i autor wielu o nim opracowań chciałbym Państwu zaproponować włączenie Jana Czochrańskiego do listy osób, o których filmy są zamieszczane jako dodatki w „Do Rzeczy”. A jest już taki dokument o Janie Czochrańskim pt. „Powrót chemika” w reż. Anny Laszczki. Jest to 60-minutowy dokument z 2014 r. [...] Myślę, że byłoby to cenne uzupełnienie wspomnianej listy polskich osiągnięć i rodzaj zadośćuczynienia za brak nazwiska na liście uczonych i wynalazców.

Łączę wyrazy szacunku

Paweł Tomaszewski

Wystawa we Freiburgu

Szanowni Państwo, jako stały czytelnik Waszego pisma (w każdą sobotę przyjeżdża do Freiburga transporter z polskimi gazetami) z przyjemnością informuję, że z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości odbywa się we Freiburgu (Niemcy)

w galerii Marka Krawlewskiego znakomita wystawa wybitnego polskiego artysty, byłego profesora ASP w Warszawie, współtwórcy galerii Foksal, prof. Zbigniewa Gostomskiego.

Z pozdrowieniami i szacunkiem

Tomasz Zięta

Magierowski promuje Polskę

Szanowni Państwo, dobrze, że zauważyliście w ostatnim numerze „Do Rzeczy” (46/2018) to, co zrobił dla promocji Polski pan

Marek Magierowski. Ten krótki spot, nagrany na luzie, bez niepotrzebnego, a tak częstego w wyrażaniu polskiego patriotyzmu zadęcia, zrobił więcej niż instytucje do tego powołane, konsumujące miliony złotych. Brawo, panie Marku! Takich akcji Polsce trzeba!

Stały czytelnik



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoi, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cencikiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela), Krzysztof Czański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memhes, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójcik, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotografia: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto**
Okładka: **Michał Dyjuk/Forum; Adobe Stock; montaż: 12 kredek/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pismo sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pismo, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pismo:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



metody otrzymywania monokryształów (w tym krzemu, bez którego nie byłoby dzisiejszej cywilizacji!) i metalu kolejowego, wykorzystywanego przez dziesięciolecia przez koleje Europy i Ameryki. Mamy więc dwie daty do pokazanego kalendarium: 1916–1918 dla „metody Czochrańskiego” i 1924 dla „metal B”

foto Jacek Korczak Piotr Wleczorek



TORII
264949 • 890 zł



ROAMER
199985 • 1790 zł



CITIZEN
244146 • 2290 zł



HUGO BOSS
260583 • 1480 zł



LEE COOPER
257346 • 390 zł





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sąsiadologia stosowana

Pięć lokomotyw i dyrygent ubrany we frak na torach zwrotnicy kolejowej. Na znak mistrza maszyniści niezwykle sprawnie wygrywają sygnałami kolejowymi polski hymn narodowy. Dopiero po chwili flagi polskie i litewskie na kokpitach kabin maszynistów zdradzają, że rzecz dzieje się na Litwie. Ten klip zrobił furorę w Internecie i okazał się podarkiem kolei litewskich dla Polski z okazji setnej rocznicy odzyskania niepodległości.

W przededniu 11 listopada w Wilnie oświetlono na biało-czerwono trzy kamienne krzyże, które górują nad miastem, stojąc na wzniesieniu zwanym Górą Trzykrzyską. Tego samego dnia biało-czerwonym światłem został oświetlony nowoczesny most Mendoga. Tylko ktoś, kto zna wyczulenie Litwinów w sprawie litewskości Wilna, wie, jak daleko idący jest to gest. Tego samego 10 listopada w twierdzy kijowskiej Polacy, ale i Ukraińcy razem ułożyli z tysięcy zniczy polskiego orła. W Warszawie ambasada ukraińska oświetliła się na biało-czerwono. Czy ktoś pamięta jakiś polski klip

dla Ukraińców z okazji stulecia pierwszego ogłoszenia ich niepodległości w styczniu 1918 r.? A klip dla Litwinów z okazji ich Deklaracji niepodległości w stulecie w lutym 2018 r.? Ba, kto w Polsce wie, kiedy Ukraińcy i Litwini mieli taką datę?

Piszę to wszystko, by przypomnieć, że w międzynarodowych relacjach z sąsiadami niekiedy – nie zawsze – warto kierować się takimi zasadami jak w normalnym, sąsiedzkim życiu. Chodzi o cierpliwość, zimną krew i unikanie generalizacji. Mówienia „wszyscy Litwini” czy „wszyscy Ukraińcy” są tacy czy owacy. Owszem, bywają szowiniści i ludzie zacierzwieni. Jednak bywają też tacy, którzy – często cicho i bez rozgłosu – działają na rzecz łagodzenia nieporozumień, za co obrywają jeszcze od swoich. Owszem, bywają na Litwie i na Ukrainie szowiniści i ludzie żyjący z antypolonizmu. Jednak są i ludzie szukający dialogu.

Skończmy zaczął od klipu, to na nim skończmy. Nasz były redakcyjny kolega Marek Magierowski, dziś ambasador RP w Tel Awiwie, postanowił zainteresować Izraelczyków naszą setną rocznicą, przypomina-

jąc im, że polskimi wynalazkami są spinacz i wycieraczki samochodowe. Klip nie operuje wielkimi zakłęciami. Pokazuje Polskę od innej strony. Nie zaczyna dyskursu z Żydami od oceny Jana Tomasza Grossa czy skali win żydowskich za zbrodnie UB. Żmudnie buduje pozytywne skojarzenia pół roku po wielkiej burzy po ustawie o IPN. Unik czy mądrość?

Wiem, że na prawicy takie małe kroki budzą często niezrozumienie czy lekceważenie. Wiem, że często lewicowcy chcieliby, by nasz dialog historyczny z sąsiadami odbywał się wyłącznie w takim „postheroicznym” stylu. Jednak prawdą jest też, że na prawicy zbyt mało się ceni takie małe kroki i zbyt mało docenia się je, gdy przychodzą z tamtej strony. Tak jakby nasze ustępstwa były wielkim poświęceniem, a gesty z Wilna czy Kijowa czymś, co nam się po prostu należy.

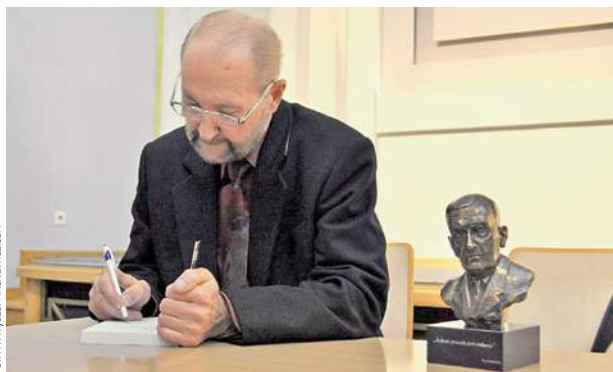
Litewski klip z parowozami czy orzeł ze świeczek w kijowskiej twierdzy pokazują, że można inaczej. Lekko, bez zadęcia i nabzdyczenia. Czas pokaże, czy skutecznie. © ©

NAJLEPSZA FOTOGRAFIA POGODOWA ROKU

Stephen Cheatley, który uchwycił moment uderzenia pioruna w angielskim Blackpool, zwyciężył w międzynarodowym konkursie organizowanym przez Królewskie Towarzystwo Meteorologiczne we współpracy z AccuWeather. Do konkursu zgłoszono ponad 4 tys. fotografii z całego świata. Nagrodzone zostały m.in. zdjęcia podwójnej tęczy nad Wielkim Kanionem, a także wyprawy górskiej w Alpach Francuskich. (jap) © ©



FOT. RMETSA/COURTNEY/REV/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS



FOT. WWW.JOZEFACKIEWICZ.COM

Nagroda im. Józefa Mackiewicza dla Wiesława Helaka

Tegorocznym laureatem Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza został Wiesław Helak za wydaną przez Arcana powieść „Nad Zbruczem”. Ponadto jury nagrody przyznało dwa wyróżnienia: Marianowi Sworzeniowi za „Czarną ikonę. Biełomor. Kanał Białomorski. Dzieje, ludzie, słowa” (wyd. Sic!) i Piotrowi Zarembie za „Zgłiszcz” (Zysk i S-ka).

– Powieść Wiesława Helaka zaskoczyła nas i zachwyciła jednocześnie – powiedział w laudacji wygłoszonej na uroczystości wręczenia nagród przewodniczący kapituły nagrody prof. Maciej Urbanowski. – Wiesław Helak stworzył w niej rodzaj dramatycznego ciągu dalszego „Nie-Boskiej ko-

medii”, arcydzieła Zygmunta Krasińskiego, i wielkiego dzieła Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem”, do którego nawiązał nie tylko tytułem swojej książki.

Laureat w podziękowaniu przywołał postać swojego dziadka Józefa Sende-ry, uczestnika wojny w roku 1920, od którego poza opowieściami, które wykrzesał w „Nad Zbruczem” i we wcześniejszych swoich książkach, otrzymał kompas z orłem w koronie i życzeniem, by był mu pomocny, wskazując właściwą drogę. Podziękował też wygnanym z Kresów rodzicom za wychowanie w duchu chrześcijańskim, bo to właściwie dla nich ta nagroda – powiedział – „a ja tylko odbieram ją w ich imieniu”. (km) ©©

KSIAŻKA STULECIA TRÓJKI

„Solaris” Stanisława Lema, według słuchaczy radiowej Trójki, to najważniejsze dzieło polskiej literatury wydane po 1918 r.

W zorganizowanym przez rozgłośnię plebiscycie „100 książek na stulecie niepodległości” oddano ponad 21 tys. głosów. W pierwszej dziesiątce najważniejszych dzieł minionego stulecia znalazły się także:

„Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, „Ferdynand” Witolda Gombrowicza, „Sklep cynamonowy” Brunona Schulza, „Pan Cogito” Zbigniewa Herberta, „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, „Wiersze” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, „Tango” Sławomira Mrożka, „Medaliony” Zofii Nałkowskiej oraz „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej. (amp) ©©

XXVII Targi Książki Historycznej

29 listopada–2 grudnia 2018 r.,
Zamek Królewski – Muzeum, Arkady Kubickiego

Oficjalna inauguracja TKH nastąpi o godz. 12 w czwartek (29 listopada) w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego.

LICZBA STOISK: 121

LICZBA WYDAWNICTW: ponad 200 (wydawnictwa indywidualne, IX Salon Książki Muzealnej, Salon Książki Ukrainskiej, Białoruski Dom – Salon Książki Białoruskiej, Salon Książki Instytutu Pamięci Narodowej).

WYDARZENIA: ponad 200 spotkań, debat, konferencji, pokazów filmowych i koncertów, w tym m.in.:

- Zabawy edukacyjne dla dzieci i młodzieży organizowane przez Instytut Pamięci Narodowej, Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zabytków i Instytut Książki w pałacu Pod Blachą w piątek, sobotę i niedzielę.
- Film dokumentalny „Niemieckie życie. Byłam sekretarką Goebbelsa”. Wprowadzenie: prof. Eugeniusz Cezary Król.
- Panel dyskusyjny o serii wydawniczej IH PAN „Meta-morfozy Społeczne”. Uczestnicy: Andrzej Chwalba, Jerzy Z. Pająk, Janusz Żarnowski i Włodzimierz Mędrzecki.
- „Debata 100 lat niepodległości. Wielkie biografie, wielkich ludzi” – prowadzenie Krzysztof Cieślak.
- Elżbieta Cherezińska „Płomienna korona” – spotkanie autorskie w Sali Koncertowej w sobotę.
- Dyskusja na temat albumu „100 lat niepodległej Polski” w sali kinowej w sobotę – wydawnictwo Bosz.
- „100 lat nadania kobietom praw wyborczych” – debata Instytutu Książki w niedzielę.
- Konferencja w niedzielę „Czy w PRL można było uczciwie pisać o historii najnowszej?”. Dyskusja o wznowieniu książki Adama Borkiewicza „Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej”.
- „Polacy, Żydzi – Holokaust, komunizm” – dyskusja na temat nowej książki Piotra Zychowicza „Żydzi 2”. Udział wezmą: Piotr Zychowicz, Paweł Lisicki i Rafał Ziemkiewicz – spotkanie w niedzielę w Sali Koncertowej.
- Spotkanie autorskie z prof. Jackiem Leociakiem, autorem książki „Biografie ulic. O żydowskich ulicach Warszawy: od narodzin po Zagładę” (niedziela).
- Koncert Krzysztofa Iwaneczki, zwycięzcy szóstej edycji „The Voice of Poland” w sobotę w Sali Koncertowej.





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dwa w jednym

Afera KNF to tak naprawdę dwie afery. Pierwsza to podejrzenie próby wymuszenia przez szefa KNF łapówki w kwocie 40 mln zł. Zaszkołdzi to oczywiście PiS, ale nie tak bardzo, jak liczy opozycja. Szef KNF natychmiast stracił stanowisko, oskarżenie oparte jest tylko na słowach Leszka Czarnec-

w w zanadru osiem miesięcy, a wyciągnął dopiero w chwili, gdy gazety ogłosiły już, iż jego bank za łamanie prawa trafi w najbliższych dniach na „czarną listę”.

Afera druga – powiedziałbym, właściwa – to próba przygotowania przez władze przepisów, na mocy których można by bank Czarneckiego upaństwowić „za złotówkę”. Cały problem polega na tym, że społeczeństwo może tu żadnej afery nie zauważyć. Przecież nikt nie chciał majątku Czarneckiego zabrać do prywatnej kieszeni, tylko go „uspołecznic”. Przecież jego właściciel jest typowym przedstawicielem „biznesu”, który wyrósł z wielkiego szabru majątku narodowego po 1989 r., celowo wytworzonego wówczas chaosu prawnego i ubeckich powiazań. PiS śmiało może przedstawić próbę położenia ręki na banku jako próbę jego „odzyskania”, realizacji nadrzędnej idei sprawiedliwości społecznej, według leninowskiej

zasady „grab nagrabljennoje”. Cóż, nie dawało się dziejowej sprawiedliwości wprowadzić legalnie, bo „imposybilizm”, bo „kasta” w sądach itd... No to posłaliśmy trochę po bandzie, ale w dobrej wierze.

Tak opowiedziana historia „bank za złotówkę” zapewne nie tylko władzy nie zaszkodzi, lecz także przyniesie jej premię za to, że coś się stara zrobić. A że nie dbając o prawo i zasady? A kto w Polsce dba?! Sytuacja analogiczna do wyrozumiałości wyborców dla prawomocnie skazanej prezydent Zdanowskiej, i tylko czekać, jak opozycja gładko wejdzie w retorykę w tamtej sprawie stosowaną przez PiS.

A w istocie – o ile łapówka, oczywiście, rzecz zła, ale zdarza się wszędzie, o tyle ów drugi, „sanacyjny” pomysł wywłaszczania banków przez KNF powinien społeczeństwo przerazić i oburzyć. Powinien, ale nie sądzę, niestety. ©©

PiS śmiało może przedstawić próbę położenia ręki na banku jako próbę jego „odzyskania”

kiego, postaci, delikatnie mówiąc, szemranej – dziwne jest, dlaczego mając przy sobie dyktafon zabrany specjalnie w celu zdobycia dowodu, nie reagował on ani słowem na to, co, jak dziś twierdzi, szef KNF pisał mu w czasie rozmowy na kartce. I to, że nagrałą taśmę trzymał



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Komedia roku

Dobrze, że w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę poznajemy nieznanych dotąd ojców sukcesu odrodzonej Rzeczypospolitej. Jakże inaczej należy bowiem traktować opublikowany na stronach „Rzeczypospolitej” film „Obywatel G.H. Grzegorz Hajdarowicz z innej strony” o właścicielu Grupy Gremi wydającej „Rz”? Przykra sprawa – film trwa tylko 19 minut, stanowić zbyt krótko, by zmieścić ego i dokonania przedsiębiorcy. Nie tracę nadziei, że obejrzelismy tylko trailer powstającego serialu, który w należyty sposób podkreśli sukcesy Hajdarowicza.

Każdy odcinek mógłby odpowiadać innemu gatunkowi filmowemu. Byłaby więc tragifarsa pokazująca, jak ów biznesmen z sukcesem budował swoje imperium medialne, co skończyło się zamknięciem „Życia Warszawy”, „Przekroju” i tak drastycznym zmniejszeniem sprzedaży „Rz”, że dziś trudno znaleźć ją w kioskach.

Byłby i polityczny thriller, w którym reżyserzy mogliby opowiedzieć o kulisach nocnego spotkania Hajdarowicza z Pawłem Grasiem, rzecznikiem rządu Tuska; spotkania, które ostatecznie zaowocowało polityczną czystką w „Rz”.

Albo dramat o tym, jak usuwał naczelnego i publicystów konserwatywnego „Uważam Rze” i doprowadził do likwidacji niewygodnego dla rządu PO-PSL pisma. Czy może o tym, jak bezwzględnie zwalniano, na jego polecenie, dziennikarzy, edytorów, korektorów przez wiele lat pracujących w „Rz”, dając im kilka minut na spakowanie rzeczy.

Aktuwność „Obywatela G.H.” w kontrolowanych przez niego mediach to niewyczerpane pokłady pomysłów na filmowe arcydzieło. A biorąc pod uwagę jego dokonania, byłaby to wyśmienita komedia. Tyle tylko, że wywołująca śmiech przez łzy. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pyrrusowe zwycięstwo nad fiskalizmem

Niemal rok trzeba było czekać, żeby Trybunał Konstytucyjny wypowiedział się na temat sprawy niezmiernie ważnej dla lepiej zarabiających Polaków i dla przedsiębiorców: skasowania tzw. limitu 30-krotności, uchwalonego przez parlament w grudniu 2017 r. Dotychczas po przekroczeniu określonej sumy przychodów (ok. 133 tys. zł rocznie) nie płacono się składek emerytalnych ani rentowych. Rząd postanowił i tutaj poszukać pieniędzy zgodnie ze swoją zasadą, że trzeba wyciskać z bogatszych ile się da, żeby dopieścić swój żelazny elektorat. Wszyscy bez wyjątku analitycy alarmowali, że to bardzo zła zmiana. Co ciekawe, przeciwko była też Solidarność.

Prezydent ustawy nie podpisał – zapewne właśnie ze względu na sprzeciw Solidarności – i skierował ją w styczniu do TK, wykorzystując wątpliwe okoliczności jej uchwalenia przez Senat. TK po raz pierwszy miał się zabrać do sprawy dopiero w lipcu, ale przełożył termin. Później rozprawę jeszcze dwukrotnie odraczano. W końcu w ubiegłym tygodniu zapadł wyrok: uznano, że ustawa naruszyła poprzez sposób jej uchwalenia art. 7 konstytucji, mówiący o tym, że organy państwa działają w granicach prawa. Sprawę rozpatrywał pełen skład TK. Wyrok zapadł większością głosów, a troje

sędziów, powołanych przez PiS, w tym Przyłębska, złożyło zdanie odrębne. Sposób, w jaki PiS potraktował TK, będzie już zawsze rodził podejrzenia, że opinie sędziów z mianowania Prawa i Sprawiedliwości, korzystne dla rządzącego ugrupowania, zapadają z powodów innych niż merytoryczne.

Co to oznacza? Niestety – jedynie pyrrusowe zwycięstwo tych, którzy mieli nadzieję, że trybunał postawi tamę przykręcaniu fiskalnej śruby przez socjalistyczny rząd. Wniosek prezydenta oraz wyrok TK nie dotyczą bowiem samej istoty sprawy, lecz jedynie względów formalnych. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ustawę uchwalić jeszcze raz w sposób niebudzący wątpliwości. To zaś oznacza kolejne miesiące niepewności dla pracowników i firm, które nie mają pojęcia, jakie koszty poniosą.

Raport firmy doradczej KPMG z marca tego roku pokazywał, że większe firmy obawiają się nowych reguł. 33 proc. wszystkich ankietowanych obawiało się, że zniesienie limitu spowoduje odpływ wyżej wykwalifikowanych pracowników za granicę. I tak pewnie będzie, jeśli nowy podatek – bo tak to przecież należy nazwać – jednak wejdzie w życie. Przy czym niektórzy mogą na to nie czekać. Wyemigrują, mając dość nieustannej niepewności finansowej i prawnej. ©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Kto tu jest bolszewikiem?

Zanim ruszyły obchody 100-lecia odzyskania niepodległości, do Polski przyleciał Donald Tusk. Wychwalając przymioty Unii, nie omieszczał przestrzec przed „współczesnymi bolszewikami”. „Pierwszy krok zrobiliśmy w wyborach samorządowych, drugi zrobimy w wyborach do Parlamentu Europejskiego, a na 101 rocznicę odzyskania niepodległości będzie już po bolszewikach” – interpretował słowa byłego partyjnego lidera Sławomir Neumann. „Wyniki wyborów samorządowych obudziły w wielu Polakach nadzieję: wiosna, a potem jesień będzie nasza. 26 maja pogonimy współczesnych bolszewików” – dopowiadał Jan Grabiec.

Swoiste wotum separatum wyraziła Dominika Wielowiejska.

„Nie podoba mi się nazywanie politycznych przeciwników współczesnymi bolszewikami. Sam Donald Tusk kiedyś przestrzegał przed przesadą w opisie rzeczywistości” – przypomniała dziennikarka „GW”. Nie zgodził się z nią jednak redakcyjny kolega. „Tyle że PiS to jest współczesny bolszewizm. 1. Rewolucyjny zapal. 2. Demagogia i media jako narzędzie propagandy. 3. Łamanie zasad państwa prawa. 4. Szczucie jednych ludzi na drugich. 5. Fanatyzm i indoktrynacja. Współczesny oznacza też, że jest inny od bolszewizmu leninowskiego” – orzekł Paweł Wroński.

Podobne debaty mogłyby trwać do wyborów prezydenckich,

gdyby zabawy nie popsuł autor tych słów. „Kiedy powiedziałem, że Polacy dziś też mogą pokonać współczesnych bolszewików, wszyscy uznali, że to było o PiS. Nawet PiS tak pomyślał. A to było o bolszewikach, o nikim innym” – zatweetował szef Rady Europejskiej. Niestety nie wyjaśnił, o kogo w takim razie chodziło. Putin chyba u bram z czerwonym sztandarem?

Generalnie byli politycy PO w swoim stylu uczcili 11 listopada. „Na A2 konwój policyjnych suk sunący na Warszawę. »Mecz«, pomyślałem. Ale nie, to zapewne władza wzmacnia siły na nasze radośnie święto 100-lecia Niepodległości” – zauważył Radosław Sikorski. „Panie Marszałku. Uprzejmie informujemy, że to nie suki, a radiowozy, w których jadą, jak co roku (również kiedy Pan był ministrem), policjanci. Są to właśnie ci ludzie, którzy na co dzień dbają o to, aby było bezpiecznie, aby żył Pan w kraju, gdzie 94 proc. ludzi czuje się bezpiecznie” – odpisała mu polska policja. Zwykle rozmowny Marszałek jednak zamilkł. ©

Brexit coraz bliżej

– Drugiego referendum nie będzie – ogłosiła premier Theresa May. I zapewniła, że osiągnięte przez jej rząd porozumienie z Brukselą zapewnia ludziom „to, na co głosowali”, decydując o wyjściu z UE. Czy na pewno?



Chociaż w rozmowach z Brukselą doszło do przełomu nad Londynem nie rozbłysły fajerwerki. Przeciwnie. Treść liczącego 585 stron dokumentu określającego wszystkie aspekty wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej oraz 15-stronicowej deklaracji politycznej, która w zeszłym tygodniu pierwszy raz została podana do publicznej wiadomości, wzbudziła na Wyspach ogromne kontrowersje i doprowadziła do burzy na szczytach władzy. Żeby wyrazić swój protest przeciw takiemu kształtowi umowy z UE – najważniejszego międzynarodowego porozumienia w powojennej historii Wielkiej Brytanii – rezygnację złożyło już trzech członków gabinetu Theresy May: Dominic Raab, minister ds. brexitu, Esther McVey, minister pracy i emerytur, oraz Jo Johnson, minister transportu. Gabinet opuściła też wiceminister ds. brexitu Suella Braverman.

„Jesteśmy dumnym narodem i jest to decydujący dzień, w którym nasza rola została zredukowana do słuchania reguł ustanowionych przez inne kraje, które pokazały, że nie mają na względzie naszego dobra. Możemy i powinniśmy zrobić coś lepszego niż to. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii zasłużyli na coś lepszego” – napisał na Twitterze Dominic Raab. – Powiedzmy „nie” tej kapitulacji – apelował również były sekretarz ds. brexitu David Davis. Równie ostro warunki porozumienia komentował były szef brytyjskiej dyplomacji. Boris Johnson określił je mianem „całkowicie nieakceptowalnych dla każdego, kto wierzy w demokrację”. I podkreślił, że umowa zmienia Wielką Brytanię w „państwo wasalne” i „kolonię Unii Europejskiej”.

Ujawnienie treści porozumienia doprowadziło również do gwałtownego załamania kursu funta – po przeanalizowaniu dokumentu żaden z polityków nie potrafi bowiem wytłumaczyć inwestorom, w jaki sposób Wielka Brytania miałaby skorzystać na takich warunkach brexitu.

Szefowa brytyjskiego rządu konsekwentnie przekonuje jednak, że wynegocjowała dobre porozumienie. – Moim zadaniem jako premiera jest dostarczenie umowy, która wyraża wolę Brytyjczyków w sprawie końca swobodnego przepływu ludzi, zapewnienia, że nie będziemy przysyłać dużych, corocznych sum do UE, ale jednocześnie chronienia miejsc pracy, bezpieczeństwa i jedności Wielkiej Brytanii – podkreślała May podczas konferencji prasowej.

Według Konrada Szymańskiego, wiceszefa polskiego MSZ, wynegocjowane

FOT. DAN KITWOOD/GETTY IMAGES

porozumienie zagwarantuje ochronę praw polskich obywateli na Wyspach. Wicepremier Beata Szydło podkreślała zaś podczas konferencji prasowej, że „Polska skutecznie wpisała swoje oczekiwania do wytycznych w sprawie brexitu”.

W związku z przełomem w negocjacjach przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk zwołał na 25 listopada nadzwyczajny szczyt przywódców państw członkowskich UE. Jeśli uda się wówczas zaakceptować porozumienie między Londynem a Brukselą, to Wielka Brytania formalnie wyjdzie z Unii Europejskiej już 29 marca 2019 r. Zawarte porozumienie zakłada jednak obowiązywanie do 31 grudnia 2020 r. okresu przejściowego. W tym czasie Wielka Brytania będzie musiała zachować bez zmian prawo obywateli UE do życia i pracy na swoim terenie, przestrzegać orzeczeń unijnych sądów i dokonywać płatności do unijnego budżetu. Jednocześnie Londyn straci prawo głosu i jakikolwiek formalny wpływ na podejmowane w Brukseli decyzje.

Brytyjska premier ma jednak obecnie tytułu przeciwników, że ostatecznie może się okazać, iż nie uda się jej przekonać wystarzającej liczby parlamentarzystów do

przyjęcia na początku grudnia wynegocjowanego porozumienia. Niewykluczone też, że May nie dotrwa nawet do kluczowego głosowania. Jacob Rees-Mogg, lider eurosceptycznej frakcji brytyjskiej Partii Konserwatywnej, domaga się bowiem głosowania nad wotum nieufności dla brytyjskiej premier. Przeciwno May jest już wielu torysów, którzy uważają, że premier uległa Unii Europejskiej i zdradziła zaufanie wyborców, którzy wezwali rząd w Londynie do odzyskania pełnej suwerenności.

Taki scenariusz skazywałby Wielką Brytanię na poważny kryzys polityczny i zawirowania gospodarcze. Kłopoty wyspiarzy cieszyłyby zaś eurokratów w Brukseli, gdzie panuje powszechne przekonanie, że im gorzej będzie się wiodło Brytyjczykom, tym mniejsze jest ryzyko kolejnych „exitów”. Taka postawa zwiększa jednak prawdopodobieństwo tzw. twardego brexitu, czyli odejścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej bez żadnego porozumienia, wraz z opuszczeniem wspólnego rynku oraz unii celnej. Ekspert MFOW ostrzegają, że twardy brexit mógłby doprowadzić do recesji na Wyspach, zmniejszenia wzrostu gospodarczego oraz wzrostu deficytu budżeto-

wego. Przed takim scenariuszem ostrzegał też we wrześniu prezes Banku Anglii. Mark Carney przestrzegał, że w przypadku twardego brexitu Wielka Brytania będzie musiała się liczyć z poważnym tąpnięciem gospodarczym, zapaścią na rynku nieruchomości, znacznym wzrostem inflacji oraz gwałtownym wzrostem oprocentowania kredytów hipotecznych.

Twardy brexit mocno uderzyłby też w Polskę. Z szacunków Oxford Economics, jednej z bardziej prestiżowych analitycznych instytucji na świecie, nasz kraj tylko do końca 2020 r. straciłby wówczas ok. 0,8 proc. PKB, czyli ponad 4 mld euro. Na braku porozumienia mocno straciłyby m.in. polskie firmy transportowe, a także przedsiębiorcy eksportujący na Wyspy jedzenie czy części samochodowe. Nasza gospodarka mogłaby też boleśnie odczuć skutki spowolnienia gospodarczego w Europie Zachodniej.

Nagłe odejście Brytyjczyków oznaczałoby też kilkuprocentowy wzrost składki członkowskiej – pozostałe państwa UE musiałyby bowiem zapłacić pozostałą po Brytyjczykach lukę w budżecie.

Jacek Przybylski

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ PAKIET 3 KSIĄŻEK :

KS. P. GLAS „DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
T. TERLIKOWSKI „WENANTY KATARZYŃCIE”
P. LISICKI „EPOKA ANTYCHRYSTA”
+ SŁUCHAWKI STARS

Cena: 139 zł
Oszczędność: 178 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzczy.pl

REKORDOWY MARSZ PATRIOTÓW

Aż ćwierć miliona osób wzięło udział we wspólnym warszawskim wielkim marszu niepodległości – podała oficjalnie policja. 11 listopada, aby uczcić setną rocznicę odzyskania niepodległości, w Marszu Białym-Czerwonym udział wzięli m.in. prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki, przedstawiciele rządu i Wojska Polskiego, weterani wojenni, a także rodziny z dziećmi oraz niepełnosprawni na wózkach.

Niektóre zagraniczne stacje telewizyjne próbowały przedstawiać marsz jako „zgromadzenie nacjonalistów i skrajnej prawicy”. W zeszłym tygodniu po interwencji polskiego ambasadora w Zagrzebiu kłamliwe informacje o niedzielnym marszu sprostowała chorwacka telewizja publiczna HTV. ©©





Śródmieście ↑
Solec →
Powiśle
P Parking ↑
Rondo
Ch. de Gaulle'a

WIECZNA POLSKO

MIŁOŚĆ I SZACUNEK

Anja Rubik, celebrytka, modelka, a ostatnio także autorka poradnika o wychowaniu seksualnym, coraz lepiej odnajduje się w komentowaniu tematów spoza kręgu swoich zainteresowań. Wychodzi, jak wychodzi. Ostatnio postanowiła więc odnieść się do obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Celebrytce nie spodobał się biało-czerwony marsz, który 11 listopada przeszedł ulicami Warszawy.

„Ultranacjonalści i ksenofobowie (z których część to antysemici) zepsuli obchody Święta Niepodległości w Polsce. Ten dzień powinien być pełen szacunku, nadziei i miłości, a nie nienawiści czy agresji” – napisała w mediach społecznościowych. Zwyzwać ćwierć miliona Polaków obecnych na marszu od „ultranacjonalistów, ksenofobów i antysemitów” to prawdziwy wyraz szacunku i miłości. Od razu widać, jak bardzo Anja Rubik gardzi nienawiścią i agresją!

ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ

Aktorka serialowa Julia Wieniawa to jedna z najlepiej opłacanych celebrytek. Chociaż w aktorstwie idzie jej w sumie średnio, to zarabia na wszystkim innym.

Reklamuje farby do włosów, lakiery do paznokci, buty, kostiumy kąpielowe, smartfony i na pewno wiele innych rzeczy, o których zapomnieliśmy. Podobno w pół roku zarabia 800 tys. zł! Aby nie stracić ani sekundy ze swoich pięciu minut sławy, Julia po maturze postanowiła, że dalsza edukacja może poczekać, i zrezygnowała ze studiów. Zarobione pieniądze Julia zainwestowała m.in. we własne mieszkanie, o czym opowiada w „Super Expressie”.

– Nie było mi źle w domu rodzinnym, jednak zawsze marzyłam o własnym mieszkaniu, żeby mieć poczucie samodzielności. To także świetna

inwestycja – znajduje w tablo idzie. – Mam duży szacunek do pieniędzy. Moje wydatki są bardzo przemyślane. Długo zastanawiam się, czy to, co wypatrzę w sklepie, rzeczywiście jest mi potrzebne. Nie jestem osobą rozrzutną. Od dziecka uczono mnie, że warto oszczędzać –



FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER



FOT. PAVEL LOPANOV

opowiada. – Pieniądże, które zarabiam, wydaję rozsądnie i poważnie myślę o przyszłości – dodaje. O przyszłości, czyli o tych wszystkich produktach, których twarz mogłaby zostać. Jest ich jeszcze trochę. Niestety.

SIĄŚĆ I PŁAKAĆ

To dopiero news! Życiowa partnerka i matka dziecka najsłynniejszego detektywa świata (no dobra, niech będzie, że tylko kraju), czyli Krzysztofa Rutkowskiego, napisała książkę! Motywacyjną oczywiście. Bo jaką inną? Książka nosi tytuł „Biznesowe inspiracje Polek” i niebawem, niestety, trafi do sprzedaży.

„To, co widzicie w mediach na temat celebrytów czy gwiazd, jest zniekształconym obrazem stworzonym często na potrzeby brutalnego marketingu i sprzedaży” – pisze na Instagramie Maja, dając popis swojego talentu pisarsko-motywacyjnego. I poprawnej polszczyzny. „To iluzja, którą karmi się miliony młodych dziewcząt i kobiet, pozwalając im wierzyć, że życie po drugiej stronie ekranu jest piękne i kolorowe. Nie dajcie się zwieść tej sztuczności, owiniętej w kolorowe szmatki magii, pędowi za życiem wygodnym i pełnym radości, bo za każdym sukcesem stoją: ciężka praca, determinacja i łzy. Jak to niemal w każdym życiu bywa” – konkluduje. W łzy wierzymy najbardziej. Czytamy te złote myśli i już płakać nam się chce.

PROBLEMY PIERWSZEGO ŚWIATA

Dorota Gardias, która z pogodyni stała się celebrytką pierwszoligową, postanowiła opowiedzieć światu o swoich przygodach z butami. A konkretnie o tym, jak wiele ich miała i jak zmieniła swój światopogląd na temat ich posiadania po wyjeździe do Azji.

– Teraz już można zliczyć buty w mojej szafie, ale był taki moment, że liczyłam, liczyłam i liczyłam, i naliczyłam 300 par! – opowiada gwiazda. – Ale po takim cudownym programie „Azja Express”, w którym miałam przyjemność być w tamtym roku, jak przyjechałam, to tak sobie to wszystko przemyślałam, że tak naprawdę to do życia nam niewiele potrzeba i to wszystko, co ja w tej szafie trzymam, to musiałabym codziennie chodzić w innych butach, żeby to wszystko schodzić – wyznaje. – Więc podzieliłam się z innymi i tych butów jest teraz zdecydowanie mniej, ale nadal bardzo dużo, ponieważ praca wymaga tego, żeby ciągle to obuwie zmieniać, przy okazji różnych programów, wyjść trzeba było różne buty. Tak że te buty są dla mnie bardzo ważne i bardzo ważne jest to, żeby były wygodne – mówi na koniec. Tak sobie człowiek posłucha, poczyta o poważnych, prawdziwych, jakże życiowych problemach innych i od razu mu lżej, prawda? ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie było nas przez kilka dni, ale schowaliśmy się do szafy w obawie przed Marszem Niepodległości i dopiero dzisiaj odważyliśmy się wyjść na zewnątrz, iż skończyły nam się kiełki, sushi, woda kokosowa i chipsy z jarmużu, poza tym w szafie słabo net łapie i Netflix się ciągle zaczynał.

Może Was dziwi, iż schowaliśmy się w szafie w naszym fajnym krakowskim lofcie przed marszem, który szedł przez Warszawę. Jednak kto to wie, dokąd mogą dojść rozpędzeni fashysty i gdzie się zatrzymać, skoro państwo już im stworzyło warunki odpowiednie do maszerowania?

Zdążyliśmy też obczaić echa z zagranicznej prasy i jesteśmy wstrząśnięci, zwłaszcza doniesieniami prasy niemieckiej, która z bólem i trwogą nie mogła nie zauważyć tego pochodu neofaszystów i kłęski polskiej demokracji. Czyli znów siara w chooy przed Europą.

Musimy też się odnieść do krążących po sieci zdjęć z Marszu Niepodległości, na których są widoczne osoby jakoby judeopoztywne, pigmentalnie uposażone lub o rysach wskazujących na etniczne pochodzenie azjatyckie.

Mamy poważne wątpliwości, czy nie była to prowokacja PiS-owskich i narodowych służb, które nawiozły lokalnych działaczy z Podlasia, Podkarpacia czy innej Opolszczyzny, aby udawały etniczną różnorodność na potrzeby udowodnienia, iż „nieeee, wcale nie jesteśmy rasistami i fashystami, tak naprawdę jesteśmy tolerancyjni xD popatrzcie, idzie z nami Murzyn”.

Dlatego też nie ma co się tym ekscytować i dopóki organizatorzy marszu nie

przedstawią nam niezbitych dowodów, iż rzeczywiście były to osoby tego pochodzenia, na które wyglądały, będziemy to uznawać za fashystofską prowokację.

A jak wyglądałby taki idealny marsz? Of kors nazywałby się Marszem Równości i Podległości, iżby nie wzbudzać objawów dumy narodowej. Marsz powinien też stać, a nie iść – iż przecież fashysm nie przejdzie.

Zgodnie z europejskimi trendami powinno wówczas spłonąć kilkaset samochodów. Zamiast flag narodowych uczestnicy powinni trzymać transparenty o treści „Jestem Polakiem – siara w chooy”, „Wstyd mi za ten kraj”, „Przepraszam za wszystko”. Of kors wszyscy powinni być poważni i zatroskani, rozmawiać o tym, jak ten kraj rozpętał II wojnę światową, a z zagranicznymi dziennikarzami rozmawiać o tym, jak



bardzo płaczą za demokracją i trybunałem, i że władza w nocy ustawia im TVP Info jako pierwszy kanał w telewizorze.

Myślimy, iż po organizacji takiego marszu spłyną na nas pochwalne głosy z Europy, dostrzegające naszą dojrzałość, troskę o demokrację i poczucie solidarności z zachodnią Europą. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

REKLAMA

KONKURS NA STANOWISKO DYREKTORA NARODOWEGO CENTRUM NAUKI

Rada NCN działając na podstawie art. 4 ust.1 ustawy z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Nauki (Dz. U. z 2018, poz.947 z późn. zm.) ogłasza **nabór kandydatów na stanowisko Dyrektora Narodowego Centrum Nauki**.

Konkurs przeprowadzany jest zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 7 grudnia 2010 r. w sprawie konkursów na stanowiska Dyrektora i zastępcy Dyrektora Narodowego Centrum Nauki (Dz. U. Nr 238, poz. 1585) i składa się z dwóch etapów obejmujących:

- ocenę formalną zgłoszeń do konkursu oraz ocenę kwalifikacji zawodowych kandydatów na podstawie przedstawionych dokumentów;
- ocenę kandydatów na podstawie rozmowy kwalifikacyjnej.

Wymagania:

Kandydatem na stanowisko Dyrektora Narodowego Centrum Nauki może być osoba, która:

- korzysta z pełni praw publicznych;
- nie była skazana prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe;
- posiada co najmniej 3-letnie doświadczenie na stanowiskach kierowniczych w sektorze naukowym lub badawczo-rozwojowym;
- posiada co najmniej stopień naukowy doktora;
- posiada znajomość języka angielskiego w stopniu pozwalającym na swobodne porozumiewanie się.

Zgłoszenie kandydata powinno zawierać:

- koncepcję funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki opracowaną w formie pisemnej lub w formie multimedialnej na elektronicznym nośniku danych;
- informację o dotychczasowym przebiegu pracy zawodowej, w tym o zakresie obowiązków związanych z zajmowanymi stanowiskami i pełnionymi funkcjami, okresie ich pełnienia, liczbie podległych pracowników oraz osiągnięciach zawodowych;
- poświadczoną za zgodność z oryginałem kopie dokumentów potwierdzających:
 - przebieg pracy zawodowej,
 - wykształcenie, w tym posiadanie stopnia lub tytułu naukowego,
 - ukończenie kursów i szkoleń mających znaczenie dla oceny kwalifikacji zawodowych, wiedzy oraz predyspozycji kandydata do zarządzania dużymi zespołami ludzkimi, budowy i rozwoju instytucji oraz do rozwoju kapitału ludzkiego zespołów pracowniczych;
- oświadczenie o niekaralności za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe;
- oświadczenie o korzystaniu z pełni praw publicznych;
- oświadczenie, o którym mowa w art. 7 ust.1 ustawy z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944-1990 oraz treści tych dokumentów (Dz. U. 2017, poz. 2186 z późn. zm.);
- oświadczenie o wyrażeniu zgody na przetwarzanie danych osobowych w ramach konkursu;
- poświadczoną za zgodność z oryginałem kopię dowodu osobistego lub innego dokumentu potwierdzającego tożsamość.

Wzory oświadczeń dostępne są na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej NCN w zakładce „Oferty pracy”.

Termin i sposób składania zgłoszeń:

Zgłoszenia z dopiskiem „Dyrektor NCN – konkurs” należy złożyć w terminie do 31 grudnia 2018 r. osobiście w siedzibie NCN lub przesyłać na adres: Narodowe Centrum Nauki, ul. Twardowskiego 16, 30-312 Kraków (decyduje data stempla pocztowego, a w przypadku wysłania za pośrednictwem kuriera, data wpływu do NCN).

Informacje o konkursie, w tym:

- akty prawne dotyczące działalności Narodowego Centrum Nauki;
- kryteria oceny kandydatów przez komisję konkursową wg Rozporządzenia Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 7 grudnia 2010 r. w sprawie konkursów na stanowiska Dyrektora i zastępcy Dyrektora Narodowego Centrum Nauki (Dz. U. Nr 238, poz. 1585);
- materiały informacyjne związane z funkcjonowaniem Narodowego Centrum Nauki,

dostępne są na stronie internetowej NCN www.ncn.gov.pl

Zgłoszenia niekompletne, niespełniające wymogów formalnych oraz przekazane po terminie nie będą rozpatrywane.



Jakże się cieszymy, że pozytywnym bohaterem mediów głównego ścieku III RP został Leszek Czarnecki! Uwazamy bowiem, że każdy ma takich bohaterów, na jakich zasługuje. Tajny współpracownik SB, który w PRL brał kasę za donosy na kolegów, a po 1989 r. w niewyjaśnionych do końca okolicznościach wzbił się do lotu – toż to niemal Lech Wałęsa polskiego biznesu! Jakże nie podziwiać takiej legendy?! Imię też podobne.

Żli ludzie z Wrocławia opowiadają, jak to w roku 2008 Leszek Czarnecki zaprzysiągł zemstę na „Rzepie”, Nisztorze i Lisickim za ujawnienie faktu, że za młodu pan Leszek donosił SB. Inni źli ludzie opisali, że kiedy zlecono niejakiemu Hajdarowiczowi przejęcie i skasowanie konserwatywnej „Rzepy”, miał tyle pieniędzy co martwa mrówka. Ale stał się cud.

Cud będziemy opisywać w formie pytań. Czy to prawda, że gdy ubogi Hajdarowicz nie miał skąd wziąć pieniędzy na zakup „Rzepy”, nagle pojawiła się świetna oferta z Getin Noble Banku pana Leszka? Tak tylko pytamy, bo „Wyborcza” ujawniła w marcu 2012 r., a więc już po transakcji, że „Getin Noble Bank ma zastaw na 51 proc. udziałów w Presspublice (najwyższa suma zabezpieczenia wynosi 60,6 mln zł)”, a „jedna ze spółek Hajdarowicza ustanowiła też hipoteki na rzecz Getin Noble Banku do kwoty 137,2 mln zł, by zabezpieczyć zadłużenie Gremi Media wobec banku Czarneckiego”. Takie tam opowieści z dziejów wolnej prasy.

Mamy złą wiadomość dla tych, którzy ucieszyli się, że do Czarneckiego zabierają się wreszcie prokuratura oraz służby jawne, tajne i dwupłciowe. To znaczy wiadomość sama w sobie jest dobra, bo mu się należy. Nie najlepszy będzie jednak tytuł spektaklu, który wkrótce zostanie wystawiony na scenach zagranicznych, ze szczególnym uwzględnieniem „Financial Timesa” i „The New York Times”.

Już wyjaśniamy. Mało kto wie, że pan Leszek nie tylko jest rezydentem USA, lecz także bardzo hojną ręką wspomaga swymi datkami fundację Auschwitz-Birkenau. Dla tych, którzy jeszcze nie skumali, podajemy tytuł nadchodzącego

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

spektaklu: „Polscy antysemita chcą zniszczyć amerykańskiego biznesmena”.

Mamy też złą wiadomość dla wszystkich miłośników zagłuszek zwanych także szumidlami. System zainstalowany w siedzibie KNF jest stosowany także w innych ważnych miejscach. Po wybuchu afery w co najmniej dwóch z nich sprawdzano pośpiesznie na różnych modelach dyktafonów, czy przy włączonych szumidlach coś się nagrywa, czy nie nagrywa. No i smutek. Okazało się, że na większość się nagrało. System odcina bowiem dobrze sygnał komórkowy, ale z innymi zadaniami radzi sobie średnio.

Z okazji chryi u prezesa KNF i taśmy z rozmowy Czarnecki-Chrzanowski po mieście zaczęła krążyć najgłupsza plotka wszech czasów. Że to premier Mateusz nienawidzi serdecznie Marka Chrzanowskiego, człowieka Bełaty i Glap-Głapińskiego. I że całe zamieszanie jest mu mocno na rękę, więc pewnie maczał w nim palce. Jest to równie mądra teza jak sugerowanie, że Tusk wysłał Chlebowskiego do Schetyny, żeby pisali na cmentarzu ustawę hazardową, ale pewien duży portal dał się nabrać. Dajcie spokój, chłopaki, są wiadomości i są wirtualne wiadomości.

Przy okazji: wiecie dobrze, że niektórzy członkowie elit niechętnie dzielą się z nami informacjami. To dziwne, ale tak bywa. Lojalnie zatem informujemy: albo zintensyfikujecie współpracę, albo zaczniemy z nazwiska wymieniać

tych, którzy dotąd z zachwytem wypowiadali słowa „Chrzanowski – cudowne dziecko Glapińskiego”.

À propos Glapińskiego, szefa NBP, jakby ktoś zapomniiał. W ubiegłym roku podczas Kongresu 590 w podrzeszowskiej Jasionce przemawiała ukochana przez lud Bełata Szydło. W trakcie wystąpienia wszyscy zastanawiali się, czy to jej ostatnie przemówienie w roli premiera. W tym roku w Jasionce przemawiał Adam Glapiński.

Jest i dobra wiadomość z Kongresu 590. Po naszych szyderstwach sprzed dwóch lat (że słabo karmią i w dodatku mało) już rok temu było smaczniej i więcej. A w tym roku – jeszcze smaczniej i jeszcze więcej! W dodatku nasze pochwały mogą tym razem objąć również alkohol! Presja ze strony mediów ma sens, w każdym razie presja ze strony naszej rubryki.

W sumie można było przewidzieć, że nadchodzą nowe taśmy. Na przyjęciu u prezydenta Andrzeja Sebastiana z okazji 100 lat Niepodległej podano między innymi policzki wołowe. Ośmiorniczek nie było, ale to i tak proszenie się o nieszczęście. Zaczynamy tęsknić za czasami, kiedy jedyne, co podawano na spotkaniach prawników, to opłatki.

Ze względu na tłumy zaproszonych gości tym razem prezydent Andrzej Sebastian wznosił toast nie w swym pałacu, ale w Arkadach Kubickiego na Zamku Królewskim. Gości przy wejściu w jego imieniu witali Krzysiek Szczerski i Paweł Soloch, ten drugi niestety o kuli. Rehabilitacja po operacji kolana. Od czasu kłopotów Kaczora Dyktatora rehabilitowanie kolan stało się, jak widać, modą powszechną na prawicy. Nie to, co za czasów Pełto. Jednak Pełto wolna jest od takich kontuzji, gdyż, jak wiadomo, nie kłeka przed księdzem.

Zadziwiająco wielu ludzi podczas imprezy u prezydenta Andrzeja Sebastiana rzuciło się w naszym kierunku, by porozmawiać o elektryczności. A dokładnie o świetle, w jakim przedstawiamy ich w naszej elitarnej rubryce. Odrzucamy pretensje ze wzgardą. Ktoś, kochani, musi wam przypominać, że władza to nie tylko frukty, lecz także trudna

służba Polsce. Ten ktoś to będziemy my. Oraz, rzecz jasna, Kaczor Dyktator.

Protesty płyną również z okolic MSZ. Po tym, jak dwa tygodnie temu ujawniliśmy twarde oblicze czarnego maharadży Artura Lomparta, nowego szefa kadr resortu, słusznie zwrócono nam uwagę, że maharadzowie zazwyczaj nie używają słów uznawanych za obelżywe. Może i mają rację. W końcu MSZ to dyplomacja, a dyplomacja to Wersal.

Wielu nie dotarło na toast do prezydenta, gdyż jeszcze dreptało w wielkim marszu listopadowym. Nie dziwi nas ta karność. Wiewiórki z Nowogrodzkiej opowiedziały nam, że rozkaz Kaczora Dyktatora był jasny: jeśli na marszu nie będzie przynajmniej 200 tys. ludzi, to zostaną wyciągnięte konsekwencje.

Apropos konsekwencji. Nikt głośno o tym nie mówi, ale rozliczenia wewnętrzne trwają. Tak, te po wyborach samorządowych. Ostatnio szczególne zainteresowanie Nowogrodzkiej wzbudza przypadek miasta Siedlce.

Wydawały się PiS-owskim bastionem nie do zdobycia. Sami pomyślcie: miasto, w którym są ronda Marii i Lecha Kaczyńskich, pomnik śp. prezydenta oraz aleja Ofiar Smoleńskich. A jednak kłops.

Wyjaśniamy. W ramach walk frakcyjnych w Siedlcach wycięto wieloletniego prezydenta miasta, Kudelskiego. Zamiast tego obecny minister od energii Krzysztof Tchórzewski kandydatem ustanowił swego syna Karola. Syn Karol do tej pory w Siedlcach był znany z tego, że był nieznany. No i w drugiej turze padł pokonany przez lokalną opozycję. To samo zdarzyło się w Pruszkowie innemu synowi znanemu z tego, że był nieznany, czyli synowi Zdzisława Sipery, wojewody mazowieckiego. Mamy już na to zjawisko własne określenie: „centralizm rodzinny”. Nie, nie jest to określenie pozytywne.

Z okazji 11 listopada odbyła się też ciekawa premiera literacka – Ministerstwo Obrony Narodowej przysłało nam album „Wielka Defilada Niepodległości” upamiętniający tego-roczone święto 15 sierpnia. Niestety bez

autografu ministra Błaszczaka, więc czujemy się urażeni.

Wczeniu uroczystości z 10 i 11 listopada odbyło się inne ważne wydarzenie. 12 listopada zaczęło legalnie i naziemnie nadawać Radio Wnet Krzyska Skowrońskiego. Dla zainteresowanych podajemy częstotliwości: w Warszawie 87,8, w Krakowie 95,2 FM. Uroczystej inauguracji emisji doglądał osobiście szef KRRiT Witold Kołodziejewski, ale najbardziej uwagę gości przykuł były minister Jan Szyszko. Na pytania: „Co słyszał?” odpowiadał nieodmiennie, że zajmuje się pracą naukową. Szczególnie mocno odpowiadał, gdy pytaliśmy, czy idzie do europarlamentu.

Przy okazji mamy pozdrowienia od ministra Szyszko dla wszystkich działów korekty w Polsce. Chciał on bowiem za naszym pośrednictwem zapytać, czy moglibyście już dać spokój z odmianą jego nazwiska. Za każdym razem bowiem, kiedy przeczyta o sobie słowa typu „ministra Szyszki”, bardzo się martwi i pyta głośno: „A czy ja się nazywam Szyszka?”. ©©

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
i MIESIĘCZNIKA HISTORIA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA

B. SŁAWIŃSKA – WYWIAD
Z WITALISEM SKORUPKĄ „JA ORZEŁ.
Z KEDYWU DO CELI ŚMIERCI”

Cena: 279 zł
Oszczędność: 369 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Polska Platformy



Wojciech Wybranowski

Próby ograniczania prawa do wolności zgromadzeń, rozliczeniowe zapowiedzi dotyczące także wolności słowa i mediów, wreszcie wycofanie się z daleko idących obecnych reform społecznych, wymiaru sprawiedliwości i organów ścigania. Jak mogłoby wyglądać państwo polskie po zwycięstwie liberalno-lewicowej koalicji?

Piątkowe popołudnie, większość mieszkańców stolicy odpoczywa już w domach lub spieszy na weekendowe imprezy. Na stołeczny plac Piłsudskiego wjeżdżają buldożery i ciężki sprzęt. Robotnicy odsuwają na bok kamerzystów kilku telewizji i towarzyszących im reporterów. Zaczyna się akcja usuwania postawionego na placu w 2018 r. pomnika byłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, w dalszej kolejności usunięty ma zostać Pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r.

Dwa lata wcześniej Platforma Obywatelska w koalicji ze zmarginalizowaną Nowoczesną i niszowymi lewicowymi ugrupowaniami wygrała wybory parlamentarne. Demontaż pomnika byłego prezydenta to realizacja jednej z obietnic, które jeszcze przed wyborami złożyli politycy wówczas największej partii opozycyjnej.

– Nie dla PiS-owskich pomników w Warszawie! Gdy reżim PiS-owski upadnie, przeniesiemy pomniki z placu Piłsudskiego – zapowiadał w listopadzie 2018 r., we wpisie na swoim profilu facebookowym Jarosław Szostakowski, lider klubu PO w Radzie Warszawy. Podobne

deklaracje, choć znacznie ostrożniej, składali też warszawscy wódatarze. Rafał Trzaskowski, wybrany na prezydenta stolicy, mówił w czerwcu w rozmowie z PAP: „Nie mogę sankcjonować bezprawia. [...] Być może trzeba będzie zapytać warszawiaków, ale dopiero jak opadną emocje”. A portal Wyborcza.pl przeprowadził sondaż „Czy pomnik Lecha Kaczyńskiego trzeba będzie usunąć z pl. Piłsudskiego?”, w którym do połowy ubiegłego tygodnia „tak” powiedziało 88 proc. jego czytelników.

Czy tak się stanie, jeśli dzisiejsza opozycja wygra najbliższe wybory parlamentarne? Tego nie wiemy. Jednak politycy i aktywiści dzisiejszej tzw. Koalicji Obywatelskiej na użytek sprzyjających im mediów, na spotkaniach wyborczych i oficjalnych konwencjach, w działaniach, instytucjach, również jednostkach samorządu terytorialnego, w których utrzymali władzę, prześcigają się w coraz bardziej radykalnych deklaracjach.

„Do Rzeczy” przeanalizowało zapowiedzi, jakimi szermują dziś główni gracze obozu opozycji, na podstawie tych właśnie zobowiązań i ich wcześniejszych

działań kreślimy scenariusz pokazujący jak w przyszłości mogłoby wyglądać państwo polskie, gdyby politycy dzisiejszej opozycji po ewentualnym zwycięstwie wyborczym rzeczywiście zamierzali je spełnić. I chociaż nasza wizja to political fiction, to oparta na prawdziwych deklaracjach, a wszystkie cytowane w artykule wypowiedzi i wpisy są autentyczne.

NOWE-STARE SŁUŻBY

Wróćmy na plac Piłsudskiego, gdzie rozpoczyna się demontaż pomnika Lecha Kaczyńskiego. O wyburzeniu oficjalnie nie ma oczywiście mowy, ale władza nie bardzo wie, co z nim zrobić, więc tymczasowo trafi do magazynów. Pierwotnie pojawił się pomysł, by monumencem prezydenta Rzeczypospo-

FOT. MICHAŁ DZIUBIK/FORUM, ADRIAN STOK, MONIA Z. DZ. KREDEK/JAN

litej zaopiekował się IPN, ale instytutowi znacznie obcięto budżet i od kilku miesięcy znajduje się w fazie postępującej likwidacji. – Zlikwidujemy IPN. Przecież IPN to 289 mln zł z budżetu państwa. Zadania IPN podzielimy. Będziemy do tego przygotowani – grzmiał Grzegorz Schetyna, lider PO, podczas konwencji tej partii w październiku 2016 r.

Po zwycięstwie opozycji nie ma też już mowy o budowie w stolicy łuku triumfal-

nego upamiętniającego zwycięstwo Polski w Bitwie Warszawskiej, trwa za to debata na temat usunięcia z Wawelu szczątków Lecha i Marii Kaczyńskich. To pomysł, który w środowiskach, także medialnych, bliskich PO wraca co jakiś czas. – W jakiejś cywilizowanej formie trzeba będzie przenieść parę prezydencką z Wawelu – mówił w listopadzie 2018 r. Stefan Niesiołowski, poseł Unii Europejskich Demokratów, w rozmowie z „Newsweekiem”. Dodawał też, że opozycja będzie musiała się tym zająć, kiedy już wygra wybory parlamentarne.

Przeciwko usunięciu pomnika Kaczyńskiego z centrum stolicy demonstruje niewielka grupka ludzi. Trzymają krzyż, płoną znicze. Są ściśle otoczeni kordonem funkcjonariuszy policji, legitymowani i spisywani. Opodał sympatyków nieżyjącego prezydenta ustawiła się grupka kontrmanifestantów, wśród nich aktywiści Antify i Obywateli RP bluzgający i znieważający obrońców pomnika. Sytuacja wygląda niemal jak obrazki z miesięcznic smoleńskich zakłócanych przez grupy Obywateli lub z Krakowskiego Przedmieścia z 2010 r., gdy obrońcy krzyża pod Pałacem Prezydenckim byli atakowani przez grupy ludzi kojarzonych ze skrajną lewicą.

Policja na agresję reaguje nierówno. Na stanowiska dowódcze w komendach wrócili ludzie usunięci z nich przez rząd

PiS w ramach oczyszczania służby z ludzi pracujących w nich jeszcze w PRL.

– Ludzie zwolnieni w ramach dobrej zmiany odzyskają stanowiska. Wróćcie do służby i pracy z podniesionymi czołami – mówił podczas jednej z konwencji Platformy poseł Tomasz Siemoniak, były minister obrony narodowej w rządzie PO-PSL.

W środowiskach ludzi dawnych służb i funkcjonariuszy wywodzących się z tzw. resortowych rodzin rządu „Koalicji Obywatelskiej” cieszą się sporym poparciem. Właśnie lewicowo-liberalny rząd „Koalicji Obywatelskiej” przepchnął przez Sejm nowelizację PiS-owskiej ustawy dezubekizacyjnej i przywrócił dawnym resortowcom wysokie emerytury. – Uzyskaliliśmy od przewodniczącego Grzegorza Schetyny zapewnienie, że PO przywróci ustawowo takie emerytury, jakie były kiedyś. PO przygotowało ustawę, która przywróci nam godność. Przywróci to, co nam skradziono – grzmiał kilka miesięcy temu Marian



Janicki, były szef BOR. – Zostaliśmy też zapewnieni, że zaraz jak się zmieni władza, powstanie rząd koalicyjny, wtedy ci panowie, którzy zrobili nam krzywdę, naprawdę za to zapłacą – dodawał. We wrześniu 2018 r. w Kołobrzegu poseł Tomasz Siemoniak podczas spotkania z emerytami mundurowymi podtrzymał tę obietnicę.

W 2021 r. nie działa już kierowane obecnie przez Ernesta Bejdę Centralne Biuro Antykorupcyjne. – Zlikwidujemy też CBA. Ściganie przestępców to zadanie dla policji i służb, a nie dla polityków. Nie ma naszej zgody, żeby powoływać „nadpolicję”. Przekażemy kompetencje CBA do wydziału walki z korupcją policji – mówił Grzegorz Schetyna podczas konwencji PO w 2016 r.

WITAJCIE NA SALONACH. BRUKSELI I MOSKWY

Kwestia politycznych zmian w państwie nie zaprzęta zbyt wiele uwagi opinii publicznej. Większym problemem dla niej jest bezpieczeństwo wewnętrzne i finansowe. Zwłaszcza z tym pierwszym jest spory problem, z czym policja nie bardzo sobie radzi. „Koalicja Obywatelska” zrealizowała bowiem swoje zobowiązania składane na forum unijnym i otworzyła granice kraju dla imigrantów z krajów afrykańskich. W 2015 r., pod koniec rządów PO-PSL, ówczesna premier Ewa Kopacz zobowiązała się do przyjęcia, zgodnie z unijnymi decyzjami, blisko 5 tys. przybyszów z krajów muzułmańskich. Później Platforma lawirowała w tej kwestii, jednak oficjalnie zawsze opowiadała się za otwarciem granic dla imigrantów arabskich. – PO jest gotowa

swoje rodziny. W dużych miastach, szczególnie w Warszawie i położonych blisko zachodniej granicy Poznaniu, Wrocławiu i Szczecinie, tworzą się imigranckie enklawy, w których rośnie przestępczość, zwłaszcza na tle seksualnym i rabunkowym. Kilkakrotnie dochodzi w nich do starć z policją... wywołujących ostre protesty rzecznika praw obywatelskich wzywającego do poszanowania odmienności kulturowej przybyszów z Afryki. Rzecznik zarzuca policjantom faszyzm i rasizm; ostatecznie funkcjonariusze otrzymują nieoficjalne polecenie, by obszary zasiedlone przez imigrantów omijać.

Otwarcie Polski na imigrantów z Afryki budzi zadowolenie Berlina, Paryża i Brukseli, które wykorzystują okazję, by pozbyć się grup określonych przez ich służby jako niebezpieczne. Nowy premier polskiego rządu Donald Tusk jest fetowany na europejskich salonach. Zachodnie media piszą o „powrocie Polski do europejskiej rodziny”, politycy Komisji Europejskiej prześcigają się w komplementach, za którymi co prawda nie idą realne korzyści dla Polski, ale są zręcznie wizerunkowo wykorzystywane przez propagandystów partii rządzącej.

Oklaski europejskich salonów są jeszcze większe, ponieważ Polska właśnie weszła do strefy euro.

– Dla Platformy Obywatelskiej dołączenie Polski do strefy euro jest ważnym celem. Po tym, jak odsuniemy od władzy populistów, zaoferujemy polskim obywatelom plan dołączenia do obszaru wspólnej waluty – zadeklarował na początku listopada 2018 r. Schetyna, lider

przyznawania, wypłacając go „na każde dziecko”, ale tylko rodzinom, w których matka pracuje (wg nieoficjalnych informacji obecnie PO pracuje nad takim projektem), wreszcie po otwarciu granic na imigrantów zawieszono jego wypłatę ze względu na sytuację budżetową.

Oficjalnie dominuje propaganda sukcesu. Zwłaszcza że premier nowego rządu jest fetowany nie tylko przez Brukselę, lecz także przez Moskwę. „Nowe otwarcie” w stosunkach pomiędzy Warszawą a Kreml nastąpiło po przywróceniu przez Polskę tzw. małego ruchu granicznego między obydwojema krajami i decyzji o zawieszeniu przekopu Mierzei Wiślanej do czasu zbadania sprawy przez Komisję Europejską i zakończenia konsultacji z Rosją. We wrześniu 2018 r. Ilja Szestakow, wiceminister rolnictwa Federacji Rosyjskiej, zwrócił się do Komisji Europejskiej ws. przekopu Mierzei Wiślanej, skarżąc się, że budowa kanału nie jest konsultowana ze stroną rosyjską i „zagroza ekologii Zalewu Wiślanego”.

Wyznaczniakiem resetu w stosunkach polsko-rosyjskich stał się wyjazd peesłowskiego ministra w nowym rządzie do Moskwy na rozmowy o nowej „obustronnie korzystnej” umowie gazowej...

DEMOKRACJA REGLAMENTOWANA

Przeciwko sytuacji w państwie i przyjmowaniu imigrantów protestują środowiska narodowców i organizacje prawicowe, ale też coraz rzadziej otrzymują zezwolenie magistratów na demonstracje. Marsz Niepodległości zostaje oficjalnie zamknięty. Wszystko pod pretekstem wydarzeń, jakie w jego trakcie rozgrywały się... właśnie w latach rządów PO. Nowi dygnitarze tłumaczą to ryzykiem „zagrożenia dla życia i zdrowia mieszkańców”. Z identycznego pretekstu w listopadzie 2018 r. skorzystali prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która nie wyraziła zgody na demonstrację narodowców, oraz prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz. Legalne za to są demonstracje bliskich nowemu rządowi środowisk skrajnej lewicy i działaczy organizacji LGBT.

Popularny dziś wśród młodych antysystemowców Obóz Narodowo-Radykalny, podobnie jak Młodzież Wszechpolska, zostały zdelegalizowane. To także realizacja jednej z zapowiedzi, którymi nader ochoczo szermują politycy dzisiejszej opozycji.

Wejście Polski do strefy euro budzi zadowolenie KE, ale mniej podoba się nad Wisłą, ponieważ zaowocowało ono tzw. urealnieniem cen

przyjąć uchodźców; to wynika z Konwencji Genewskiej i obecności Polski w Unii Europejskiej – deklarował jesienią 2017 r. Grzegorz Schetyna.

W rzeczywistości liczba imigrantów, którzy trafili z krajów afrykańskich do Polski po wyborach wygranych przez liberalną lewicę, jest znacznie większa. Ci przygarnięci na mocy unijnych porozumień, wykorzystując przysługujące im prawa, zaczynają sprowadzać do Polski

PO podczas kongresu Europejskiej Partii Ludowej w Helsinkach.

Wejście Polski do strefy euro budzi zadowolenie KE, ale mniej podoba się nad Wisłą, ponieważ zaowocowało one tzw. urealnieniem cen, co oznacza tyle, że podrożała większość produktów. W dodatku właśnie „tymczasowo” zawieszono wypłatę rodzinnych świadczeń z tytułu „500+”. Najpierw zgodnie z deklaracjami liderów PO zmieniono zasady jego

– Natychmiast trzeba zdelegalizować ONR. Nie może być tak, żeby organizacje o jawnym profilu rasistowskim, nawołujące do nienawiści rasowej, maszerowały po Warszawie i wykrzykiwały swoje hasła, zwłaszcza 1 sierpnia czy 11 listopada – mówił latem tego roku Rafał Trzaskowski (PO), obecny prezydent Warszawy. Już w 2016 r. podobny wniosek złożyła grupa posłów PO, organ nadzorczy uznał jednak, że nie ma ku temu podstaw.

Nowa władza rozprawiła się także ze środowiskami kibicowskimi znanymi z sympatii bliskich ugrupowaniom prawicowym. Podobnie jak w 2012 r. jako pretekst wykorzystano zapowiedź

sędziowie, którzy w okresie rządów PiS uczestniczyli w organizowanych przez środowiska opozycyjne antyrządowych demonstracjach. Część środowiska sędziowskiego jest zastraszana prowadzonymi na dużą skalę czystkami w sądach, którym patronują organizacje sędziowskie mające przynajmniej deklaratywnie stać na straży sędziowskiego poczucia niezawisłości. Przesada? Bynajmniej. To także jedna z deklaracji składanych dzisiaj przez ludzi obecnej opozycji, w tym bliskiej jej sędziów.

„Wszyscy, którzy zgłosili swoje kandydatury do KRS na sędziów Sądu Najwyższego, zostaną w przyszłości rozliczeni”

Zapowiedzi aresztów, procesów, Trybunału Stanu dla polityków PiS to teraz regularnie powtarzająca się narracja polityków obecnej opozycji

rzekomej walki z chuligaństwem na – de facto od lat bezpiecznych – stadionach. W takich akcjach politycy PO mają wprawę: w 2008 r., kiedy resortem MSWiA kierował obecny lider PO Grzegorz Schetyna, przeprowadzono wobec kibiców prowokację o kryptonimie „Widelec”. Zatrzymano wówczas, rzekomo za „demolowanie stolicy”, 752 kibiców Legii Warszawa. W trakcie przesłuchań byli bici, zastraszani i zmuszani do zeznań. Do dziś tylko około 30 z zatrzymanych wówczas ponad 700 kibiców zostało skazanych przez sąd za rzucanie racami, ponad 500 z pozostałych zatrzymanych zostało już uniewinnionych.

CZAS ROZLICZEŃ

Oficjalnie, zgodnie z ustawą prawo o zgromadzeniach, na zakaz przeprowadzenia zgromadzenia organizatorzy mogą się odwoływać do sądów, ale w tych nastąpiła już spora zmiana porządkująca sądy partii rządzącej. Nowa ekipa, zgodnie z przedwyborczymi obietnicami, przyjęła ustawy cofające przeprowadzone przez PiS zmiany w ustawach o Sądzie Najwyższym, o Krajowej Radzie Sądownictwa i ustawie o ustroju sądów powszechnych.

Do wymiaru sprawiedliwości wrócili ludzie, którzy zostali z nich odsunięci lub odeszli w trakcie rządów PiS, nastąpiła – podobnie jak w prokuraturze – zakrojona na dużą skalę „wymiana” osób funkcyjnych. Główne role odgrywają

– odgrażał się sędzia Waldemar Żurek, były rzecznik KRS w programie „Tak czy nie” w lipcu 2018 r. I na antenie telewizji Polsat dodawał: „Uważam, że te osoby powinny mieć zachowane prawo do obrony, powinny mieć wszystkie gwarancje procesowe, ale ja nie mam wątpliwości, że tam mogą być kary bardzo surowe, bo dla mnie to jest zamach na państwo, zamach na trójpodział władz”.

Rozliczenia dotyczą niemal każdej władzy. Media publiczne gros uwagi poświęcają próbom postawienia przed sądem polityków PiS i członków rządu Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego.

– Spalili za sobą mosty, nie będą mieli gdzie wrócić, a my ich wsadzimy, dopilnujemy tego! – krzyczała podczas jednego z wieców w 2018 r. posłanka Henryka Krzywonos (PO). A prominentny polityk tego ugrupowania Stanisław Gawłowski, podczas sejmowej debaty na temat nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, groził posłom PiS więzieniem: – Byłem w miejscu, do którego wielu z was niedługo trafi. Jestem absolutnie przekonany. I muszę wam powiedzieć, nie będzie wam łatwo.

Zapowiedzi aresztów, procesów, Trybunału Stanu dla polityków PiS to teraz regularnie powtarzająca się narracja polityków obecnej opozycji.

#WOLNE MEDIA

O ile akcja rozliczania przez nową władzę polityków PiS nie idzie łatwo –

ustawa o wykonywaniu mandatu posła i senatora zwalnia bowiem parlamentarzystów z odpowiedzialności karnej za to, jak w parlamencie głosują – o tyle media publiczne od kilku miesięcy są już przejęte przez „Koalicję Obywatelską”. Z telewizji i radia publicznego zostają usunięci wszyscy dziennikarze uznani za sprzyjających PiS lub kojarzonych z prawicą. Spadają z anteny programy prowadzone przez prawników, konserwatywnych publicystów.

Dziennikarze mediów publicznych i prawników tygodników wielokrotnie już w tej kadencji stawali się celem ataków polityków dzisiejszej opozycji. Grożono im czystką i zwolnieniami z pracy. W walce z niezależnością dziennikarską mają sukcesy, co pokazuje chociażby sposób przejęcia i doprowadzenia do likwidacji tygodnika „Uważam Rze” przez biznesmena bliskiego Platformie.

Strefa „wolnych mediów” po zwycięstwie „Koalicji Obywatelskiej” przenosi się więc do Internetu. Jednak i tu jest problem. Nowy rząd wdraża dyrektywę Parlamentu Europejskiego w sprawie praw autorskich, która chronić prawa wydawców, zarazem daje szerokie instrumenty pozwalające na poważną cenzurę treści publikowanych na blogach i w materiałach wideo. Dzisiaj trwają jeszcze prace Komisji Europejskiej, Rady Europejskiej i PE nad wspólną wersją takiej regulacji. We wrześniu 2018 r. europosłowie PO w głosowaniu w Parlamencie Europejskim poparli wersję dyrektywy (nazwaną przez internautów ACTA2) przygotowaną przez PE, najbardziej uderzającą w media społecznościowe, blogi i wideoblogi.

To nic zaskakującego. W 2010 r. rząd Donalda Tuska zamierzał wprowadzić – przy okazji prac nad ustawą hazardową – przepisy, które pod płaszczykiem Rejestru Stron i Usług Niedozwolonych dawały władzy możliwość daleko idącej cenzury treści zamieszczanych w sieci. Z projektu wycofał się dopiero po zorganizowanych protestach internautów.

Czy tak będzie wyglądać polska rzeczywistość pod rządami dzisiejszej opozycji? Musiałyby zostać spełnione dwa warunki. Koalicja lewicowo-liberalna musiałaby wygrać wybory, a jej politycy spełnić wszystkie obietnice i deklaracje wyborcze. A ze spełnianiem obietnic, jak pokazały lata 2007–2018, politycy PO na szczęście mają problemy.

Leonne Zeegers przeszła do historii holenderskiego ruchu LGBTQ dwukrotnie. Pierwszy raz głośno o 57-latce było w maju tego roku. Sąd w Roermond w prowincji Limburg uznał ją bowiem za przedstawicielkę „trzeciej płci”, gwałcąc tym samym jawnie podstawy biologii. Zeegers urodziła się jako obojenak, wychowywana była jako chłopiec, a w 2001 r. przeszła operację „zmiany płci” i prawnie została uznana za kobietę. Jak jednak twierdzi, wciąż nie czuła się sobą. Postanowiła więc wystąpić przeciw własnemu państwu, które uznawało tylko dwie płcie. Wyrok sądu po myśli Zeegers oznaczał konieczność dostosowania holenderskich przepisów do tego precedensu.

Po raz drugi Zeegers stała się bohaterką mediów w zeszłym miesiącu, kiedy została pierwszym obywatelem Holandii z paszportem dla „trzeciej płci”. Holenderskie władze wyszły naprzeciw orzeczeniu sądu i Zeegers w miejscu, w którym w paszportach Holendrzy mają literkę M (od „Mannetje” – „mężczyzna”), a Holenderki V (od „Vrouw” – „kobieta”), ma swój wycieknięty „X”.

Co ciekawe, mimo postulowanej przez specjalistów od gender rewolucji w zaimkach Zeegers posługuje się w stosunku do siebie zaimkami żeńskimi, choć zarazem określa się jako osoba „płynna płciowo”. Jeżeli historia jej życia nie jest już wystarczająco trudna, to można dodać, że w młodości Zeegers miała żonę, a także spłodziła syna, z którym – jak mówi – cały czas ma bardzo dobry kontakt. Holenderka bardzo otwarcie opowiada dziennikarzom o swoim życiu, a nawet rozwija wątek prowadzonego przez nią w Bredzie klubu dla fascynatów BDSM (sado-maso), tłumacząc, że jej katoliccy rodzice nie chcieli tego zaakceptować.

KLUCZ W SZKOŁACH

Sprawa Zeegers pokazuje, że wszyscy, którzy wskazywali na Holandię jako przykład kraju, gdzie rewolucja obyczajowa doszła już do ekstremum, zrobili to przedwcześnie. Zawsze może być bowiem jeszcze bardziej „różnorodnie”, tym bardziej że potężne holenderskie lobby LGBTQ wysuwa coraz to nowsze postulaty. Przykładowo ostatnio uznało, że rozróżnianie w holenderskim prawie osób hetero- i homoseksualnych nie jest już poprawne i przepisy antidyskryminacyjne należy uaktualnić, aby obejmowały wszystkie inne kategorie orientacji seksualnej, w tym biseksualizm, a także...

Tęczowy piątek codziennie



Christie Elan-Cane
od 1995 r. walczy w Wielkiej Brytanii o uznanie „trzeciej płci”
FOT. BARCROFT MEDIA/GETTY IMAGES



Piotr Włoczyk

Wydawałoby się, że zachodnie ruchy LGBTQ osiągnęły już wszystko, na czym im zależało. Tymczasem nie widać końca coraz to nowych postulatów, które wywracają do góry nogami biologię i porządek prawny

aseksualizm, czyli kompletny brak popędu seksualnego. Tylko czy w kontekście takich osób na pewno można mówić o „orientacji seksualnej”?

Holandia niemal zawsze ustanawiała precedensy w sprawach obyczajowych. Jako pierwszy kraj na świecie już w 2001 r. zezwoliła osobom tej samej płci na zawieranie małżeństw. Początkowo władze były pełne tolerancji w stosunku do urzędników, którzy nie chcieli przewodniczyć takim ceremoniom. Jednak taka postawa uznana została w końcu za nieakceptowalną i od 2014 r. odmowa oznacza utratę pracy.

Holandia uznawana jest za matkę ruchów homoseksualnych, ponieważ to tam od 1946 r. nieprzerwanie działa najstarsza organizacja LGBTQ na świecie – COC Nederland. Jej działacze mają olbrzymie doświadczenie w osławianiu społeczeństwa z postulatami tego środowiska i chętnie dzielą się nim ze swoimi kolegami/koleżankami za granicą. Koen van Dijk, dyrektor tej organizacji, jasno wskazuje kluczowy element tęczyowej rewolucji: wejście z przekazem LGBTQ do szkół. Na łamach dziennika „The Guardian” van Dijk opowiadał, jak jego ruch zabiegał o „obowiązkową edukację seksualną i gender w szkołach”. Dyrektor COC Nederland za pośrednictwem brytyjskiego dziennika udzielał porad australijskim ruchom LGBTQ, które nie osiągnęły jeszcze tak spektakularnych rezultatów. Van Dijk z zadowoleniem podkreślał, że obecnie ludzie LGBTQ są pozytywnie oceniani przez 90 proc. Holendrów (w 2006 r. było to 56 proc.), a odsetek ludzi, którzy chcieliby odwrócić rewolucję w definicji małżeństwa, spadł w Holandii w ciągu dekady z 22 proc. do 6 proc.

Mimo to van Dijk uważa, że jego organizację czeka jeszcze dużo pracy. „Od wprowadzenia równości małżeństw musieliśmy pracować nad równością praw dla tęczyowych rodzin” – powiedział w rozmowie z „The Guardian” (pary homoseksualne mogą w Holandii adoptować dzieci). „Wciąż musimy jednak wykonywać mnóstwo pracy w kwestii akceptacji społecznej”. Wygląda więc na to, że jego zdaniem Holendrzy wciąż nie są wystarczająco tolerancyjni.

W LICZBIE MNOGIEJ

Postulowane przez środowiska LGBTQ prawne uznanie „trzeciej płci” to obecnie przedmiot batalii, która toczy się w Wielkiej Brytanii. Christie Elan-Cane od 1995 r. walczy o to w imieniu osób, które nie czują

się ani mężczyznami, ani kobietami, twierdząc, że obecna procedura wyrobienia paszportów jest „z gruntu dyskryminująca”. Co ciekawe, największe brytyjskie media pisały o Elan-Cane w liczbie mnogiej (np. „Christie Elan-Cane uważają, że...”), wychodząc naprzeciw postulatowi ideologów gender, którzy zalecają w takich przypadkach „bezpieczną” liczbę mnogą.

Brytyjski Sąd Najwyższy uznał wprowadzić w czerwcu, że obecne prawo nie dyskryminuje nikogo, jednak sędzia wyraźnie dał do zrozumienia, że kwestia nieuznawania „trzeciej płci” nie jest przesądzona raz na zawsze. Sędzia Jeremy Baker stwierdził, że „w dobie coraz większej społecznej i prawnej świadomości oraz akceptacji dla wagi kwestii dotyczących różnorodności i równości” to rząd Jej

Już 40 szkół średnich w Anglii zabrania uczennicom przychodzenia do szkoły w spódniczkach ze względu na komfort osób transpłciowych

Królewskiej Mości musi zadbać o to, by nikt nie był dyskryminowany.

Tymczasem rządzący Wielką Brytanią od 2010 r. konserwatyści nie są obojętni – mówiąc ogólnie – na postulaty środowisk LGBTQ. Wprowadzić bardzo ważną dla tego ruchu ustawę „Akt Równościowy 2010” przeprowadzili przez brytyjski parlament jeszcze laburzyści, ale to konserwatyści pomogli w 2013 r. uchwalić koronny postulat gejów i lesbijek – ustawę zezwalającą na małżeństwa jedнопłciowe. Połowa konserwatystów głosowała za tą ustawą, umożliwiającą wprowadzenie jej w życie.

– „Konserwatyści” to tylko nazwa, bo w rzeczywistości są to liberałowie – powiedziała w rozmowie z „Do Rzeczy” Andrea Williams, szefowa brytyjskiej organizacji Christian Concern, która pomaga w kwestiach prawnych ludziom dyskryminowanym ze względu na wiarę. – To Partia Konserwatywna wprowadziła u nas małżeństwa gejowskie, poluzowała prawo w kwestii ochrony życia, pozwoliła na to, by nasze dzieci źle nauczano na temat seksu, a także ma swój udział w upowszechnianiu ideologii gender. Chrześcijanom żyjącym w Wielkiej Brytanii jest coraz trudniej.

Jedną ze spraw prowadzonych przez Christian Concern jest batalia sędziego Richarda Page’a, który stracił pracę za stwierdzenie, że lepiej, aby dziecko było wychowywane przez parę heteroseksualną niż homoseksualną.

W trakcie debaty nad „Aktem Równościowym 2010” głośno protestowali katolicy biskupi z Wielkiej Brytanii, którzy obawiali się, że prawo to zostanie wykorzystane do prób przymuszania Kościoła do otwierania się na kapłaństwo kobiet czy też osób otwarcie homoseksualnych. Rząd Jej Królewskiej Mości uspokajał wprowadzając, że nic takiego nie będzie miało miejsca, ale takie zapewnienia nie przekonały wszystkich. W końcu przykładów na to, że po kilku latach polityka się zmienia i takie obostrzenia uznawane są za zabronioną prawem formę dyskryminacji, nie brakuje.

Według sondaży ok. trzech czwartych Brytyjczyków uważa, że homoseksualizm powinien być akceptowany przez społeczeństwo. Jest to wynik zdecydowanie gorszy od holenderskich sondaży, ale w innej ważnej dla gejów i lesbijek kategorii Wielka Brytania nie ma sobie równych. Spośród 650 miejsc w Izbie Gmin 45 wywalczyli w ostatnich wyborach ludzie identyfikujący się jako przedstawiciele ruchu LGBTQ. To światowy rekord.

Podobnie jak w przypadku Holandii również brytyjskie tęczyowe lobby stara się jak najmocniej zaistnieć w tamtejszych szkołach. Wygląda na to, że udało mu się na tym polu osiągnąć niemały sukces. Rok temu brytyjskie władze ogłosiły bowiem, że od września 2019 r. zagadnienia transpłciowości i związków jedнопłciowych będą poruszane już nie tylko w szkołach średnich, lecz także w podstawówkach. Czyli „tęczyowy piątek” będzie normą również w szkołach dla najmłodszych.

Rewolucja LGBTQ zaczyna wywierać coraz większy wpływ na brytyjskie szkoły, czego bodaj najbardziej jaskrawym symbolem – przynajmniej na razie – jest zakaz noszenia spódniczek. Jak latem wyliczyły brytyjskie media, już 40 szkół średnich w Anglii zabrania uczennicom przychodzenia do szkoły w takim stroju. Powodem takiej polityki ma być chęć wyjścia naprzeciw uczniom transpłciowym, którzy mogą się źle odnajdywać wśród rówieśników podzielonych na chłopców chodzących w spodniach i dziewczynki noszące spódniczki. Obowiązkowe spodnie dla wszystkich mają być dowodem na prawdziwą tolerancję.



Piotr Semka

Jakie było przesłanie ostatniej wizyty Donalda Tuska w Polsce? Co z niego wynika dla PiS, a co dla opozycji?

Od blisko dwóch lat każdy przyjazd Tuska do Polski planowany jest w najdrobniejszych szczegółach jako połączenie demonstracji politycznej z wizytacją kogoś, kto jest przekonany, że będzie przyszłą głową państwa.

Wizycie z okazji święta 11 listopada przydawano jeszcze więcej wagi, bo i do rozpoczęcia wyborczego triathlonu już niewiele czasu. Plan gościa z Brukseli był obiecujący. Wyraziste wystąpienie w Łodzi, duży programowy wywiad w „Gazecie Wyborczej” i zaplanowany kontrast z Marszem Niepodległości. Czego dowiedzieliśmy się nowego z tej wizyty o planach „Króla Europy”?

ROZUM KONTRA DEMONY

Jeśli przyjąć, że żadna okoliczność tej wizyty nie była przypadkiem, to warto zacząć od bardzo niepokojącej konstatacji. Decyzja Hanny Gronkiewicz-Waltz o odwołaniu Marszu Niepodległości podjęta została we wtorek 6 listopada ze świadomością, że tryb odwoławczy kończy się dwa dni przed demonstracją.

Gwarantowało to cztery dni chaosu i obaw przed zamieszkami na trudną do przewidzenia skalę. Tworzyło też efektowny kontrast dla Igrzysk Wolności w Łodzi, na które zaproszono Tuska i całą wierzchuszkę Platformy. W Łodzi w sobotę 10 listopada miała panować „pogoda mądrych ludzi”, a dzień później w Warszawie słynne już rodziny z dziećmi zostałyby w domach, za to w razie utrzymania zakazu przez sąd wybuchłaby zadyma na 40 fajerek. Wszystko transmitowane przez zachodnie stacje. Tak się nie stało wskutek szybkości działania prezydenta i premiera, ale tak mogło być. Nie zapominajmy o tym.

Politycy Platformy przybyli do Łodzi zachowywali się jak niepewne siebie dzieci, które nie mogą doczekać się powrotu taty. „Znowu razem” – ogłaszał z dumą Bartłomiej Sienkiewicz, publikując na Twitterze zdjęcie z „Wielkim Donal-



Nowe szaty

dem”. To samo robił Tomasz Lis, którego ostatnia książka wygląda jak przygotowanie do startu do europarlamentu.

Wystąpienie szefa Rady Europejskiej zabrzmiało w uszach zebranych jak trąbka bojowa oznajmiająca początek politycznej szarży.

Donald Tusk chwalił Józefa Piłsudskiego i Lecha Wałęsę za pokonanie bolszewików, kiedy mieli „o wiele trudniejszą sytuację niż my dzisiaj”. I dodał: „Słuchaj-

cie, jeśli oni mogli pokonać bolszewików, to dlaczego wy nie macie dać rady pokonać współczesnych bolszewików?”. Gdy jeszcze wezwał do odpowiedzi na marsz 11 listopada przyszłorocznym opozycyjnym marszem 3 maja – sala eksplodowała entuzjazmem.

Kąpany w gorącej wodzie poseł Michał Szczerba zaczął tweetować o kampanii „Tusk2020”. Michał Broniatowski, publicysta Onetu, pisał: „Donald Tusk



króla opozycji

przyjechał do Warszawy, aby pokazać, że jest jak najbardziej zaangażowanym politykiem". Tusk „wybrał obchody rocznicy niepodległości, by z wielkim przytupem ogłosić swój powrót do polskiej gry politycznej”.

Pojawiły się jednak też głosy krytyki, nawet z kręgów życzliwych. Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej” pisała: „Nie podoba mi się nazywanie politycznych przeciwników współczesnymi

bolszewikami. Sam Donald Tusk kiedyś przestrzegał przed przesadą w opisie rzeczywistości. To jak nazwać to porównanie?”.

Kolejnym punktem wizyty Tuska miało być złożenie kwiatów w niedzielny poranek 11 listopada pod pomnikiem Piłsudskiego pod Belwederem. „Zapraszam Państwa do Warszawy, uczcijmy wspólnie bohaterów naszej niepodległości” – tymi słowami były premier zwracał

się do swoich zwolenników na łamach „Gazety Wyborczej”.

Jednak następnego dnia pod Belwederem stało się ok. 200–300 osób. „Szału nie ma” – kwaśno skomentował politolog Marek Migalski, dzień wcześniej entuzjastycznie oceniający entré Tuska. Przeprosiny byłego szefa PO z niedzielnego poranka za to, że spierając się o kształt państwa, „czasami robimy to za mocno”, wyglądały jak wycofywanie się rakiem z ataku na „nowych bolszewików” dzień wcześniej. Jeszcze jeden dzień później Tusk z miną niewiniątka wyraził zdziwienie, że ktoś w ogóle powiązał jego słowa z PiS.

Mało efektownie wypadł też występ 11 listopada na placu Piłsudskiego. Prezydent Andrzej Duda rozdrażniony atakiem w Łodzi usadził Tuska w czwartym rzędzie trybuny honorowej. Zbyt elegancko to nie było, ale skutecznie zepsuło show mistrza kąśliwych tweetów. W sumie rocznicowa wizyta zaczęła się dla gościa z Brukseli nieźle, ale finał był taki sobie.

CZŁOWIEK, KTÓRY MÓWI TRUMPOWI „NIE”

Główne przesłanie Donalda Tuska dla kraju znalazło się jednak w sporym (sześć stron) wywiadzie na łamach „Gazety Wyborczej”. Ogólne wrażenie to festiwal minoderii. Pytania-stwierdzenia dziennikarzy „GW” typu: „Władza ma na twoim punkcie obsesję” znajdują uroczco wystudiowane odpowiedzi typu: „Tak sądzicie?”.

Co najistotniejsze, obecny szef Rady Europejskiej nie odpowiada w nim, czy wróci do krajowej polityki, i prosi o cierpliwość. Uderza powtarzanie przez Tuska swej starej taktyki – wzywanie do języka miłości przy jednoczesnym dolegliwym kopaniu przeciwników po kostkach.

„Źle się czuję w atmosferze konfliktu”, „Powinniśmy zakopać podziały”, „Ci, którzy chcą łagodzić w polityce, mają trudniejsze zadanie” – takimi świętoszkowatymi sentencjami usiany jest równomiernie cały wywiad.

A jednocześnie Tusk oskarża i insynuuje. Oskarża, gdy mówi, że „wzniesienie wzajemnej nienawiści jest jednym z najcięższych politycznych przestępstw obecnej ekipy” i gdy patetycznie grzmi: „To się domaga kary”. W narracji Tuska nienawiść to straszliwa cecha rywali, w swoim obozie tego zjawiska nie

■ zauważa, a jeśli już, to jako efekt wojny wywołanej nie ze swojej inicjatywy.

Po deprecjacji przeciwnika sięga też chętnie. Z zacięciem psychologa amatora snuje w wywiadzie diagnozy, że Jarosław Kaczyński chce pisać historię opozycji na nowo, bo prześladuje go wstyd za deficyt osobistej odwagi w epoce PRL.

W kwestiach polityki zagranicznej zwracają uwagę niezwykle ostro jak na osobę zajmującą jedno z najwyższych stanowisk w Unii atak na USA pod rządami Donalda Trumpa. Gospodarz Białego Domu oskarżany jest przez Tuska o bycie liderem „Ameryki nieprzychylnej Europie” oraz osobą, która chce „rozłożenia świata na czynniki pierwsze”. Ostro dostaje się też Viktorowi Orbánowi i Włochom.

Warto nie traktować takich zdań jedynie jako poprawnościowej retoryki. To sygnał, że w razie ewentualnego powrotu Tuska do krajowej polityki wysadzi on w powietrze politykę bezpieczeństwa Polski opartą na specjalnych relacjach z Waszyngtonem na rzecz mgławicowych projektów obronnych Emmanuela Macrona.

Przesłanie Tuska dla opozycji zawarte w wywiadzie można odczytać tak: „Nastroje nie zmieniły się radykalnie i są do odwrócenia. Wszystko jest do odwrócenia”. Patron opozycji pociesza swoich wyznawców, że PiS przez trzy lata rządów nie udało się dokonać strukturalnej zmiany społecznej, takiej, którą przeprowadził Fidesz na Węgrzech. Gra toczy się o parę procent głosów, które w przyszłorocznych wyborach mogą przeważać na rzecz odzyskania władzy. Dokonać musi tego zjednoczony, silny blok połączonej opozycji. Musi być on spluralizowany, tak jak kiedyś szeroko otwarta Platforma była nie do pokonania.

W kwestii wyborów prezydenckich z rozmowy z Tuskiem można wyciągnąć wniosek, że jeśli wystartuje, to z przesłaniem: „Albo ja – polityk znany i posiadający zaufanie Europy – albo PiS i tym samym osamotnienie, brak bezpieczeństwa i zagrożenie niepodległości Polski”.

Nie widać po Tusku ani śladu namysłu nad tym, że w 2015 r. coś poszło źle. Zawiniły zbyt cackanie się z Mariuszem Kamińskim jako szefem CBA, taśmy kelnerów i jakaś irracjonalna chęć zmian w duszy elektoratu. Pytany o „500+” nie dwuznacznie daje do zrozumienia, że to szkodliwe marnotrawstwo. – Pieniądze łatwo rozdawać – głosi z ironią.

Wszystko to oblane sporą ilością sosu hipokryzji i pochlebstwa. Były lider Platformy przekonuje, że do czterech ostatnich dni nie wiedział, że zostanie wybrany na szefa Rady Europejskiej. Mało wiarygodnie brzmią opowieści, jak to w 1979 r. chciał zaprosić na spotkanie do swego akademika Michnika, a potem Wałęsę i Jerzego Borowczaka. Można jeszcze założyć, że tak mogło być z Michnikiem, choć wtedy jeszcze nie jeździł tak często do Trójmiasta ani nie przechodził tak łatwo na „ty” – jak to twierdzi Tusk. Jednak już Wałęsa szerzej znany stał się dopiero po demonstracji pod stoczną w grudniu 1979 r., a Borowczak był wtedy jeszcze mało wyrobionym politycznie robotnikiem z grupy Wałęsy. To, że Tusk opowiada takie mocno wątpliwe historie, pokazuje, jak łatwo fryzuje przeszłość na potrzeby dzisiejszego dnia – akurat coś, co zarzuca Jarosławowi Kaczyńskiemu.

OPOZYCJA ZDALNIE STEROWANA?

PiS od lat nigdy nie lekceważył swego wieloletniego przeciwnika. Wizyta Donalda Tuska w Polsce przypadła na moment, gdy Platforma poczuła się znów silna swoim niedawnym zwycięstwem w wielkich miastach. Opozycja dumna była też z dość udanego występu Tuska przed komisją badającą aferę Amber Gold. Tym razem miał w oczekiwaniach wielu polityków dać czytelny sygnał: „Wchodzę do gry!”.

Nie widać po Tusku ani śladu namysłu nad tym, że w 2015 r. coś poszło źle. Pytany o „500+” daje do zrozumienia, że to szkodliwe marnotrawstwo

Jednak szef Rady Europejskiej ciągle igrza z opozycją jak wyrafinowany uodzieciel z rozkochaną panną. W wywiadzie dla „GW” łaskawie przyznaje: „Dla oponentów dzisiejszej władzy pamięć o nieodległych w czasie zwycięstwach Platformy jest znakiem nadziei. [...] I że jestem jedynym człowiekiem, który ma na to patent, ale to nie takie proste”.

Taka taktyka jest wygodna dla Tuska, ale niszcząca dla opozycji. Ta bowiem, czekając na gdańskiego jeźdźcę na białym koniu, w niewielkim stopniu się modernizuje. Co więcej, Tuska nie opuszcza

upodobanie do upokarzania Grzegorza Schetyny. 11 listopada uchylił się pod pomnikiem Piłsudskiego od podania ręki liderowi PO, i to przed obiektywami kamer. Tak samo w wywiadzie dla „GW” przybył z Brukseli milczał, gdy dziennikarze mówili: „Opozycja jest rozproszona, nie ma przywódców. [...] brakuje scenariusza. Ludzie nie wiedzą, kto się czego podejmie, jak działamy. Mamy chaos”.

Cała ta tyrada brzmiała jak petycja zrozpaczonych bojarów błagających Iwana Groźnego, by łaskawie zechciał wrócić na tron.

Tusk odpowiada jak sprytny car. Niejasno. „Zgłaszając jakąkolwiek deklarację zaangażowania politycznego kraju, jutro powinienem zrezygnować z pełnionej tutaj funkcji”. Jedynie, co deklaruje swoim zwolennikom, to słowa: „Dyskretna jest jedynym dopuszczalnym sposobem postępowania. Musicie to uszanować”.

W jakim stopniu Tusk chce pomagać w montowaniu zjednoczonego bloku opozycji na wybory do europarlamentu? Wizyta Tuska u Leszka Millera – formalnie w celu złożenia kondolencji po tragicznej śmierci syna – wywołała falę spekulacji w sieci, czy nie jest to wstęp do włączenia postkomunistów do zjednoczonego bloku lewicy. Pasowałyby do takich planów słowa szefa Rady Europejskiej z wywiadu: „Mam już tyle lat, że słabnie moja radykalnie krytyczna ocena PRL”.

Czy jednak da się takie operacje tworzenia jednego bloku opozycji montować z odległej Brukseli? Zobaczmy. Na razie jednak nasuwa się pytanie: Kto odpowiadał za przesłanie ostatniej wizyty Tuska? Pomysł zagrania wezwaniem do walki z nowymi bolszewikami pasuje do Romana Giertycha, który ponoć coachował Tuska u Schetyny w czasie niedawnych przesłuchań w Sejmie. Niezależnie, kto to był, ten ktoś przestrzelił, podobnie jak rzucając ideę spotkania z byłym premierem 11 listopada pod Belwederem. Chyba czas na lepszych doradców.

Tym bardziej że obóz władzy nie dał się podejść w sprawie Marszu Niepodległości. Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki potrafili przejąć inicjatywę w sprawie marszu, podcinając nogi gierkom Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Poczekajmy na kolejne rundy boksu na linii Bruksela – Warszawa. Jednak po zwarcu 11 listopada PiS może czuć się nieco spokojniej. Donald Tusk też popełnia błędy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wygrywamy niezmiennie od ponad 60 lat!

Spółka działa nieprzerwanie ponad sześć dekad. Jednak to właśnie ostatnie lata wymagają szczególnej uwagi przy kształtowaniu polityki CSR. Przypomnijmy, że w 2017 r. dokonały się najważniejsze zmiany w historii Totalizatora Sportowego i w ogóle całego rodzimego rynku gamingowego. Dzięki nowelizacji Ustawy o grach hazardowych, której zapisy weszły w życie 1 kwietnia 2017 r., Totalizator Sportowy rozpoczął działalność w nowych obszarach rynku, do których drzwi były dla spółki wcześniej zamknięte. Na mocy ustawy właścicielowi marki LOTTO powierzono segment salonów gier na automatach, umożliwiono organizację kasyna internetowego oraz wejście do konsorcjum Eurojackpot i sprzedaż własnych produktów w Internecie. Tak wielkie zmiany wymagały też zaktualizowania i rozszerzenia polityki społecznej odpowiedzialności, zwłaszcza projektu Odpowiedzialnej Gry.

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE

Warto odnotować, że mimo tylu nowości niezmiennie „po staremu” pozostają dla firmy: troska o bezpieczeństwo graczy; stały rozwój, poszukiwanie nowych innowacyjnych rozwiązań, które pozwolą wyprzedzać potrzeby rynku loteryjnego; wsparcie walki z szarą strefą w obszarze gier hazardowych; groma-



Pracownicy, relacje z poszczególnymi grupami interesariuszy czy ochrona środowiska – to kilka wybranych obszarów społecznej odpowiedzialności biznesu, które są monitorowane w każdej spółce stosującej zasady CSR (corporate social responsibility). Nie inaczej jest w przypadku Totalizatora Sportowego. Jednak od takich spółek, jaką jest właściciel marki LOTTO, wymaga się więcej w kwestii społecznej odpowiedzialności niż w przypadku wielu innych firm. Wynika to m.in. z faktu, że Totalizator Sportowy jest głównym filarem finansowania polskiego sportu i kultury

dzenie funduszy na rzecz rozwoju polskiego sportu, kultury, społeczeństwa obywatelskiego i profilaktykę uzależnień.

BEZPIECZEŃSTWO PONAD WSZYSTKO

Jak już wspomniano, zmiany na rynku pociągnęły za sobą konieczność rozbudowy o nowe obszary obowiązującego od lat w Totalizatorze Sportowym Programu Odpowiedzialnej Gry. Tak też się stało. Dlatego każda osoba, bez względu na to, jakie gry urządzone przez Totalizator Sportowy lubi, może być pewna, iż korzysta ze sprawdzonych i bezpiecznych produktów, a ponadto gra legalnie.

Warto przy okazji dodać, że część pieniędzy wydanych na grę jest przeznaczana na ważne cele społeczne, w tym sport i kulturę. Dzięki bardzo dobrej sprzedaży produktów LOTTO środki trafiające na te dwie dziedziny życia społecznego każdego roku są liczone w setkach milionów złotych. Niezwykle cenne jest to, że w dzieło budowy potęgi sportu i kultury jest włączona wielka rodzina graczy. Z obiektów sportowych i instytucji kultury, które powstały lub zostały wyremontowane z ich pieniędzy, korzystają wszyscy, także ci, którzy nigdy nie wydali złotówki na grę. Dlatego właśnie hasło „Wygrywamy razem” ma w przypadku Totalizatora Sportowego tak głęboki sens.



Stefan Sękowski

Jeśli chce się zrozumieć „afere KNF”, to trzeba zawiesić polityczne sympatie. W sprawie może być bowiem ubrudzonych wiele rąk

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, wiadomo było, że: 28 marca 2018 r. z przewodniczącym Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Chrzanowskim, w siedzibie KNF, spotkał się Leszek Czarnecki – właściciel Getin Noble Banku i Idea Banku. Przebieg tej rozmowy (ale nie całej, gdyż niedostępne są nam treści objęte tajemnicą bankową) znamy dzięki nagraniu. Czarnecki wszedł bowiem do biura Chrzanowskiego z trzema urządzeniami nagrywającymi. Dwa z nich: dyktafon i kamera umieszczona na długopisie, krótko po wejściu przestały działać przez „szumidła”, które w swoim pokoju umieścił szef KNF, o czym zresztą powiedział na początku tej rozmowy. Najbardziej interesujący fragment dotyczył propozycji, jaką Chrzanowski złożył Czarneckiemu. Jego banki mają poważne problemy. W związku z tym – jak mówił Chrzanowski – „Zdzisław [Sokal – członek KNF wskazany przez Kancelarię Prezydenta – przyp. red.] ma swój plan, który wygląda w ten sposób, że on uważa, że Getin powinien upaść, za złotówkę zostać przejęty przez jeden z tych dużych banków i on chciałby dokapitalizować to kwotą dwóch miliardów złotych. Czyli już ten bank, który to przejmie. I to jest jego wizja rozwiązania sprawy. I nas [pozostałych członków KNF] atakuje za każdą decyzję, którą podejmujemy, pozytywną w stosunku do banku, u prezydenta, u premiera [...]”. Ratunkiem miało być zatrudnienie wskazanego przez Chrzanowskiego radcy prawnego, Grzegorza Kowalczyka, który mógłby „się zająć jedną sprawą od początku do końca”.

W tym miejscu warto wytłumaczyć (cały czas trzymając się w stu procentach potwierdzonych faktów), że „plan Zdzisława” (o ile istniał) byłby w momencie przeprowadzania rozmowy niezgodny z prawem – o czym wspominali obaj uczestnicy spotkania. Nie chodziło o procedurę resolution, która możliwa jest



Wielka afera w KNF



Leszek Czarnecki (z prawej) twierdzi, że próbowano przejąć jego bank. Ujawnił nagraną w marcu rozmowę z szefem KNF Markiem Chrzanowskim

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

w Polsce od dwóch lat i polega na przymusowej restrukturyzacji banku w interesie publicznym. Procedurą stosowaną w ostateczności zajmuje się Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Możliwe są: pokrycie strat z kapitału własnego, utworzenie banku pomostowego czy sprzedaż akcji. Czarnecki by jej nie chciał, obaj rozmówcy podają w wątpliwość konieczność i możliwość zastosowania jej w przypadku Getinu, ale żaden jej legalności nie podważa. Są to więc dwie różne kwestie.

Grzegorz Kowalczyk – bo o tego radcę chodzi – nie trafił na listę płac konsorcjum Czarneckiego. Nagrania nie oglądały światła dziennego aż do 7 listopada, kiedy pełnomocnik Czarneckiego – Roman Giertych – złożył w warszawskiej prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Niedługo później sejmowa Komisja Finansów Publicznych pozytywnie zaopiniowała na szybko wniesioną przez posła Kazimierza Smolińskiego poprawkę Klubu

PiS do rządowego projektu Ustawy o zmianie niektórych ustaw w związku ze wzmocnieniem nadzoru oraz ochrony inwestorów na rynku finansowym. Umożliwia ona – na mocy decyzji administracyjnej Komisji Nadzoru Finansowego – przejmowanie jednego banku przez drugi w sytuacji obniżenia sumy funduszy własnych banku poniżej poziomu określonego w przepisach ustawy o prawie bankowym albo gdyby tylko zaistniało „niebezpieczeństwo obniżenia tej sumy”. Legalizowałaaby ona „plan Zdzisława” (o ile istniał). Sejm przyjął ustawę 9 listopada. We wtorek 13 listopada „Gazeta Wyborcza” opublikowała artykuł „Spokój za 40 milionów” opisujący relację Czarneckiego z wizyty

Będziemy musieli znaleźć odpowiedzi na wiele pytań pojawiających się w tej sprawie, m.in.: Czy Marek Chrzanowski działał sam?

w KNF i jego nagranie. Jeszcze tego samego dnia należący do miliarda Idea Bank trafił na listę ostrzeżeń KNF.

Chrzanowski, przebywający w Singapurze na FinTech Festival, został wezwany przez premiera. Jeszcze tego samego dnia ogłosił dymisję. Według TVN24 kolejnego dnia przyszedł jednak do pracy. Kilka godzin później w KNF pojawili się agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Prokurator generalny Zbigniew Ziobro osobiście objął nadzorem śledztwo w tej sprawie zlecone Delegaturze Śląskiej Prokuratury Krajowej. Akcje Getinu i Idea Banku odnotowywały wyraźne kilkunastoprocentowe spadki.

KTO ZA TYM STAŁ

W najbliższych tygodniach, a być może miesiącach, będziemy musieli znaleźć odpowiedzi na wiele pytań: „Czy Marek Chrzanowski działał sam?”, „Czy istniał »plan Zdzisława« (nawet jeśli jego autorem nie był Zdzisław Sokal)?”, „Czy mamy do czynienia z problemem systemowym, czy jednak »tylko« dużą aferą korupcyjną?”. Sprawa jest poważna, bo sam Roman Giertych i parlamentarna opozycja wytaczają ciężkie działa w postaci zarzutów podjęcia próby oli-

garchizacji państwa na wzór węgierski i nacjonalizacji prywatnych przedsiębiorstw. Jeśli nic nie jest na rzeczy, to PiS powinno zależeć na jak najszybszym wyjaśnieniu sprawy. Wybory już za rok, a nic nie szkodzi bardziej partii wypisującej na sztandarach chęć walki z korupcją i propanstwowość jak zarzuty korupcyjne i niszczenia państwa. Jeśli taki proceder istniał, to najbardziej na jego zatrzymaniu powinno zależeć obywatelom, bo zastępowanie sitw III RP sitwą IV RP to żaden dla nich interes.

Zanim jednak obwołamy Leszka Czarneckiego i Romana Giertycha obrońcami praworządności i własności prywatnej, warto wspomnieć, że nie są święci i w całej sprawie mają też swój interes. Leszek Czarnecki w latach 80. podpisał zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i z wywiadem PRL. Działalność gospodarczą zaczął jeszcze w połowie lat 80. (zajmował się pracami podwodnymi), by w latach 90. wkroczyć w sektor finansowy. Należące do niego instytucje słyną z udzielania pożyczek komu bądź, za to na wysoki procent, wiążąc je nierzadko z niezbyt korzystnymi dla klientów produktami ubezpieczeniowymi – stąd się zresztą biorą ich obecne problemy finansowe (trwa ich proces naprawczy). W styczniu tego roku Sąd Apelacyjny w Warszawie stwierdził, że Getin Noble Bank musi zapłacić 5 mln zł kary za nieprawidłowości przy sprzedaży „polisolokat”. Czarnecki był także współzałożycielem firmy windykacyjnej GetBack – udzielił sprzedaży w 2016 r. Umieszczenia Idea Banku na liście ostrzeżeń KNF nie można też w prosty sposób powiązać z obecną aferą: o tym, że tak się może stać, pisał już 31 października 2018 r. „Dziennik Gazeta Prawna”. Przyczyną jest fakt uczestnictwa tej instytucji w sprzedaży obligacji GetBack.

Roman Giertych jest nieprzejednanym politycznym wrogiem Jarosława Kaczyńskiego. Po wyborczej klęsce Ligi Polskich Rodzin w 2007 r. dał sobie spokój z narodowymi stronnictwami (przy okazji – LPR nadal istnieje, a jej zarząd główny poparł w ostatnich wyborach samorządowych kandydatów PO startujących z list Koalicji Obywatelskiej) i stał się statecznym konserwatystą. Wrócił do pracy adwokata. W różnych sprawach reprezentuje m.in. polityków związanych z Platformą – Radosława Sikorskiego, Donalda

Tuska. O polityce jednak nie zapomniał. Trzy lata temu starał się o wybór do Senatu, jako kandydat niezależny, choć ciesząc się cichym błogosławieństwem PO, która w jego okręgu nie wystawiła kandydata. Ostatecznie przegrał z Konstantym Radziwiłłem.

CZŁOWIEK KNF W RADZIE NADZORCZEJ?

Obaj przedstawili materiały, które mogą świadczyć o korupcji, ale nie w sprawie ewentualnego systemowego działania obozu PiS, co sugeruje Roman Giertych. Na razie wygląda też jednak na to, że akcja z Czarneckim mogła nie być jednorazową grą jednej osoby. Biznesmen otrzymał od Chrzanowskiego wizytówkę Grzegorza Kowalczyka –

Warto wspomnieć, że Leszek Czarnecki i Roman Giertych nie są święci i w całej sprawie mają też swój interes

radcy prawnego z Częstochowy, niemającego doświadczenia w bankowości. Chrzanowski miał zażądać dla niego (w domyśle: nie tylko) wynagrodzenia w wysokości 1 proc. rocznego zysku Getinu (co miałyby się przekładać na ok. 40 mln zł) – warto zaznaczyć, że na tę ofertę dowodu nie ma, gdyż to jedynie słowa Czarneckiego, któremu Chrzanowski miał napisać ten procent na kartce. To jest jednak bez większego znaczenia, gdyż w ogóle propozycja zatrudniania znajomego prawnika nie powinna paść z ust szefa KNF.

Sam Kowalczyk dystansuje się od sprawy, jednak rzecznik prasowy Zygmunta Solorza Tomasz Matwieczuk zdążył już napisać w odpowiedzi na pytanie „GW”, że „w celu zapewnienia pełnej transparentności działań banku, właściciel, jak i przedstawiciele Rady Nadzorczej [Plus Banku należącego do Zygmunta Solorza – przyp. aut.] wyrazili pełną chęć i gotowość do współpracy z urzędem, jakim jest Komisja Nadzoru Finansowego, w tym między innymi poprzez wyznaczenie przez KNF swojego przedstawiciela w Radzie Nadzorczej banku”. W lipcu tego roku został nim właśnie Kowalczyk, którego wedle słów rzecznika rekomendował przewodniczący KNF. Problem w tym, że Komisja Nadzoru Finansowego nie wyznacza swojego przedstawiciela do rad nadzorczych

banków. Jeśli więc tak było, to odbyło się to „bez żadnego trybu”.

Chrzanowski albo grubo blefował, albo nie działał sam, gdyż KNF to ciało kolegalne. Jednoosobowo nie mógł podejmować decyzji w kwestiach dotyczących być albo nie być poszczególnych banków. Na razie nie ma jednak dowodów na to, że sprawa dosięga kogoś poza Chrzanowskim i jego otoczeniem lub przynajmniej części KNF. Podczas wywiadu w TVN24 Giertych pytał publicznie prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego, czy w czasie jego rozmowy z Chrzanowskim i Czarneckim padło z jego ust stwierdzenie, że „sprawę pana Sokala rozwiążemy we własnym zakresie, albowiem jest to nasz wewnątrzpartyjny problem”. Do-

póki nie będzie na to dowodów, dopóty należy to traktować jako insynuację – sam Giertych uciekał od odpowiedzi na pytanie Andrzeja Morozowskiego, czy w trakcie spotkania z prezesem NBP urzędnicy nagrywający nadal były włączone. Faktem jest, że takie spotkanie się odbyło, i to od razu po rozmowie w siedzibie KNF.

Sprawa jest poważna i wymaga wyjaśnienia. Obecnie jest jeszcze za wcześnie, by ferować wyroki. Na pewno kwestia wymaga czujności – od dziennikarzy i obywateli. Od nadzoru nad bankami zależy finansowy los milionów Polaków i sprawować nad nim kontroli nie mogą ludzie nieodpowiedzialni czy skorumpowani. Należy tak kształtować procedury restrukturyzacyjne banków, by służyły one swoim klientom, a ich upadłość nie szkodziła całemu systemowi bankowemu. Jednak hipotetycznie możliwe jest zawsze takie tworzenie prawa, które pod płaszczykiem dobrych intencji służy przejmowaniu cudzej własności i kontroli nad dużą częścią danego rynku. Zresztą mieliśmy w przeszłości przykłady takich sytuacji, choćby „afery Rywina”. W grę wchodzi także ogromne pieniądze i „whistleblowery” nie muszą mieć konieczności czystych intencji. Sprawa będzie gorąca na pewno przez długi czas.

© 2020 Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 19
LISTOPADA
2018

OSIEMNASTY ODCINEK SERII

Militarne mocarstwo – jak to się robi?

Wyjaśniamy, jak nowe państwo w krótkim czasie stworzyło wielką armię.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna

Kiedy Dmowski



Rafał A. Ziemkiewicz

Marsz Niepodległości jest od lat wielką demonstracją patriotów przeciwko liberalnym i lewicowym salonom

Próby zdyskredytowania i usunięcia z przestrzeni publicznej Marszu Niepodległości co roku stanowią główny wątek obchodów 11 listopada – nie inaczej było i tym razem. Po raz pierwszy jednak nie tylko, jak to już jest rutyną, próbowano marsz zablokować i zniesławiano go jako „faszyzm” i uliczne burdy, lecz także podjęto próbę włączenia go w program oficjalnych uroczystości. Co, choć generalnie zakończyło się sukcesem, bynajmniej nie cieszy jego organizatorów. „PO nam marszu zakazywała, PiS próbuje go ukraść” – mówią. Wiele wypowiedzi prominentnych przedstawicieli PiS, np. wicepremiera Głińskiego, wskazuje,

że obawy narodowców przed „upaństwowieniem” przedsięwzięcia, które zdominowało święto 11 listopada, nie są bezpodstawne.

Widać w każdym razie, że z marszem ma problem nie tylko lewica, która od samego początku odmawia narodowcom prawa do istnienia oraz manifestowania i która rozpętała przeciwko nim haniebną nagonkę propagandową w krajowych i światowych mediach. Problem ma także PiS. Sto tysięcy maszerujących, dużo młodszych niż na innych manifestacjach, to z jednej strony łakoma zdobycz, jeśli można pokazać ich jako swoich zwolników. Z drugiej – wizerunkowa porażka władzy, jeśli maszerują przeciwko niej. To także obawa, że PiS ktoś może obejść od prawej strony, okazać się bardziej od niego radykalny w rozliczeniach z III RP, lewicą i patologiami systemu.

Co prawda, jak dotąd coroczna potęga manifestacji ulicznej w żaden sposób nie przełożyła się na polityczne znaczenie narodowców – dobrze zorganizowani i obecni prawie wszędzie, mimo to nie liczą się w sondażach ani wyborach, a ich społeczny odbiór jest fatalny: przecięt-

nemu Polakowi słowo „narodowiec” kojarzy się z chuliganieniem, zadymą i zagrożeniem. A jednak w ostatnim czasie trudniej zbywać ich lekceważeniem i machnięciem ręki. Nie tylko dlatego, że na zainicjowany przez nich marsz przyjeżdża dorocznie tak wielu ludzi, iż siłą rzeczy stał się on centralnym, niemożliwym do zignorowania punktem świątecznych obchodów.

Sądzę, że na obcesowe zachowanie władzy wobec Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, w istocie zakrawające na próbę, by pod pretekstem ochrony go przed ofensywą lewicy i działaniami ustępującej prezydent Warszawy nadać marszowi inną, „pisowską” tożsamość, ogromny wpływ miał wynik wyborów w Przemyślu. W tym tradycyjnym bastionie PiS jego kandydat przegrał miażdżąco – 75 proc. do 25 – z młodym przedsiębiorcą, formalnie kandydatem Kukiz'15, ale dzięki ostrej antyimigranckiej retoryce (żądanie „muru na granicy z Ukrainą”) postrzeganym jako bliski narodowcom.

Mniejsza zresztą o związki organizacyjne bądź ich brak – dla nikogo nie jest

maszeruje



FOT. PIOTR MOLEK / EAST NEWS

tajemnicą, że Przemysław ukarał w ten sposób PiS za proukraińską i proimigracyjną politykę. Kto zna historię i specyfikę tego miasta, ten wie, dlaczego antyukraińskie czy raczej antybanderowskie emocje są tu szczególnie silne. Jednak tak wielki sukces kandydata, wydawałoby się, zupełnie skompromitowanego aktywnością w ruchu antyszczepionkowym, musiał obudzić na Nowogrodzkiej lęk. Jednym z jego objawów miała być, według doniesień części mediów, cicha dyrektywa, wydana przez szefostwo PiS pracownikom resortów gospodarczych, by nie wspominali nigdzie o zachętach dla pracowników cudzoziemców, a z wszelkimi pytaniami dotyczącymi imigracji odsyłać do ministra Brudzińskiego. Drugim – właśnie ta skwapliwość, z którą władza podchwyciła okazję stworzoną przez Hannę Gronkiewicz-Waltz manifestacyjnym, prewencyjnym zakazem marszu, i złożyła „propozycję nie do odrzucenia”: marsz przejdzie jako uroczystość organizowana przez państwo, pod inną nazwą, a jego uczestnicy mają schować swoje tradycyjne emblematy i podporządkować się zarządzeniom władz. I to z dużą

presją na szybką decyzję, bo czas goni, a zakaz – jakkolwiek w oczywisty sposób niekonstytucyjny – wisi nad karkiem.

@

Nazywanie Marszu Niepodległości „marszem narodowców”, co narzuciły liberalno-lewicowe media, nie jest do końca trafne. Oczywiście to narodowcy go stworzyli i narodowcy odgrywają główną rolę w będącym organizatorem „zgrupowania cyklicznego” Stowarzyszeniu Marsz Niepodległości, ale tożsamość marszu jest szersza. Jego ośmioletnia historia potoczyła się tak, że jest to wielka demonstracja patriotów przeciwko liberalnym i lewicowym salonom oraz sprzeciw wobec ich dyskursu – „pedagogice wstydu” i tezom, którymi regularnie karmi swych wyznawców michnikowszczyzna: że „polskość to nienormalność”, „patriotyzm to rodzaj rasizmu” i „najbardziej chore słowo”, że „rozbiory nas ucywilizowały”, „Polacy byli współsprawcami, nie tylko ofiarami” etc. W tym sensie marsz zawsze był równie „pisowski”, co „endecki”.

Ponieważ mam swój skromny udział w tej historii, przypomnę ją pokrótce. Ini-

cyatywa narodziła się po burdach między subkulturami skinheadów i anarchistów, w które zamieniło się składanie kwiatów pod pomnikiem Romana Dmowskiego w Święto Niepodległości w 2009 r. Bijatki między tymi grupkami były od pewnego czasu stałym elementem świątecznego pejzażu, mało zauważanym przez kogokolwiek poza policją, ale akurat w roku 2009 dwie narodowe organizacje – Młodzież Wszechpolska i Obóz Narodowo-Radykalny – postanowiły stanowczo odciąć się od skinheadzkiego bagażu. Ustalono wspólne reguły marszu, zasady wykluczające subkultury, przemoc i łamanie prawa (część radykałów, nie godząc się na to, opuściła MW i ONR, aby stworzyć różne skrajne grupy – ich rozróby są do dziś starannie czy wręcz z uwielbieniem monitorowane przez media salonu i przypisywane zbiorowo „narodowcom”), powołano także komitet honorowy marszu, w skład którego miałem zaszczyt wchodzić.

Jest charakterystyczne, że nie sama obecność i ekscyzy grupy, które istotnie można było kojarzyć z neofaszystem czy rasizmem, wywołały reakcję liberalnego establishmentu, ale dopiero właśnie inicjatywa mająca na celu oczyszczenie środowisk odwołujących się do tradycji endeckiej z takiego elementu. Przeciwno marszowi zmobilizowała lewica wszystkie siły, a przywództwo nad akcją „wykopania faszystów z Warszawy” objęła „Gazeta Wyborcza” (m.in. ogłosiła akcję „wygwizdywania” narodowców, ponoć gwizdków przeznaczonych do rozdania uczestnikom kontrmanifestacji zakupiono wtedy 100 tys., co pokazuje, jak bardzo gazeta i środowisko, które ona reprezentuje, przeceniły swoją popularność).

W efekcie Marsz Niepodległości stał się z roku na rok potężniejszą manifestacją antylewicową, z ulubionym zawołaniem, odziedziczonym po „rozwydrzonych wyrostkach” z lat stanu wojennego: „Raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę!”. Efektem nagonki w mediach, prób rozbicia marszu przez bojówki Antify i agresywnych „blokad” (mało kto pamięta dziś, że za fizyczną agresję wobec funkcjonariuszy na służbie został w 2010 r. zatrzymany i ukarany Robert Biedroń – który zresztą twierdził potem, że policjanci pobili go w samochodzie) było przyłączenie się do marszu na pewien czas Klubów „Gazety Polskiej” i praktycznie wszystkich środowisk antykomunistycznych.

Z roku 2011 zapamiętałem niesiony przez jeden z Klubów „Gazety Polskiej”

■ transparent: „Nie będą komuniści robić ze mnie faszysty” chyba najlepiej oddaje on sens marszu i jego popularność. Salony sięgnęły po swoją ulubioną broń, w ich przekonaniu morderczą. Od pierwszego marszu uporczywie nazywały go „manifestacją faszystowską”, swoim zwyczajem inspirując do takich ocen media zagraniczne i potem powołując się na ich opinie jak na „obiektywny dowód”. W roku ubiegłym eurodeputowanym PO udało się nawet dopisać marsz do potępiającej „odrażanie się w Europie faszyzmu” rezolucji PE.

Trudno tej całej propagandy nie nazwać inaczej niż skrajnie podłą i arcykłamliwą. Środowiska, które ją uprawiają, nie są zresztą w stanie wskazać jakiegokolwiek konkretnego, bodaj jednego związku tradycji Dmowskiego, nawet w jej najbardziej radykalnym przedwojennym wydaniu, z faszyzmem. Historycznie rzecz ujmując, jeśli istniały pewne podobieństwa ONR i ruchów powstałych z jego rozłamów do faszyzmu włoskiego, to w tym, co stanowiło wówczas powszechną i akceptowaną część życia politycznego po wszystkich stronach sceny politycznej – w Polsce zdecydowanie bliżej wzorców Mussoliniego byli piśsudczycy, zwłaszcza w nurcie „ozonego” Śmigłego-Rydza. A jeśli za miarę faszyzmu uznamy polityczną przemoc, to warto wiedzieć, że według policyjnych raportów późnych lat 30. ruchy narodowo-radykalne odpowiadały jedynie za 5 proc. (!) takich wypadków, daleko ustępując w tym lewicy.

Obelga „faszyzm” jest używana przez lewicowe i liberalne media dokładnie w taki sposób, w jaki czyniła to propaganda stalinowska i zalecał Komintern, który zresztą przez większość zachodnich salonów uznawany jest dziś za ich, bynajmniej nie wstydliwą, tradycję. Równie uzasadnione byłoby urządzanie na świecie alarmu w dniu Bożego Ciała, przedstawiając tradycyjne procesje tego dnia jako pochody pedofilów – z powoływaniem się, jako na źródło wiedzy o prawdziwych celach i charakterze katolicyzmu, na film Smarzowskiego, publikacje Urbana i Kotlińskiego oraz forum internetowe „Gazety Wyborczej”, gdzie nazywanie Jana Pawła II pedofilem jest na porządku dziennym.

Zresztą w czasach, gdy marsz starano się uparcie zadeptać, podnosząc do rangi jego symbolu to, co albo było – tak jak spalanie wozów TVN czy budki pod rosyjską ambasadą – ewidentną policyjną prowokacją, albo – tak jak bijatyka pod skłotem

anarchistów, albo podpalenie „Tęczy” na pl. Zbawiciela – działało się w ogóle z dala od trasy marszu, ostrzegałem, że jeśli pozwolimy ówczesnej władzy i stojącemu za nią lewicowo-liberalnemu establishmentowi marsz zniszczyć, procesje Bożego Ciała będą dla niego następnym celem. Dzisiaj, gdy ogromna liczba przybyłych i państwowy charakter marszu czynią jego likwidację niemożliwą, to już na szczęście tylko wariant teoretyczny.

@

Największym problemem, który ma PiS z Marszem Niepodległości, nie jest może jednak to, że stanowi potencjalne zagrożenie powstania czegoś liczącego się na prawo od PiS, zwłaszcza silne, gdy ten ostatni „zakuglował się” w sprawie imigracji i dał, jak pokazuje Przemyśl, potężne paliwo dla polskich naśladowców Jobbiku. Największy problem to chorobliwa idiosynkrazja, którą do tradycji narodowej żywią Jarosław Kaczyński i cała „żoliborska” formacja, którą on reprezentuje. Na użytek czytelników „Do Rzeczy” nie trzeba akurat tłumaczyć, jak się ta obsesja objawia – mają państwo jej znakomity przykład w osobie i twórczości Waldemara Łysiaka.

Marszu Niepodległości i wzrostu antyimigranckich oraz antyunijnych nastrojów nie da się już zignorować

Z jednej strony PiS nie może się dołączyć do narracji, przypisującej dziedzictwo Dmowskiego do „faszyzmu”, bo przecież sam jest przez te same media i salony traktowany tak samą obelgą. Z drugiej strony jego liderzy w głębi ducha zgadzają się, że coś – może nie stricte faszystowskiego, ale „faszyzującego”, coś wykluczającego z grona „ludzi, którym się podaje rękę” jednak w tradycji endeckiej jest. Kilka lat temu Jarosław Kaczyński, pytany o możliwości współpracy PiS z organizatorami marszu, odpowiedział wprost, że „dla antysemityzmu nie może być żadnej tolerancji”. Nie krył też niezadowolonych z udziału w manifestacji Klubów „Gazety Polskiej” i była to jedna z przyczyn, dla których na kilka lat PiS w dniu 11 listopada urządzał swoje, osobne obchody w Krakowie. Trudno się temu dziwić, przecież jednym z mentorów Kaczyńskiego, przywoływanym zawsze

z wielkim szacunkiem, był Jan Józef Lipski – autor „Katolickiego państwa narodu polskiego”, książki będącej wręcz elementarzem inteligenckiej endekofobii. Skandaliczne słowa Zofii Romaszewskiej, by narodowcy „schowali swe znaki runiczne i swastyki”, nie były lapsusem, tylko obrazem stanu umysłów, raz jeszcze powtórzę to umowne określenie, „żoliborskich”.

W PiS, jak pokazała choćby arcszkodliwa dla tej partii akcja przeciwko hodowcom zwierząt futerkowych, idiosynkrazje Komendanta biorą czasami górę nad politycznymi rachubami. Nawet zresztą, gdyby nie istniała ta podskórna niechęć do endecji, Jarosław Kaczyński ma zupełnie odwrotną strategię polityczną niż Viktor Orbán. Tamten sprytnie używa Jobbiku do szachowania węgierskiego odpowiednika „lemingów”, że jeśli osłabia Fidesz, to udział we władzy zdobędą jeszcze od niego straszniejsi nacjonaliści – prezes PiS od zawsze dba zaż pręde wszystkim o to, żeby na prawo od PiS była tylko ściana, i wszystko, co się tam próbuje wcisnąć, traktuje jako śmiertelne zagrożenie.

Tylko że Marszu Niepodległości i wzrostu antyimigranckich oraz antyunijnych nastrojów, które będą dawać coraz silniejszy wiatr w żagle ruchom odwołującym się do tradycji ruchów narodowo-radykalnych, nie da się już zignorować. Nie da się też, jak tego próbowano, narodowców spacyfikować – są za dobrze zorganizowani, a oczywista nikczemność nagonki na nich zapewniła im zbyt wielkie poparcie w antylewicowym elektoracie.

Na razie wielka improwizacja, która z tego wynika, przyniosła korzyści obu stronom. PiS zyskał wielki wizerunkowy sukces, którym okazały się obchody – marsz wiele zyskał na policyjnej i kontrwywiadowczej ochronie, dzięki której „zwinęto” w porę prowokatorów zamierzających przyłączyć się do marszu z oczywistą intencją wywołania jakichś zamieszek czy przynajmniej gorszących ekscesów. „Opakowanie” właściwego marszu w marsz państwowy, „biało-czerwony”, mocno też podniosło frekwencję, łagodząc dość odstraszający dla rodzin z dziećmi „kibolski” wizerunek manifestacji posuwającej się w huk, dymie i ogniu rac. Władza i organizatorzy marszu skazani są na konflikt, ale także na współpracę, na zachowywanie pozorów, że wierzą nawzajem w swoje dobre intencje – na krótką metę i jedni, i drudzy na tym zyskali. Czy będzie tak w przyszłości? To zależy od zręczności ich samych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYSK | IZABELA TROJANOWSKA
RAFAŁ BARTMIŃSKI | ŁUKASZ DRAPAŁA | KRZYSZTOF KILJAŃSKI | MAREK PIEKARCZYK | ADAM SZERSZEŃ
JAKUB WOCIAŁ | MATEUSZ ZIOŁKO | ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
ORAZ ORKIESTRA SINFONIA VIVA POD DYREKCJĄ JANA STOKŁOSY

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00

niepodległa

FUNDACJA STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENASI KONCERTU

PGNiG

LOTOS

Enea

PATRONAT MEDIALNY

RZECZY

wprost

Jesynka

PARTNERZY

Poczta Polska

LOTTO

FUNDACJA STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

FUNDACJA

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

eprasa.pl/2260a01d64

Pałacowa prowizorka



Jedna z wizualizacji obrazująca, jak mógłby wyglądać odbudowany pałac Saski. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Łukasz Warzecha

11 listopada prezydent Andrzej Duda oznajmił, że inauguruje odbudowę pałacu Saskiego. Wszystko jednak wskazuje na to, że to tylko luźny pomysł. Nie wiadomo ani kiedy, ani jak, ani po co. Czyli jak zwykle

Na toruńskim rynku 7 grudnia 1724 r. kat ściął głowę Johannowi Gottfriedowi Rösnerowi, byłemu burmistrzowi miasta, zamieszkanego w części przez protestantów. Był to fatalny finał tumultu toruńskiego, do którego doszło latem tegoż roku, a który zaczął się od drobnego incydentu – luteranin nie uchylił czapki, gdy mijała go katolicka procesja. Surowy wyrok na protestanckich przywódców (na śmierć skazano w sumie 11 osób) skądinąd bezkrwawego tumultu zapadł z pełną akceptacją króla Augusta II Mocnego i wywołał szok w Europie. Polska była już na cenzurowanym, przyprowadzono nam gębę fanatyków, idących wbrew oświeceniowemu prądowi (co zresztą było w dużej mierze prawdą).

Politycznie saska Polska słabła, dodatkowo przeorana przez wyniszczającą wojnę północną (której stroną formalnie

nie byliśmy). Tymczasem jednak rok 1724 był to również rok, w którym ukończono kompletną przebudowę pałacu Saskiego. I nie był to wyjątek. W ostatniej części swojej „Rzeczypospolitej Obojga Narodów”, zatytułowanej „Dzieje agonii”, Paweł Jasienica pisze: „W schyłkowym okresie rządów Augusta II oraz za jego syna i następcy stolica państwa i kraj zdążyły się nie lada jako przyozdobić w sensie świeckim. W Białymstoku stanął nasz »Wersal podlaski«, pałac Branickich, w tej samej dzielnicy Potoccy dodali sobie splendor Radzynie, Radziwiłłowie zaś kazali przebudować i uświetnić swą siedzibę w Białej. Wiśniowieccy, Sułkowscy, Bielińscy, Sapiehowie nie pozostawiali w tyle i nie mogło być inaczej, jeżeli – jak nas zapewnia ksiądz Jędrzej Kitowicz – całą magnaterię i co bogatszą szlachtę ogarnął wtedy wstręt do starzyny”.

HISTORIA BIURA SZYFRÓW

Gruntowna przebudowa pierwotnego pałacu, kupionego przez króla w 1713 r. od rodziny Morsztynów, była połączona z budową całego założenia Osi Saskiej i trwała 11 lat – i to mimo że działło się to częściowo podczas wojny północnej. Samą Oś Saską kończył już August III.

W styczniu 1733 r. August II zrobił sobie przystanek po drodze z rodzimej Saksonii do Warszawy. Zatrzymał się w Krośnie Odrzańskim, gdzie biesiadował, a właściwie odbył libację z pruskim ministrem Grumbkowem. Przy czym była to libacja jednostronna, bo Grumbkow się oświec-

dzał, a August II Mocny robił to, co zawsze: pił na umór mimo słabego zdrowia. Ta popijawa okazała się jego ostatnią. Do Warszawy wprawdzie dojechał, ale 1 lutego nad ranem skonał właśnie w pałacu Saskim.

Pałac pozostawał własnością Sasów do drugiej dekady XIX w., kiedy kupił go rząd Królestwa Polskiego. Kolumnada łącząca skrzydła budynku, której niewielki fragment stoi do dziś, powstała dopiero w czasie kolejnej przebudowy z lat 1838–1842 w miejsce wyburzonej środkowej oficyny. XIX wiek to dla budynku czas degradacji i upadku.

Począwszy od 1841 r., przez 58 lat bezpośrednio przed pałacem stał zniebawidzony przez warszawian pomnik oficerów lojalistów, upamiętniający polskich wojskowych, którzy zginęli z ręki powstańców listopadowych – zresztą w części w okolicznościach wystawiających zapalczywym podchorążym nie najlepsze świadectwo. Gdy pomnik przeniesiono na plac Zielony (dziś plac Dąbrowskiego), jego miejsce po kilkunastu latach zajął monumentalny sobór św. Aleksandra Newskiego. Długo jednak nie zagrzał miejsca wprost przed dawną królewską rezydencją. Zburzono go w latach 1924–1926 jako symbol rosyjskiej dominacji. W tym też okresie na placu Saskim stanął pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, dziś zdobiący dziedziniec Pałacu Prezydenckiego (Namiestnikowskiego).

Po 1918 r. w pałacu Saskim mieścił się Sztab Generalny Wojska Polskiego

oraz słynne Biuro Szyfrów. W 1925 r. zaś w arkadach pałacu umieszczono Grób Nieznanego Żołnierza.

SAME OGÓLNIKI

Pałac przetrwał rok 1939 i został wysadzony dopiero 29 grudnia 1944 r. przez Niemców. Razem z nim wyleciał w powietrze sąsiedni pałac Brühla.

Pomysł odbudowy pałacu Saskiego po raz pierwszy pojawił się na początku wieku, gdy uchwałę w tej sprawie w 2003 r. przegłosowała Rada Warszawy. Koszt odbudowy szacowano wówczas na 201 mln zł, koszt zaś odtworzenia całej zachodniej pierzei placu Saskiego na 550 mln zł. W styczniu 2004 r. ogłoszono przetarg na odbudowę pałaców Saskiego i Brühla w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego, okazało się jednak, że nikt nie był zainteresowany. Przetarg zatem unieważniono i uznano, że partnerstwo publiczno-prywatne nie jest odpowiednią formą dla tej inwestycji. Następnie zdecydowano o odbudowie pałacu ze środków miasta. Koszt miał wynieść 160 mln zł. Podjęto prace archeologiczne, odsłonięto oryginalne fundamenty pałacowe, które nawet można było przez jakiś czas oglądać. W 2007 r. wpisano je do rejestru zabytków. Ostatecznie Hanna Gronkiewicz-Waltz, tłumacząc się problemami finansowymi miasta, odłożyła projekt odbudowy, jak się okazało, ad Kalendas Graecas.

Ile odbudowa kosztowałaby dzisiaj? Według Stowarzyszenia Saski 2018 koszt pozostaje podobny jak ponad dekadę temu. Odbudowanie pałacu Saskiego miałyby kosztować 262 mln zł, a pałacu Brühla (przed wojną siedziby MSZ) – 305 mln zł. Całościowe odtworzenie placu Saskiego, czyli odbudowa obu pałaców i kamienic przy ul. Królewskiej, to, według szacunków stowarzyszenia, blisko 673 mln zł.

Nie są to pieniądze porażające w skali budżetu państwa. Samo Muzeum Historii Polski to koszt ok. 800 mln zł. Może – skoro sprawcami zniszczenia pałacu Saskiego byli Niemcy – warto byłoby wprowadzić do naszych relacji z sąsiadem ten temat? O ile postulaty dotyczące reparacji są, mówiąc najdelikatniej, mało realistyczne, to fundacja, finansująca odbudowę tych pomników polskiej architektury, które padły ofiarami niemieckiego barbarzyństwa, miałyby jak najbardziej rację bytu.

Problem w tym, że deklaracja prezydenta nosi takie same cechy prowizorki

i niedopracowania jak pomysł referendum o konstytucji. Być może Andrzej Duda czuje, że jego pierwsza kadencja mija bez własnego dużego projektu i desperacko poszukuje czegoś, co można by po sobie pozostawić, choćby w formie rozpoczętej budowy. Tyle że mało rozsądne jest rozpoczynanie odbudowy pałacu bez określenia wcześniej, co miałyby się w nim znaleźć. Przecież również od tego zależy, w jakiej formie, przy najmniej wewnętrznej, pałac zostałby odtworzony. Inaczej buduje się gmach na potrzeby urzędu, inaczej – na potrzeby muzeum, a inaczej na biura i kawiarnie. Prezydent stwierdził jedynie, że chciałby, aby było to miejsce dostępne dla wszystkich. To jednak nic niemówiący ogólnik.

Ogólnikami posługiwał się też minister Piotr Gliński. Na zadane w TVP Info pytanie o termin rozpoczęcia prac, odpowiedział: „Będziemy robili to sprawnie”. Nie wspominał o przeznaczeniu budynku. Wiadomo już natomiast, że przedsięwzięcie spotka się z oporem platformerskich władz Warszawy, a niełatwo wyobrazić sobie taką inwestycję, powstającą w warunkach wrogości i być może sabotażu ze strony miasta. „Zawłaszczanie Warszawy jest nie do zaakceptowania” – mówiła o deklaracji prezydenta Ewa Malinowska-Grupińska z PO, przewodnicząca rady miasta. Wiceprezydent stolicy Włodzimierz Paszyński użył argumentu historycznego: „Powiedzmy sobie jasno: to, co chce odbudować w tej chwili Kancelaria Prezydenta, to nie jest żaden pałac Saski. Pałac Saski zniknął z tego miejsca bezpowrotnie w pierwszej połowie XIX w. W tym miejscu powstała kamienica rosyjskiego kupca Skwarcowa. [...] Próbuje się wmówić wszystkim, że odtwarzamy coś, co jest głęboko zakorzenione w polskiej tradycji, a jest to historia dominacji rosyjskiej”. Zdarzyć się może wszystko, zwłaszcza że inwestycje tego typu ciągną się zwykle bardzo długo, a ta zdecydowanie wykracza poza obecną kadencję.

PAŁAC I CO DALEJ?

Założmy jednak, że mimo wszystko pałac powstanie. Co powinno się w nim znaleźć? Postanowiłem o to zapytać kilka osób, zawodowo zajmujących się historią.

Robert Kostro, dyrektor budowanego właśnie Muzeum Historii Polski, mówi: „Warto byłoby umieścić tam instytucję zajmującą się kulturą i dziedzictwem narodowym, na przykład Narodowy

Instytut Dziedzictwa. Mogłaby też sprawdzić się w tym miejscu wielofunkcyjna przestrzeń, gdzie można byłoby organizować konferencje, oficjalne spotkania, okolicznościowe wystawy”.

Łukasz Kamiński, były szef IPN i przewodniczący Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia, uważa, że odbudowany pałac powinien jakoś nawiązywać do stulecia odzyskania niepodległości, a więc mogłoby się z nim mieścić związane z historią muzeum. Alternatywnie w takim budynku i miejscu mogłaby mieć siedzibę jedna z najważniejszych instytucji polskiego państwa – na przykład kancelaria premiera.

Paweł Ukielski, wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, również wskazuje na instytucję centralną lub instytucję kultury, ale uważa, że lepiej byłoby, gdyby w tym drugim przypadku była to instytucja zajmująca się sztuką, nie zaś historia.

Rafał Rogulski, prezes Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność, wskazuje, że w odbudowanym pałacu swoją siedzibę mógłby mieć MSZ, nawiązując do przedwojennej siedziby w położonym obok pałacu Brühla. Ciekawym pomysłem mogłoby też być umieszczenie tam instytucji odpowiedzialnej za rozwój Polski – think tanku czy fundacji. Rogulski widziałby też w odbudowanym pałacu choćby salę koncertową z prawdziwego zdarzenia – wtedy byłoby to miejsce bardziej otwarte. Jego zdaniem odtworzony budynek niekoniecznie musiałby być dokładnym odwzorowaniem zniszczonego w czasie wojny. Mógłby przybrać nowocześniejszą formę.

Jednak najciekawszy pomysł przedstawia prof. Antoni Dudek, historyk i politolog. „Formalnie mogłaby to być filia MHP, ale historia stanowiłaby tylko część ekspozycji” – mówi Dudek. W odbudowanym pałacu widziałby ultranowoczesną wystawę, pokazującą, jaka jest Polska – od skrótovej prezentacji historycznej przez przyrodę, ludzi po gospodarkę. „To powinno być pierwsze miejsce odwiedzane przez turystów, gdzie mogliby zdecydować, co chcą dalej u nas oglądać”. A wszystko to w centralnym punkcie polskiej stolicy.

Jak na ironię, fundatorem pałacu był król, którego rządy kojarzymy z czasami upadku polskiego państwa. Czy August II Sas nie śmieje się gdzieś w zaświatach, widząc, że dziś chcemy odbudowywać jego siedzibę jako symbol potęgi Rzeczypospolitej?



Agnieszka Niewińska

Raper, byli politycy, a nawet aniołek PiS. Uważny widz teleturniejów może wśród ich uczestników dostrzec niejedną znaną postać

Nauczytel, związkowiec, obecnie klient ZUS – tak przedstawił się uczestnik 108. edycji teleturnieju „Jeden z dziesięciu”, który wyjechał ze studia bogatszy o 50 tys. zł. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby w panu Stanisławie, nauczycielu z Rzeszowa, telewizor nie rozpoznał dawnego polityka AWS i byłego prezesa ZUS – Stanisława Alota.

W końcówce lat 90. często gościł na ekranach telewizorów, bo choć w wyborach w 1997 r. – startując z list AWS – nie dostał się do parlamentu, to blisko współpracował z Marianem Krzaklewskim, a za rządów Jerzego Buzka został prezesem ZUS. Funkcję pełnił przez niespełna dwa lata. Został odwołany, a wokół jego pracy w ZUS pojawiły się kontrowersje związane z informatyzacją tej instytucji. Prokuratura oskarżyła Alota o działanie na szkodę interesu publicznego. Po siedmiu latach procesów został oczyszczony z zarzutów. – Premier Buzek odwołał mnie z ZUS za oficjalne skrytykowanie budżetu państwa na 2000 r. – tłumaczy dziś „Do Rzeczy” Stanisław Alot. – Były w nim zbyt małe przychody ZUS – zadłużanie się ZUS, czyli państwa, jako skutek zabrania części składki emerytalnej do OFE – zwraca uwagę.

I chociaż w ostatnich latach występował głównie w roli eksperta od ubezpieczeń społecznych – zwykle w charakterystycznym kapeluszu na głowie – to na przełomie wieków znalazł się nawet w piosence Pudelsów „Wolność słowa”. „Dyrektor Alot w nocy miał nalot / Wywęszyli kota w łóżku u Alota” – śpiewał Maciej Maleńczuk. „Zwęszył kota wściekły pies / wziął go na Okęcie / Olkowi w prezencie / głaszcze Olek kota / kota od Alota”.

W TAJEMNICY PRZED RODZINĄ

Udział Stanisława Alota w teleturnieju to zasługa rodziny. Żona i dzieci mieli dość odpowiedzi, których udzie-

Zgłoś się do Sznuka, mądralo

łał, oglądając program. Namawiali go do zgłoszenia się. – Cała sprawa była jednak dużym zaskoczeniem dla rodziny, bo nikomu nie powiedziałem, że wziąłem udział w eliminacjach, a potem w odcinku programu. Kiedy wróciłem z nagrania w Lublinie, wszedłem do domu z dużą paczką, w której był robot kuchenny w nagrodę od sponsora programu. Żona akurat oglądała „Jeden z dziesięciu” i zapytała, skąd mam tę paczkę, więc pokazałem na telewizor. Odcinek, w którym wziąłem udział, oglądaliśmy już w rodzinnym gronie – opowiada Stanisław Alot.

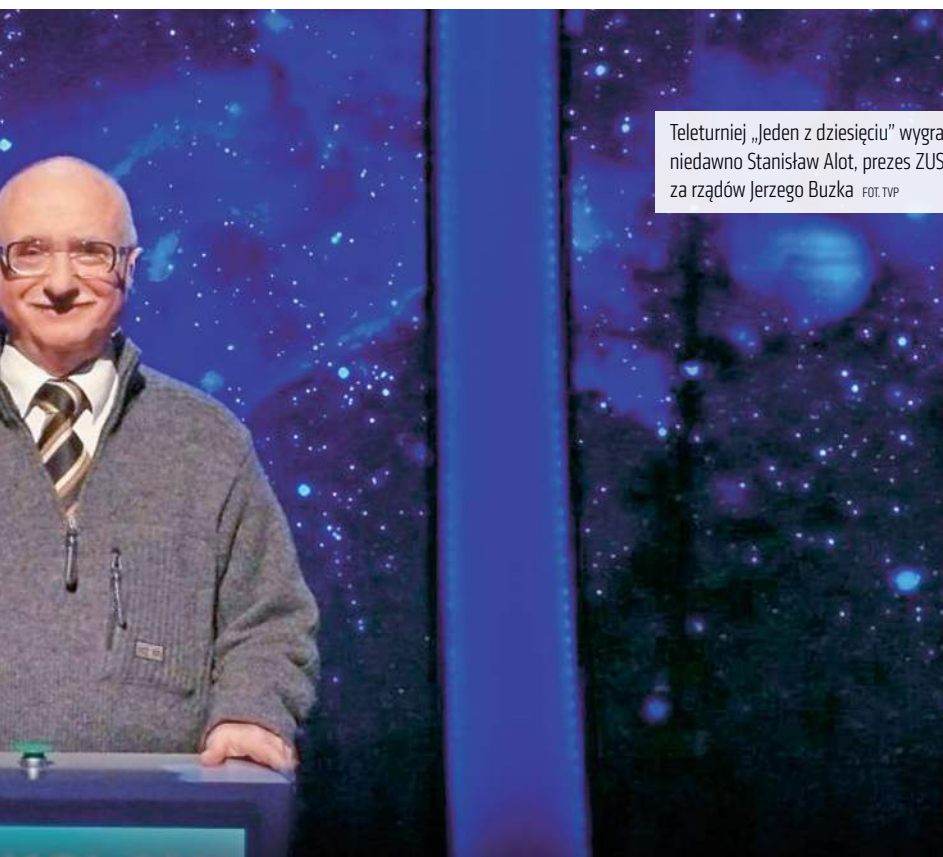
Wygrał nie tylko w odcinku, lecz także w wielkim finale, w którym występuje dziesięciu zawodników z największą liczbą punktów w całej 20-odcinkowej edycji programu. Wśród pytań, które padły, były zarówno te o kornika drukarza, morwę czy pierwiastek ameryk, jak i np. z literatury. – Niestety pomyliłem Tuwima z Brzechwą, ale akurat zawsze bliższy był mi Sienkiewicz. Najwyraźniej za szybko dorosłem – żartuje Alot.

Z zawodu jest polonistą. Przed rokiem 1990, kiedy zaangażował się w działalność polityczną, uczył najpierw w Zespole Szkół Mechanicznych w Rzeszowie, a potem w Szkole Podstawowej nr 21. W telewizyjnym programie rozpozna-

go jego byli uczniowie. Na facebookowej grupie sąsiedzkiej rzeszowianie gratulowali mu wygranej, wspominali wspólne wycieczki po górach, pytania o Różewicza na olimpiadzie przedmiotowej, a nawet lekcje przysposobienia obronnego. – Nie zostałem powołany do wojska, ale przeszedłem kurs z obrony cywilnej, dlatego w Zespole Szkół Mechanicznych mogłem nauczać przysposobienia obronnego – wspomina Alot.

Był działaczem opozycji demokratycznej w PRL, przewodniczącym regionalnej sekcji oświaty i wychowania Solidarności, a także delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów „S” w Gdańsku. W związku ze swoją aktywnością został internowany w stanie wojennym. – W czasie przesłuchania przez SB dowiedziałem się, że wyrzucili mnie ze szkoły. Po wyjściu z internowania odwołałem się jednak do sądu i ku zaskoczeniu wygrałem. Nie mogłem jednak wrócić do szkoły średniej. Dostałem pracę w podstawowej. To tam wielu uczniów przygotowywałem do olimpiad, a szkoła miała opinię najbardziej polonistycznej w Rzeszowie – opowiada Stanisław Alot.

Czułny widz w telewizyjnych teleturniejach może dostrzec niejedną znaną publicznie osobę. Przed dwoma laty plotkarskie portale ekscytowały się



Teleturniej „Jeden z dziesięciu” wygrał niedawno Stanisław Alot, prezes ZUS za rządów Jerzego Buzka FOT. TVP

występem 23-letniej wówczas Aleksandry Siudy w odcinku 92. edycji programu prowadzonego przez Tadeusza Szuka. „Aniołek PiS w »Jeden z dziesięciu«” – informował „Fakt”, pokazując selfie młodej liderki warszawskiej młodzieżówki PiS z prezydentem Andrzejem Dudą czy prezesem TVP Jackiem Kurskim.

Prawdziwym teleturniejowym weteranem wśród polityków jest jednak Paweł Abramski, olsztyński poseł I kadencji i senator IV kadencji wybrany z list AWS. Do burzliwej kariery politycznej (z wyrokiem skazującym za obietnicę wręczenia łapówki prezydentowi Olsztyna) dołożył wygrane w kilku teleturniejach. W „Milionerach” doszedł do pytania za 125 tys. zł, ale ze studia zdecydował się wyjść z gwarantowanymi 64 tys. zł. – Eliminacje przeszedłem w 30 sekund, telefon zadzwonił, kiedy byłem w trakcie kupowania garnituru. Akurat przymierzałem spodnie – śmieje się Paweł Abramski. Kiedy zasiadł naprzeciw Huberta Urbańskiego, był czynnym senatorem. – Pan Urbański na początku nie wiedział, jak się do mnie zwracać – wspomina były parlamentarzysta. – Pytanie za 125 tys. zł dotyczyło chemii, która nie jest moją mocną stroną. Nie miałem już kół ratunkowych, więc nie ryzykowałem – opowiada.

Swój występ Paweł Abramski konsultował z ówczesną marszałek Senatu Alicją Grześkowiak. – Usłyszałem, że mogę wziąć udział, ale mam się nie skompromitować. Skóra mi ścierpła, jednak się udało. Po wygranej zorganizowałem nawet małe przyjęcie ze słodkościami dla kolegów senatorów. Nawet komuniści gratulowali mi całkiem szczerze, choć zwracali uwagę, że niepotrzebnie w czasie programu wygłaszałem polityczne komentarze. Nie miałem jednak zamiaru ukrywać, ile razy komuniści mnie zamykali – opowiada. Od czasu „Milionerów” wystąpił jeszcze m.in. w „Jeden z dziesięciu”, w którym wygrał odcinek, czy w „Najsłabszym ogniwie” prowadzonym niegdyś przez Kazimierę Szczukę. Jego największym marzeniem było jednak wystąpienie w „Wielkiej grze”. Jeszcze przed transformacją przeszedł eliminację z tematu „Czyn zbrojny w II wojnie światowej”. – Zgłosiło się wtedy chyba z tysiąc osób. Byłem jednym z dziesięciu, którzy zakwalifikowali się do finału. Do dzisiaj mam nawet telegram z zaproszeniem na nagranie. Niedługo potem przeszedł kolejny z informacją, że ekspert się rozchorował, więc odbędzie się ono w późniejszym terminie. Do dziś czekam na to zaproszenie i chyba się już nie doczekam – opowiada Paweł Abramski.

Amatorów teleturniejów nie brakuje też poza światem polityki. W ubiegłym roku głośno było o Michale Hoffmannie, raperze znanym jako „Afrojax”, występującym z formacją Afro Kolektyw. Pojawił się w jednym z odcinków 98. edycji „Jeden z dziesięciu”. W kwestionariuszu zgłoszeniowym wpisał: „Na co dzień zajmuję się: słowem i dźwiękiem; Moje hobby: stare komputery i muzyka rozrywkowa. Marzę o: szczęściu dla swojej rodziny i o nagraniu oraz wydaniu genialnej płyty, o której pamiętać będą wszyscy i zawsze”.

ILORAZ INTELIGENCJI I KRZYŻÓWKI

Do udziału w programie Hoffmana zachęciła, podstępnie – jak stwierdził – żona. Powtarzała: „Jak tak wszystko wiesz, to idź do »Jednego z dziesięciu«”. – I moja żona jak zawsze miała rację – mówił Hoffmann po programie. Odcinek wygrał z 132 punktami na koncie, dzięki czemu zakwalifikował się do wielkiego finału edycji. Ze względu na inne obowiązki nie wziął jednak udziału w nagraniu.

Paweł Abramski zaznacza, że do występów w telewizyjnych turniejach się specjalnie nie przygotowuje. – Mam wysoki iloraz inteligencji, a ponadto przez 70 lat życia łaknąłem wiedzy, czerpałem ją od ojca, stryja. Dużo czytam, interesuję się światem, czasem rozwiązuję krzyżówki – bez użycia leksykonów i słowników – podkreśla i dodaje, że udział w telewizyjnych turniejach wciąga. – „Milionerzy” to najłatwiejszy program, bo wybiera się z czterech odpowiedzi. Zawsze jest 25 proc. szans na to, że trafi się właściwą odpowiedź. Najtrudniej jest w „Jeden z dziesięciu”. Pytania są z wielu dziedzin, na odpowiedź jest kilka sekund i albo się wie, albo nie. W takiej sytuacji łatwo zapomnieć języka w gębie – ocenia Abramski. W przyszłym roku będzie go można oglądać ponownie w „Jeden z dziesięciu”. Wraz z synem ma też wystąpić w „Postaw na milion”. Przeszedł już eliminacje.

– Czy wystartuję w innych teleturniejach? – zastanawia się Stanisław Alot. – Jeśli rodzina zacznie znów narzekać, że znam odpowiedzi na pytania, które padają na przykład w „Milionerach”, to kto wie... Może dam się przekonać i się zgłoszę – mówi. Na co przeznaczony wygraną w teleturnieju? Niewykluczone, że będą to podróże. – Chciałbym odwiedzić m.in. Japonię, Nową Zelandię, Amerykę Południową – wylicza.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Coraz więcej dostaw LNG do Polski



Już od przyszłego roku Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo sprowadzać będzie regularnie do naszego kraju skroplony gaz ziemny z USA. Spółka podpisała w ostatnim czasie trzy kontrakty, które znacznie przyczynią się do zróżnicowania importu surowca do Polski

Pierwsza w historii dostawa amerykańskiego gazu skroplonego do Polski miała miejsce w czerwcu 2017 r. Od 2019 r. ładunki skroplonego gazu ziemnego z USA będą przyływać do Świnoujścia regularnie

PGNiG zawarło umowy z dwoma amerykańskimi partnerami w odstępie dwóch miesięcy. 8 listopada 2018 r. spółka zawarła kontrakt z firmą Cheniere Marketing International, a kilka tygodni wcześniej – dwa kontrakty ze spółkami Venture Global LNG. Są to pierwsze wieloletnie umowy na zakup amerykańskiego skroplonego gazu ziemnego dla Polski i pierwsze takie kontrakty zawarte w Europie Środkowej.

– Umowy z naszymi amerykańskimi partnerami są najlepszym przykładem, że można prowadzić zyskowną działalność biznesową, współpracować ze sprawdzonymi partnerami, a jednocześnie zapewniać bezpieczeństwo energetyczne państwa – powiedział Maciej Woźniak, wiceprezes Zarządu PGNiG SA ds. handlowych. – Dzięki zawartym kontraktom będziemy dysponowali regularnymi i coraz większymi dostawami skroplonego gazu ziemnego z USA już od 2019 r. Jego udział w naszym portfelu importowym stale rośnie. Prężnie rozwijający się światowy rynek gazu skroplonego pozwala nam wybrać najlepsze oferty w tym segmencie – dodał.

Pierwsze ładunki gazu ziemnego w ramach wieloletniego kontraktu z Cheniere przyłyną do Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu już w 2019 r. Cheniere to obecnie największy sprzedawca skroplonego gazu ziemnego w USA, a metanowce (statki z gazem skroplonym) wypływają z terminali skraplających Sabine Pass w Luizjanie i Corpus Christi w Teksasie. Oba terminale położone są nad Zatoką Meksykańską.

Do 2022 r. łączny wolumen dostaw z Cheniere w ramach tego kontraktu wyniesie ok. 0,7 mld m³ gazu po regazyfikacji. Natomiast w latach 2023–2042 łączny wolumen importu wyniesie ok. 39 mld m³ gazu po regazyfikacji – co oznacza, że od 2023 r. przez 20 kolejnych lat PGNiG co roku zakupi od Cheniere ok. 1,95 mld m³ gazu po regazyfikacji.

Z kolei Venture Global LNG sprzeda PGNiG gaz skroplony z przygotowywanych do budowy terminali skraplających w Calcasieu Pass i Plaquemines w Luizjanie nad Zatoką Meksykańską. Terminale te rozpoczną działalność odpowiednio w 2022 i 2023 r.

Umowy z Venture Global LNG przewidują zakup przez PGNiG amerykańskiego

gazu skroplonego od 2023 r. przez 20 lat w ilości ok. 54 mld m³ gazu po regazyfikacji. To znaczy, że każdego roku PGNiG będzie odbierać łącznie ok. 2,7 mld m³ gazu po regazyfikacji.

Dla porównania roczne wydobycie gazu ziemnego w Polsce jest bliskie 4 mld m³, a roczne zużycie gazu w Polsce wyniosło w 2017 r. ok. 17 mld m³.

Kontrakt z Cheniere, zawarty został z formułą zakupową DES (delivered-ex-ship), co oznacza, że PGNiG odbierze gaz skroplony dopiero w terminalu w Świnoujściu, a wszystkie ponoszone wcześniej koszty, np. transportu oraz ryzyka, pozostają po stronie sprzedawcy. PGNiG może także zlecić dostawcy transport danego ładunku do innego terminalu.

Natomiast w kontraktach z Venture Global LNG formuła zakupowa to FOB (Free on Board), co oznacza, że PGNiG odbierze gaz skroplony już w terminalu skraplającym w USA i samodzielnie zadba o jego transport. Taka formuła daje PGNiG możliwość swobodnego dysponowania dalszym losem zakupionego surowca. To znaczy, że PGNiG – w zależności od potrzeb – kupiony

ładunek amerykańskiego gazu skieruje albo do Świnoujścia, albo odsprzeda go do innego zainteresowanego terminala odbiorczego, np. w Azji. Dalsza odsprzedaż takiego ładunku będzie prowadzona m.in. przez biuro handlowe PGNiG w Londynie.

Od czerwca 2016 r., kiedy rozpoczął działalność Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, skroplony gaz ziemny dociera już do Polski metanowcami z Kataru – obecnie średnio dwa razy w miesiącu – na bazie kontraktu wieloletniego z Qatargas zawartego do 2034 r. Jesienią 2017 r. PGNiG podpisał średnioterminową 5-letnią umowę na dostawę amerykańskiego gazu skroplonego do Polski z brytyjską grupą Centrica. Zaś niedawno podpisane kontrakty z Cheniere i Venture Global są pierwszymi w Europie Środkowej wieloletnimi umowami na zakup LNG w USA.

Do Świnoujścia kilkakrotnie zawijały już także metanowce z gazem LNG z Norwegii, a w czerwcu 2017 r., przyłynął do Polski ładunek LNG od Cheniere. Była to pierwsza w historii dostawa amerykańskiego gazu skroplonego do kontynentalnej Europy Północnej i Środkowej. Te ładunki były kupowane w ramach tzw. umów spotowych. Takie zakupy pojedynczych ładunków skroplonego gazu ziemnego to wynik skutecznego poszukiwania okazjonalnych ofert sprzedaży przez biuro PGNiG w Londynie.

Dzięki możliwości nabywania surowca z różnych kierunków i od różnych dostawców kupowany gaz może być tańszy, bo dostawcy konkurują między sobą o klienta. Wielu dostawców to także zwiększone bezpieczeństwo dostaw a tym samym większe bezpieczeństwo energetyczne polskiej gospodarki, dla której wciąż jeszcze większość dostaw pochodzi od dominującego dostawcy z Rosji.

Biorąc pod uwagę dotychczas zawarte kontrakty średnio i długoterminowe oraz tzw. transakcje spotowe, rośnie nie tylko ilość bezwzględna gazu LNG importowanego do Polski – z wyrażonym zwiększeniem zakupów od 2022 r. – lecz także rośnie udział procentowy gazu sprowadzanego statkami w ogólnej strukturze importu gazu do Polski. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy tego roku skroplony gaz ziemny stanowił już prawie 20 proc. całego importu gazu przez PGNiG.

Co to jest LNG?

Zanim gaz ziemny wyruszy w rejs po świecie, musi zostać skroplony – czyli schłodzony do temperatury minus 162 st. C, dzięki czemu jego objętość zmniejsza się aż 600-krotnie. Skraplanie odbywa się w terminalu skraplającym. LNG (liquefied natural gas), czyli właśnie skroplony gaz ziemny, transportowany jest następnie drogą morską statkami nazywanymi metanowcami. W Polsce metanowce przybijają do Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, gdzie następuje ich rozładunek. Następnie w instalacjach terminalu po ogrzaniu gaz ziemny odzyskuje lotny stan skupienia i wtłaczany jest do polskiej sieci gazociągów przesyłowych i dystrybucyjnych. LNG może być również przelany do kriogenicznych cystern samochodowych bez ogrzania i następnie przewieziony do najdalszych zakątków Polski i Europy, gdzie w lokalnych stacjach regazyfikacji po ogrzaniu trafia do lokalnych sieci gazociągów.



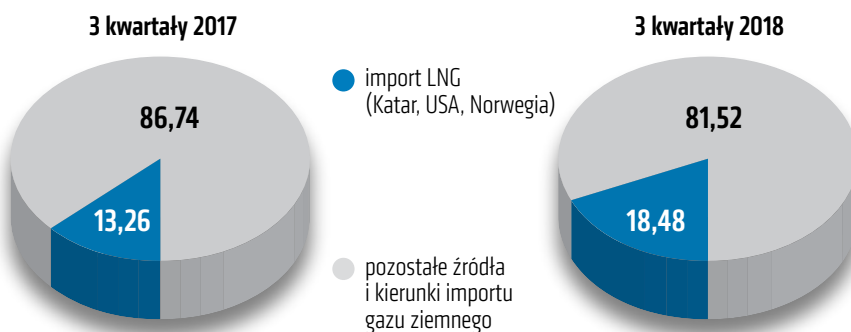
Co to jest DES? (Delivered-ex-ship)

Międzynarodowa formuła handlowa, na podstawie której to sprzedawca odpowiada za transport towaru z miejsca załadunku oraz za wszelkie związane z tym ryzyka i koszty. Sprzedający dostarcza towar do określonego od początku konkretnego miejsca rozładunku i dopiero tam odpowiedzialność za ładunek przejmuje kupujący.

Co to jest FOB? (Free on Board)

Międzynarodowa formuła handlowa, na podstawie której kupujący przejmuje towar od sprzedawcy już w miejscu załadunku. Od tego momentu nabywca przejmuje odpowiedzialność za ładunek i jego transport do miejsca rozładunku. Kupujący towar w takiej formule samodzielnie decyduje o miejscu i czasie rozładunku towaru. Daje to kupującemu pełną elastyczność i możliwość wtórnego handlu towarem, takim jak np. LNG w skali globalnej.

Tak rośnie import LNG do Polski (w proc.)



Zbrodnie J.K. Rowling



Piotr Gociek

Pierwszy film z serii „Fantastyczne zwierzęta” dawał nadzieję na nową, urokliwą serię fantazji. Drugi – „Zbrodnie Grindelwalda” – te nadzieje grzebie

Im dalej zagłębialiśmy się w świat Harry’ego Pottera, w kolejne powieści cyklu, tym bardziej stawał się mydlaną operą. Za zasłoną przygód, czarów, zwrotów akcji, spotkań z niesamowitymi stworami (ale też przyjaźni, miłości i humoru) kryła się skomplikowana sieć genealogicznych drzew, których korony były mocno splątane – ze sobą nawzajem i z losami małego (pod koniec już całkiem dużego) czarodzieja. J.K. Rowling z zawziętością scenarzystki „Dynastii” co rusz oznajmiała kolejne rodzinne tajemnice, przedstawiała braci, siostry, zaginionych wujów i pociotków.

Myślę, że większość czytelników po prostu pomijała te wszystkie rewelacje, podążając za główną fabułą, czasem

jedynie drapiąc się w głowę, kiedy ktoś poznany w tomie trzecim, a ledwie napomknięty w piątym, nagle stawał się kluczową postacią dla zrozumienia kogoś poznanego w tomie drugim, ale zapomnianego w czwartym. Nie zmienia to faktu, że rzesze zapalonych fanów do dziś dyskutują nad więzami pokrewieństwa rozmaitych bohaterów, kłócą się o to, co ich zdaniem ważniejsze, albo o to, czego autorka nie dopowiedziała. Tak samo zresztą dzieje się w przypadku innych fantastycznych dzieł – Tolkiena czy ostatnio Martina. Wszystkich badaczy owych sekretów serdecznie pozdrawiam i zapewniam o mej sympatii. To, co robicie, jest i tak o wiele bardziej sensowne od finansowanej przez rząd Niemiec naukowej aktywności kilkuset

kantystów zgłębiających wciąż te same wersety pism Wielkiego Immanuela.

Powieści o Harrym Potterze skończyły się w momencie, kiedy nie tylko zakończyła się jego formacyjna podróż i pokonany został największy wróg, lecz także w chwili, kiedy ciężar całej tej dodatkowej wiedzy robił się po prostu nieznośny. Kiedy kilka lat temu zapowiedziano produkcję filmu „Fantastyczne zwierzęta i jak je odnaleźć” oraz obwieszczono, że mowa będzie o wypadkach dużo wcześniejszych, poczułem lekki niepokój – o matko, mamy cofnąć się w czasie, czyli zagłębiać znów w zatęchłe szuflady genealogicznych wykresów!

Tymczasem film w reżyserii Davida Yatesa (reżyserował także cztery ostatnie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Pottery”), który trafił do kin jesienią 2016 r., okazał się uroczy. Porzucenie Londynu, Hogwartu, wszystkich relacji Harry’ego, jego rozlicznych przyjaciół i wrogów, dało opowieści niespodziewaną świeżość. „Fantastyczne zwierzęta” stały mocno na własnych nogach, wykreowały własnych sympatycznych bohaterów, z Newtem Skamandrem, magizoologiem (specem od magicznych istot) na czele. Zagrał go koncertowo Eddie Redmayne, jeden z najbardziej utalentowanych brytyjskich aktorów ostatnich lat.

Drugi film serii to niemal całkowity odwrót od strategii, która przyniosła sukces pierwszemu. „Zbrodnie Grindelwalda” to dzieło ułomne, obciążone zbrodniami autorki, zbrodniami, z których największą jest pycha.

Drugi film serii „Fantastyczne zwierzęta” to niemal **całkowity odwrót od strategii, która przyniosła sukces pierwszemu**

Po kolei. Gdy pozostawialiśmy dwa lata temu bohaterów pierwszego filmu w Nowym Jorku, rzeczy miały się następująco: Newt Skamander wraz ze swą walizką pełną magicznych stworzeń szykuje się do powrotu do Anglii. W porcie żegna go rezolutna Tina Goldstein (Katherine Waterston), amerykańska czarodziejka. Newt i Tina mają się ku sobie, przyszłość dla tej pary wygląda

jasno. Siostra Tiny (także czarodziejka), Queenie (Alison Sudol), rozkochana jest tymczasem w pulchnym, dobronurzym właścicielu piekarni, Jacobie Kowalskim (Dan Fogler). Z wzajemnością zresztą. Zły czarodziej Grindelwald (Colin Farrell, a następnie Johnny Depp) został zdemaskowany i pojmany, a szkody wyrządzone metropolii podczas magicznego boju – odczynione. Życiem za całą awanturę zapłacił nieszczęsny podrostek, Credence Barebone (Ezra Miller), którego samotność, nieszczęście i talenty wykorzystywał niecnie zamaskowany Grindelwald.

UTRACONE MOŻLIWOŚCI

Przed bohaterami kolejnego filmu (czy już wspominałem, że ma ich być

■ łącznie pięć?) otwierały się więc nowe, niczym nieskrępowane możliwości. Niestety, w filmie numer dwa owe możliwości błyskawicznie trafiają do kosza, bo autorka (J.K. Rowling pisze do serii oryginalne scenariusze) wymazała po prostu część rozwiązań z finału części pierwszej. Tani chwyt, najtańszy, a chwilami po prostu głupiutki.

Oczywiście mój zarzut nie może dotyczyć wątku Grindelwalda. Owa postać, wspomniana w sadze o Harrym Potterze jako zło minione, ale i jako prekursor działań Voldemorta, musiała być teraz w centrum filmu, skoro nosi on tytuł „Zbrodnie Grindelwalda”. W pierwszym kwadransie opowieści dostajemy zresztą niemal bondowską sekwencję, w której Grindelwald ucieka swoim prześladowcom, tyle że zamiast motocykli, samochodów czy helikopterów mamy śmigający po niebie więzienny furgon. Czarny charakter jest zatem na wolności i może knuć. Tak się składa, że będzie dalej knuć w Paryżu, który podobnie jak Londyn ma swoją czarodziejską stronę – trzeba tylko wiedzieć, którędy się tam wchodzi.

Co tymczasem dzieje się u czwórki bohaterów, których tak polubiliśmy wcześniej, podczas nowojorskich perypetii? Newt Skamander martwi się trochę perspektywą zostania drużbą na ślubie swego brata, Theseusa, który zamierza poślubić Letę Lestrange, dawną sympatię Newta. Bardziej martwi się jednak tym, że brat chce go zrekrutować w szeregi aurorów (łowców złych czarodziejów) w zamian za cofnięcie zakazu podróży zagranicznych. A najbardziej martwi go to, że ukochana Tina sama nie dość, że została aurorem (aurorką?), to jeszcze spotyka się w Nowym Jorku z pewnym przystojniakiem. Tina bowiem jest przekonana, że to Newt bierze ślub z Letą Lestrange, a wszystko dlatego, że uwierzyła w pewien wybitnie nierzetelny artykuł prasowy.

Duch mydlanej opery zaczyna unosić się nad filmem i już nas nie opuści, podobnie zresztą jak poczucie, że jesteśmy robieni w konia. Wymaga się oto bowiem od nas, byśmy uwierzyli, że czarodzieje, którzy bez problemu w okamgnieniu podróżują między odległymi krajami oraz paroma machnięciami różdżki są w stanie defasonować pół świata, nie umieją się skontaktować ze sobą, by wyjaśnić jedno nieporozumienie związane z jednym zdjęciem w gazecie. Dlaczego? Ponieważ są nieśmiali. Powiem wam, kto tu jest

nieśmiały – krytycy, którzy nie potrafia od czasu zakończenia sagi o Potterze powiedzieć wprost Joanne K. Rowling, że pisanie o tym, co poza murami Hogwartu, idzie jej średnio. Że jej obyczajowa powieść „Trafny wybór” była słabiutka, a i cykl kryminałów wydawany pod pseudonimem Robert Galbraith nie zachwyca. I że poziom scenariusza „Zbrodni Grindelwalda” jest oburzająco niski.

Idźmy bowiem dalej. W pierwszej części polubiliśmy także siostrę Tiny – wspomnianą już Queenie – oraz upartego, prostodusznego Kowalskiego. I nie mieliśmy żadnych powodów, by podejrzewać, że łączące ich uczucie nie jest prawdziwe. Teraz bez żadnego uzasadnienia okazuje się, że Jacob to trochę dupek, a Queenie to zaborcza wariatka. Duch mydlanej opery widoczny jest coraz bardziej, bo okaże się, że mogą też cudownie zmartwychwstać postacie ubite w pierwszej części, a kluczowe dla całego filmu okażą się rozmaite wyliczanki na temat tego, kto kogo spłodził, kogo adoptował, kogo z kim pomylił albo w błąd wprowadził. Wszelkie komplikacje – poza wątkiem Grindelwalda, który ma swój cel: wywołać wojnę magów z ludźmi – wywołane są czystym chciejstwem autorki.

KARMA DLA FANÓW

Żeby odwrócić naszą uwagę od tego, że miłosne (i rodzinne) perypetie bohaterów są naciągane jak gumka w spodniach gajowego Hagrida (jakże szkoda, że nie mógł pojawić się w tych filmach...), Rowling czaruje. To znaczy dosłownie: Newt Skamander znowu karmi i obłaskawia fantastyczne bestie, znów pokazuje, że może wejść do swojej walizki i z niej wyjść, Queenie raz jeszcze szykuje pyszne jedzenie, machając różdżką, padają znane zaklęcia, znów jesteśmy w Hogwarcie, by znów zagłębić się w retrospekcjach, no i wreszcie pojawia się młody Albus Dumbledore, który kaptuje do walki z Grindelwaldem niechętnego Newta. Niewiele z tego wszystkiego wynika (poza jednym brzemennym faktem ujawnionym w finale), wszystko jest raczej wykalkulowaną na zimno dostawą karmy dla fanów. Niech słuchają, łapią za

flamastry, siadają i malują nowe drzewa genealogiczne oraz kreślą kolejne rodzinne powiązania. Jeśli to zrobią z odpowiednim zaangażowaniem – dodam od siebie – to może zapomną, jak mało inwencji włożono w „Zbrodnie Grindelwalda”. Przecież wszystko to już widzieliśmy. No tak, ale teraz mamy zobaczyć jeszcze raz. I zobaczymy jeszcze kolejne trzy razy, skoro filmów ma być pięć.

Siłą oryginalnej sagi o Harrym Potterze była oprócz ogromnej wynalazczości autorki przede wszystkim grupa głównych postaci. W centrum stał oczywiście sam Harry, ale wokół niego mnóstwo innych ciekawych bohaterów, od Rona i Hermiony poczynając, na przyjaciółach bliskich i dalekich oraz nauczycielach kończąc. Ich historia dobiegła naturalnego końca, a próba reaktywacji smakowała jak rosół, który ktoś rozcieńczył wiadrem wody – czego dowodem wydana w formie książki sztuka teatralna „Harry Potter i prze-

klęte dziecko”. Pierwszy film z serii „Fantastyczne bestie” niósł ze sobą obietnicę nowego otwarcia, przedstawiał nowych bohaterów, którzy błyskawicznie dali się polubić, urzekali lekkością. Film drugi jest nudnym, męczącym dodatkiem historycznym do życiorysu Albusa Dumbledora i nie zmienia tego ani naprawdę udana scena, w której Grindelwald przemawia do swoich zwolenników, ani pojawienie się moich nowych ulubionych stworzeń – matagotów (coś jak koty, tylko większe, bardziej niebezpieczne, z wielgachnymi oczami i oczywiście magiczne).

Lista zbrodni, które popełniła, pracując nad tym filmem Joanne K. Rowling, jest długa. Brak wyobraźni, brak humoru, brak pomysłu na fabułę z prawdziwego zdarzenia, brak ciekawych postaci drugoplanowych. Jej główną zbrodnią jest pycha – przekonanie, że wystarczy nabazgrać cokolwiek, co ma coś

wspólnego z oryginalną serią o Potterze, i to wystarczy, by tłum ustawił się pod kinem w kolejkach. Tak, niestety, będzie, choć „Zbrodnie Grindelwalda” na to zupełnie nie zasługują. Jakże to smutne, że w filmie, w którym słowo „magia” pada tak często, magii jest tak niewiele. © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
REŻ. DAVID YATES
„FANTASTYCZNE ZWIERZĘTA: ZBRODNI GRINDELWALDA”
(„FANTASTIC BEASTS: THE CRIMES OF GRINDELWALD”)
USA/WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Eddie Redmayne, Katherine Waterston, Johnny Depp, Jude Law

Mieszkanie Plus w Katowicach. Osiedle Nowy Nikiszowiec, które pomieści ponad 500 mieszkań. Planowany termin zakończenia inwestycji to III kwartał 2020 r.



Do końca roku potrwa nabór ankiet, które pomogą określić preferencje przyszłych najemców osiedla Nowy Nikiszowiec w Katowicach dotyczące rodzaju umowy najmu. Katowicka inwestycja pomieści ponad 500 nowoczesnych i komfortowych mieszkań na osiedlu nawiązującym swoim charakterem do zabytkowego Nikiszowca. Całość ma być oddana do użytku w 2020 r. Zebrane do tej pory ankiety – ok. 500 – dają już pewien obraz sytuacji. Ponad 80 proc. ankietowanych chciałoby stopniowo dochodzić do własności lokalu, a najbardziej popularnym typem mieszkania są trzypokojowe – takim lokalem zainteresowanych jest 40 proc. ankietowanych.

Nowy Nikiszowiec to jedno z wielu powstających w Polsce osiedli w ramach rządowego programu Mieszkanie Plus. Podobne inwestycje realizowane są lub w bliskiej przyszłości będą w Gdyni, Warszawie, Krakowie, Wrocławiu. Z kolei do niektórych z nich, jak w przypadku Jarocina, Kępna czy Białej Podlaskiej, najemcy już się wprowadzili. Na początku przyszłego roku do użytkowania oddane zostaną mieszkania

Mieszkanie Plus na miarę przyszłych najemców

W procesie powstawania nowych osiedli Mieszkania Plus istotny udział mają ich przyszli najemcy. Przy większych inwestycjach powstających w ramach rządowego programu określają oni swoje preferencje dotyczące rodzaju umowy, którą będą chcieli zawrzeć w przyszłości, i standardu wykończenia mieszkań

w Gdyni oraz w Wałbrzychu, a wiosną – w Kępnie.

Podobne badanie preferencji przyszłych najemców zostało przeprowadzone w Gdyni. Trzeba było tam określić zarówno rodzaj umowy, którą jest zainteresowany potencjalny lokator Mieszkania Plus, jak i standard wykończenia lokalu. Wypełniono ponad 600 ankiet, a największym zainteresowaniem cieszyła się opcja dojścia do własności w perspektywie 30 lat oraz podstawowy standard wykończenia mieszkania.

INWESTYCJA DOBRZE SPRAWDZONA

Wszystkie projekty finansowane ze środków funduszy inwestycyjnych, których aktywami zarządza PFR Nieruchomości – dawniej BGK Nieruchomości.

– Naszym celem jest zwiększenie liczby dostępnych cenowo mieszkań na wynajem. W związku z tym poszukujemy gruntów pod inwestycje mieszkaniowe współpracując z samorządami, spółkami Skarbu Państwa oraz prywatnymi inwestorami. Zanim zostanie podjęta decyzja inwestycyjna dla zgłoszonego gruntu, musi on przejść szereg analiz. Dokonujemy m.in. badań gruntu, sprawdzamy jego uzbrojenie, skomunikowanie z miastem. Analizy, które prowadzimy, dotyczą również lokalnej gospodarki, czyli rynku pracy, wskaźników demograficznych, a także lokalnego rynku mieszkaniowego – wyjaśnia Tomasz

Górnicki, członek zarządu PFR Nieruchomości.

Samorządy, spółki Skarbu Państwa oraz podmioty prywatne, które posiadają grunt inwestycyjny i chciałyby podjąć współpracę w ramach programu Mieszkanie Plus, mogą wysłać zgłoszenia na adres: grunty@bgkn.pl.

Do końca 2019 roku wartość przygotowywanych przez PFR Nieruchomości projektów mieszkaniowych przekroczy 20 mld zł.

DLA KOGO MIESZKANIE PLUS?

Aby zakwalifikować się do najmu w programie Mieszkanie Plus, należy spełniać określone przez lokalny samorząd kryteria społeczne (np. w Białej Podlaskiej preferowane są rodziny z dziećmi, a w Gdyni, gdzie trwa nabór wniosków – ci, którzy na stałe tam zamieszkują) oraz posiadać zdolność czynszową określoną przez PFR Nieruchomości. Zdolność ta liczona jest na podstawie dochodów netto pomniejszonych o wydatki rodziny, z uwzględnieniem przyszłej umowy najmu. Pod uwagę brane są także świadczenia wynikające m.in. z liczby dzieci w gospodarstwie domowym, takie jak program Rodzina 500+.



Joanna Bojańczyk z Paryża

180 prac Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego można oglądać na wystawie polskiej awangardy w paryskim Centrum Pompidou – miejscu, które prezentuje tylko największe nazwiska

Tę parę artystów los rzucił w wyjątkowo burzliwy okres historii. Los, a raczej daty urodzenia. Katarzyna Kobro, Rosjanka niemieckiego pochodzenia, urodziła się w 1898 r. w Moskwie, Władysław Strzemiński, Polak, urodził się w 1893 r. w Mińsku. Ich życiorysy naznaczyły wszystkie wstrząsy dziejowe pierwszej połowy XX w.: rewolucja bolszewicka, I wojna światowa, terror stalinowski w Rosji, II wojna i lata powojennego komunizmu w Polsce. Lepszych czasów nie doczekali, zmarli na samym początku lat 50.

Na te turbulencje historii przypada także wielka przemiana europejskiej kultury. Wychodzenie ze sztuki przedstawiającej poszukiwanie nowych form, początek nowoczesności. Nazwiska pionierów sztuki Zachodu znamy, niektóre przeszły już do popkultury. Picasso, Modigliani, Mondrian... Awangarda rosyjska także doczekała się wystaw: w Londynie, Paryżu, Wenecji.

Rosja na Zachodzie wciąż jest modna; szczególną słabość mają do niej Francuzi, niedotknięci jej złowrogą siłą rażenia...

Na szczęście po 28 latach od transformacji Polska przestała być dla Francuzów krainą białych niedźwiedzi. „Serce Europy, tam wszystko się rozgrywało” – powiedział na otwarciu wystawy „Awangarda polska. Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński” dyrektor Centrum Pompidou Serge Lasvignes. I dodał: „Centra awangardy znajdowały się często w małych ośrodkach. Tam rosną utopie, tam mieszkają marzyciele”.

To świetnie, że wystawa, którą zorganizował Instytut Adama Mickiewicza wspólnie z łódzkim Muzeum Sztuki, w ramach obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę, otworzyła się w tak ważnym miejscu jak Centrum Pompidou w Paryżu. To nie mała galeria ani dzielni-



Kompozycja przestrzenna
Katarzyny Kobro
z 1929 r.

FOT. MUZEUM SZTUKI W ŁÓDZI

Los awangardy

cowe muzeum, to najważniejszy obiekt prezentacji sztuki współczesnej. Tutaj pokazuje się tylko największe międzynarodowe nazwiska. O każdej porze roku tu wałą tłumy – miejscowych i turystów.

„Awangarda polska” jest pierwszą dużą wystawą monograficzną polskiej sztuki od czasu „Presences polonaises”, zbiorowej prezentacji naszych artystów z 1983 r. Tamta miała poprawić wizerunek Polski pod rządami gen. Jaruzelskiego. Tę ogląda już inne pokolenie, a Polska też jest inna. „Kobro i Strzemiński powinni być bardziej obecni w międzynarodowej historii sztuki” – powiedziała Karolina Ziębińska-Lewandowska z Muzeum Sztuki w Łodzi, współkuratorka wystawy. Składa się na nią 180 obiektów, większość z kolekcji Muzeum Sztuki w Łodzi, po kilka z Muzeum Narodowego i kolekcji prywatnych.

UWOLNIĆ RZEźBĘ Z MASY

Film Andrzeja Wajdy „Powidoki” spopularyzował tę parę artystów, opowiedział jednak tylko o fragmencie ich życia. Dowiedzieliśmy się, jak Władysław Strzemiński w stalinowskich czasach walczył o swoją sztukę i jak za niezłom-

ność zapłacił wyrzuceniem z akademii, nędzą i marginalizacją.

Co jednak więcej o nich wiemy? Kobro studiowała rzeźbę w Moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Budownictwa. Strzemiński, z wykształcenia inżynier, walczył w I wojnie światowej, tam stracił rękę, nogę i przestał widzieć na jedno oko. Spotkali się w Moskwie w roku 1918, w 1920 wzięli ślub. Obracali się w kręgu artystycznej lewicy – Kazimierz Malewicz, Władimir Tatlin, Aleksander Rodczenko. Ich program był radykalny: nowa, odnowiona sztuka ma wcielić się całkowicie w nowy porządek społeczny. Ma mu służyć, zmieniać go, a także towarzyszyć codzienności. Jednak klimat rewolucji nie sprzyjał artystom... Działają w Moskwie, potem w Smoleńsku, w roku 1922 przenoszą się do Polski.

Tworzą w innych dziedzinach, ona – rzeźbiarka, on – malarz, ale nad teoriami pracują razem. Powstaje książka „Kompozycja przestrzeni. Rachunek rytmu przestrzenno-czasowego”. Dzieło sztuki to organizm jednorodny i autonomiczny, związany jedynie z przestrzenią, wykonany z czystych materiałów. „Rzeźbę

– mówi Kobra – należy uwolnić z jej masy, ma nie być ciężką, wielką bryłą materiału, tylko kompozycją zawieszoną w powietrzu i z nim tylko związaną”. Według Strzezińskiego obraz ma być płaski, statyczny, niewyobrażający ruchu, głębi, nawet koloru. To kierunek nazwany unizmem.

W okresie międzywojennym oboje utrzymywali żywe kontakty ze środowiskiem artystycznym Europy. Strzeziński pokazuje swoje prace na wystawach w Nowym Jorku, Warszawie, Poznaniu razem z grupą Praesens. Wspólnie z Henrykiem Stażewskim, Julianem Przybosiem zakłada grupę a.r. Zostają z Kobra członkami międzynarodowej grupy Abstrakcja Kreacja. W 1936 r. Kobra podpisuje manifest razem z tzw. artystami, takimi jak Marcel Duchamp, Robert Delaunay, Jean Arp.

REALNA UTOPIA?

To wszystko utopia, mrzonki, teorie – powie ktoś. Twórczość napędzana ideałami, może i szczytnymi, ale takimi, które poniosły klęskę. Systemy społeczny i polityczny, którym miały służyć, także poniosły klęskę. „Chcemy zaproponować inne myślenie o twórczości Strzezińskiego i Kobra – powiedział Jarosław Suchan z MS w Łodzi, kurator wystawy. – Nie uważamy tego za naiwność. Mamy

wiekszy szacunek dla ich zdolności intelektualnych. Wprowadziliśmy pojęcie »realnej utopii« jako myślenie o tworzeniu idealnych modeli rzeczywistości, które traktować można jako wzorzec, probierz do praktycznych działań. To nie utopia rewolucji, przewrotu, tylko pokazanie kierunku. Punkt odniesienia, kierunek, w którym mamy zmierzać”. Strzeziński miał świadomość, że wizje utopijne nie są dane raz na zawsze; historia się rozwija, horyzont też powinien się zmieniać.

Sami artyści zdali sobie sprawę, że unizm to droga donikąd. Strzeziński sprawę zarzucił i zajął się innym tematem: widzeniem. Studiował powidoki wywołane spojrzeniem na słońce. Widział tylko na jedno oko. Książkę, która powstała jako wynik tych studiów – „Teorię widzenia” – przygotowywał w ostatnim okresie życia, już w szpitalu, przy pomocy grupy byłych studentów. Wydano ją dopiero po odwilży, pośmiertnie w 1958 r. Swoje teorie realizował jednak w sposób praktyczny i pozytywny: w międzywojennej Łodzi uczył studentów, działał w Związku Polskich Artystów Plastyków, tworzył zrzęby łódzkiej kolekcji sztuki.

ROZCZAROWANIE

Po wojnie Strzeziński wyklada historię sztuki w Łodzi, uczestniczy w zakładaniu Muzeum Sztuki, ofiarowując nowej placówce swoje obrazy. Rozwija działalność teoretyczną. Historię sztuki pojmuje

jako proces rozwoju możliwości poznawczych człowieka. Bada psychologiczne i neurologiczne możliwości mózgu. Początkowo wiąże nadzieję z nowym ustrojem. Wkrótce przekonuje się, że nie ma on nic wspólnego ani z ideałami, które sobie stawiał, ani z jego własnymi wizjami artystycznymi. Na dodatek oboje z Kobra zostają oskarżeni o „odstępstwo od narodowości polskiej”.

Istotnie, w 1940 r. rzeźbiarka podpisała tzw. listę rosyjską. Także Strzeziński, przebywając we włączonej do Rzeszy Łodzi, zadeklarował się jako osoba narodowości rosyjskiej. Zrobili to nie z pobudek politycznych, ale aby przetrwać. On inwalida, na utrzymaniu czteroletnia córeczka Nika. Wobec Strzezińskiego śledztwo zostało umorzone; Kobra w 1949 r. została skazana przez sąd, ale rok później uniewinniona.

Ich małżeństwo się rozpada. Artysta decyzją władz komunistycznych zostaje odsunięty od pracy na uczelni. Pozbawiony dochodów zarabia malowaniem szyldów. Kobra umiera na raka w 1951 r., rok później – w grudniu 1952 – Strzeziński umiera na gruźlicę. Wkrótce po tym, zaraz po odwilży, odbywają się ich wystawy w Łodzi i w warszawskiej Zachęcie.

Wystawa w Centrum Pompidou jest niezwykle ciekawa, ale we mnie ani obrazy Strzezińskiego, ani rzeźby Kobra nie wywołują emocji. Są chłodne, wykalutowane, teoretyczne. Porusza tylko cykl powojennych prac o Żydach, udostępnionych przez instytut Yad Vashem.

Jednak patrząc na te dzieła, trzeba sobie uświadomić, że powstały prawie sto lat temu. Na początku XX w., kiedy maszyna, postęp, mechanizacja fascynowały artystów. Wierzyli, że nauka i wynalazki zapewnią szczęście i dobrobyt. Dzisiaj wiemy, że tak się nie stało.

Dlatego dzieła tej pary awangardzistów pozostają bardziej świadectwem epoki, niż poruszają dzisiejsze struny wrażliwości. Dzisiaj jesteśmy bardziej skierowani na przyrodę, środowisko, mrzonki o maszynie kojarzą nam się z Le Corbusierem, który powszechniej szczęśliwości szukał w blokowisku... Skądinąd po unizmie, suprematyzmie, konstruktywizmie przyszły kolejne izmy. Można się w nich pogubić. Bombardowany obrazami nieprofesjonalny odbiorca konceptualną sztukę Strzezińskiego i Kobra odbierze jako coś, co już widział. Niesłusznie, ale taki jest właśnie los awangardy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Kobra i Władysław Strzeziński na plaży w Chałupach, 18 sierpnia 1928 r. FOT. MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

Udając Greka



Przemysław Skrzydelski

Lecha Wałęsę chyba rzeczywiście warto w teatrze pokazać jako postać tragiczną

Dzisiaj to już umyka pamięci, ale był taki moment, gdy Lech Wałęsa zgolił włosy. Chyba zrobił to w jakimś stopniu po to, by zerwać ze swoim nieco wytartym wizerunkiem. W tym geście było coś ciekawego – dziś można nań spojrzeć jako na jedną z wielu prób nie tyle wadzenia się lidera Solidarności z samym sobą, bycia ironicznym w stosunku do siebie – co czasem mu się zdarzało – ile załatwienia sobie licencji na niejednoznaczność, jakby oświadczał: „Wymykam się wszelkim definicjom”. Można powiedzieć, że tej strategii pozostał wierny, a ten medialny chwyt sprzed 16 lat przepowiedział wszystkie gry i podchody, które Wałęsa prowadził oraz prowadzi.

Dla teatru Wałęsa również pozostaje problemem. Nie wiadomo do końca, jak go ugryźć, choć wydaje się kimś idealnym do zajęcia miejsca na scenie jako protagonista. Dlatego do tej pory polski teatr albo mówił o przywódcy Solidarności trochę obok, ze znanych powszechnie symboli i z obrazków historii układając raczej publicystyczne puzzle, albo streszczał jego ułgadzony życiorys.

W tym pierwszym wariancie mieścił się przede wszystkim głośny spektakl Michała Zadary na podstawie tekstu Pawła Demirskiego „Wałęsa. Historia wesoła, a ogromnie przez to smutna”, wystawiony w 2005 r. w gdańskim teatrze Wybrzeże. Wymowa była jednoznaczna: wartości, które zbudowały robotniczy związek, już dawno zanikły w naszym kapitalistycznym świecie; stąd w tytule sztuki ta przewrotność, zaczerpnięta z Wyspiańskiego. Tak, warto przypominać sobie podniosłe chwile, które może i na minutę dodadzą nam otuchy, ale to tylko ćwiczenie się w pustych odruchach. W tamtym przedstawieniu aktor grający Wałęsę nie miał wąsów ani ich nie doklejał, nie chodziło o tworzenie figury, monumentu czy punktu odniesienia. Wydarzenia skupiały się wokół niego, dostawaliśmy zestaw wzruszeń trochę jak z seansu „Człowieka z żelaza”, lecz to było wszystko, co sami dla siebie ocaliliśmy z dziejów „S”. Zadara po prostu wskazywał, że dziś potrzebujemy nowego Wałęsy, który upomni się o skrzywdzonych.

Z kolei w 2012 r. Krystyna Janda weszła na scenę swego teatru jako Danuta Wałęsowa w monodramie opartym

na wspomnieniowej książce tytułowej bohaterki, który jest grany do dziś. Materiał na spektakl był to słaby, nie dało się obronić kliwej narracji, pełnej wciąż tych samych emocjonalnych chwytów oraz podobnych opisów przeżyć pozostawionej samej sobie żony przywódcy. Jednak mimo wad Wałęsa i tak okazał się tu kimś wielkim – kimś, komu nikt nie byłby w stanie sprostać. Dzisiaj, w obliczu wiedzy, którą zyskaliśmy z początkiem 2016 r., na pewno dziwnie brzmi wypowiedziane ze sceny zdanie o tym, że Anna Walentynowicz nie powinna o Wałęsę pewnych rzeczy mówić, ale Krystyna Janda lubi stawiać na swoim.

NOWY MOMENT

Jednak od tamtych dwóch słynnych realizacji minęło sporo czasu i wydaje się, że jesteśmy w innym momencie, jeśli chodzi o nastawienie do Lecha Wałęsy i jego biografii. Przemysław Skrzydelski wnioski można uporządkować, bo emocje po wydarzeniach roku 2016 chyba już ostygły. Z jednej strony nie da się teraz uraczyć widzów dydaktyczną na siłę biografią wodza, z drugiej nie sposób wyobrazić



Jerzy Stuhr nie tyle gra Wałęsę, ile wytwarza jego skupioną obecność pośród ludzi

FOT. MONIKA STOLARSKA

przerosły jego oczekiwania. Nigdy nie był przygotowany do roli, którą odegrał. Wałęsa jest również tragiczny, bo prawdopodobnie pozostanie niezrozumiany i zawsze będzie rozdzielał tłum na dwie grupy: swych wyznawców i przeciwników. W Łaźni Nowej słuchamy 30-osobowego chóru, który i żali się na los Edypa/Wałęsę, i daje się manipulować jego wrogowi – Kreonowi. Szydlowski nie uniknął jednak tanich skojarzeń. Wiadomo, kto jest tu kim i o co dla siebie walczy, tym bardziej że obserwujemy spór jak najbardziej dzisiejszy. To kolejne przeobrażenie, bo Wałęsa staje się komentatorem bieżącej polityki. Zatem to metafora, lecz niespodziewanie i konkret. Dlatego gdy przywódca Solidarności przyznaje przed wszystkimi, że, owszem, wizja Polski, którą snuje Kreon, jest ohydna, ale przynajmniej jest jakaś w porównaniu z wizją jego konkurentów, przestaję wierzyć w uniwersalny mit, bo zaczynam rozumieć, iż skryła się w nim publicystyka. I ma ona dalsze konsekwencje. W jednej z bardziej wymownych scen Kreon przekupuje chór, hojnie rozrzucając monety, by chwilę później zebrać je na srebrną tacę. Odważna socjologiczna interpretacja. Są i Kaczyński, i „500+”, i Kościół; no i jest powtarzana przez Wałęsę, wzbogacona Edypowa fraza: „Pokonałem czerwonego sfinksa”, która wskazuje, że lider „S” nadal najchętniej interpretuje świat tylko w pierwszej osobie liczby pojedynczej.

Zauważymy też przeobrażenie trzecie. Tragizm nie wystarcza, mimo że byłby wystarczający. W finale postać Danuty Wałęsowej, która przez cały czas w drugim końcu długiej hali Łaźni Nowej pieczę szarlotkę, jako bogini mądrości Atena sugeruje, że Wałęsę należy zaliczać już do grona herosów. Szydlowski przecież wie, że to inna kategoria, więc chyba nazbyt nęciło go, by nadać swojemu bohaterowi wszystkie możliwe cechy. Właściwie w jakim celu? Rzeczywiście, odchodząc, Edyp/Wałęsa przeobla się w mit, który będzie wadził, przeszkadzał, prowokował do myślenia, lecz to nadal tragizm właśnie przez to, że mamy do czynienia ze skomplikowanym losem i z naznaczeniem. A tak zostajemy sprowadzeni na inny poziom. Wałęsa to na pewno nie Edyp i Achilles w jednym.

Można narzekać na zamysł Szydlowskiego, można również

widzieć, że chór nie spełnia swej podstawowej roli, gdy wygłasza zdania poza rytmem, i samplowane na żywo dźwięki też mu w niczym nie pomagają. Można.

ROLA OCIOSANA

Jest jednak i Jerzy Stuhr. Jako Wałęsa wyznacza rangę przedsięwzięcia Szydlowskiego, niechęć sytuując się trochę poza i ponad nim. Odnoszę wrażenie, jakby tę rolę wspaniały aktor nosił w sobie długo: przemysłową, ociosaną z ozdobników, zredukowaną do bycia tu i teraz. Stuhr stoi wyprężony w kiepsko skrojonym, szarym garniturze, który łatwo pomylić z robotniczym uniformem. W klapę marynarki ma niedbale wpiętą Matkę Boską. Wydaje się bardziej przysadzisty niż Wałęsa w rzeczywistości, trochę nawet bardziej groteskowy, lecz jakoś też bardziej gotowy do stanięcia twarzą w twarz ze wszystkimi. Tak to wygląda – jakby spotykał się z chórem/tłumem, z wrogami i poplecznikami, i w końcu z publicznością. I mimo że jeszcze oddziela go dystans do żony, odważnie patrzy w dal, z pewnością ją dostrzegając. Ta przestrzeń buduje Szydlowskiemu spektakl.

Trudno mówić o klasycznej roli. Stuhr nie tyle gra Wałęsę, ile wytwarza jego skupioną obecność pośród ludzi. Ukazuje go pogodzonego ze sobą na własnych zasadach, przygotowanego, by każdego wieczora powtórzyć kilka swoich prawd, lepszych lub gorszych. Spokojnie, ale konsekwentnie. Poruszający jest ten moment, gdy aktor przysiadł na krześle, by pomajsterkować przy radioodbiorniku; coś tam przykręca śrubokrętem, a obok świat kręci się w swoim tempie. Ktoś wygłasza tyradę, tłum coś odburknie, a Wałęsa i tak wie swoje. Rzekłbym: pełny obraz człowieka, który Stuhr uzyskuje praktycznie w kilku gestach, przez 70 minut znajdując się w jednym punkcie sceny. To zdarza się nieczęsto.

Jakże znakomity byłby to seans, gdyby nie mieszać w nim wszystkiego ze wszystkim i gdyby zatopić go tylko w tej jednej przestrzeni: ciszy, refleksji, człowieka! Przynajmniej jednak tym razem teatr trochę do Wałęsy się zbliżył.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst Jakuba Roszkowskiego na podstawie „Edypa w Kolonos” Sofoklesa, teatr Łaźnia Nowa w Krakowie, premiera: 8 września 2018 r. Spektakl będzie grany w Warszawie podczas festiwalu Polska w IMCE w teatrze IMKA 23 i 24 listopada.



REŻ. BARTOSZ SZYDLOWSKI
„WAŁĘSA
W KOLONOS”

sobie teatralnej sceny jako Trybunału Stanu. Nie o to chodzi.

W krakowskiej Łaźni Nowej Bartosz Szydlowski chyba myślał w taki sposób. Przynajmniej z wypowiedzi przedpremierowych wynika, że chciał zrobić coś innego, niż uruchamiać kolejny polityczny spór. To dobrze, to świetny punkt startowy. A i z postaci Edypa można ulepić coś na kształt archetypu pogubionego przewodnika ludu. Druga część trylogii tebańskiej Sofoklesa, nawet potraktowana jedynie jako luźna kanwa, podrzuca trochę ciekawych tropów. Przypomnijmy bowiem: w „Edypie w Kolonos” pohańbiony król pragnie umrzeć nienękany już przez nikogo, z dala od Teb. I choć nawet pod koniec życia nie może zaznać spokoju, bo niemal każdy z jego rodziny potrzebuje jeszcze wykorzystać go do własnych rozgrywek, to ostatecznie umiera w sekretnym, niedostępnym dla nikogo miejscu.

W spektaklu Bartosza Szydlowskiego dochodzi do kilku przeobrażeń. Edyp staje się Wałęsą przyglądającym się swemu życiu trochę z boku; jest postacią tragiczną w tym sensie, że wydarzenia, które napotkał na całej swej drodze,



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Bierz forszę i w nogi!



★★★★★
REŻ. DAVID LOWERY
„GENTLEMAN Z REWOLWEREM”
(„THE OLD MAN & THE GUN”)
USA 2018

wyst. Robert Redford, Sissy Spacek, Casey Affleck

Robert Redford znowu straszy, że przechodzi na emeryturę. Gra czarusa – oldboja, który w kapeluszu i z dolepionymi wąsami łupi małe banki. Nie musi nawet sięgać po broń: rozbrojone wielkopańskimi manierami i szerokim uśmiechem przestępcy kasjerki skwapliwie wypełniają banknotami jego sfatygowany neseser. Niektórych skoków dokonuje w towarzystwie podobnych sobie tetryków. Prowincjonalny gliniarz, który stawia sobie za punkt honoru zapuszkowanie grasanta, ze zgrozą odkrywa, że w dwa lata dopuścił się on 93 rabunków. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc rozzuchwaleni bezkarnością leciwi złoczyńcy postanawiają napaść na duży bank w środku dużego miasta. Jak łatwo się domyślić, ta decyzja wpędzi ich w prawdziwe kłopoty.

Twórcy filmu zapewniają, że „to wszystko wydarzyło się naprawdę, mniej więcej” w roku 1981. Forrest Tucker kradł nałogowo od dziecka do późnej starości, bo tylko to potrafił robić dobrze. Ponoć nie zdarzyło się, by zrobił komuś krzywdę. Kryminalista jako rebeliant, romantyk, wcielenie wolności – to jeden z ukochanych mitów amerykańskiej popkultury. Redford przyłożył rękę do jego utrwalenia. Przez wiele lat był wzorcem męskości. Panie o nim śniły, panowie marzyli, by mieć takiego kumpla.

Dzisiaj pomarszczony Sundance Kid zbliża się do wieku, w którym Butch Cassidy, czyli Paul Newman, odszedł do Krainy Wielkich Łowów. Jednak, używając słów Forresta, nadal „ma swój styl”. Młody reżyser „Gentlemana z rewolwerem” też musi należeć

do fanów analogowego kina, skoro jako współników Tuckera obsadził Toma Waitsa i Danny’ego Glovera, zaś kobietę jego życia gra Sissy Spacek. Warto przypomnieć, że kariera tej aktorki zaczęła się od występu w kryminalnej love story, zaś jedną ze swych sześciu nominacji do Oscara dostała za rolę właścicielki farmy.

Gwiazdor dostał wolną rękę w budowaniu postaci czarującego złoczyńcy. Skorzystał z tego, by zdradzić widzom własny sposób na przemijanie: „Nie poddawać się, ciągle iść dalej”. Los zysła jego bohaterowi szansę. Może się ustatkować, zakończyć złodziejską odyseję, gdy jest na szczycie. Nic z tego, romantycy mają zapisaną w genach uległość wobec siły fatalnej. Można krzyczeć do zdarcia gardła: „Uciekaj, Forrest, uciekaj!”, a on i tak robi po swojemu.

Jeśli to faktycznie pożegnanie Redforda z aktorstwem, to mogło wypaść okazale. Film trwa tylko półtorej godziny, lecz i tak wydaje się za długi. Mimo że „Gentlemana z rewolwerem” awizowano jako komedie, humor serwowany jest tu w dawkach aptekarskich. Najlepszy dowcip pada z ust Forresta: twierdzi, że nie umie jeździć konno. ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „CREED II”

„Creed” okazał się udanym eksperymentem, Sylvester Stallone sprawdził się jako trener-mentor, Michael B. Jordan błysnął charyzmą w roli Adonisa, syna Apollo Creeda znanego z oryginalnej serii filmów „Rocky”. Ciąg dalszy musiał nastąpić, zwłaszcza że wpływy z biletów były czterokrotnie wyższe od kosztów produkcji.

I tak młody Creed stanie w ringu naprzeciw Iwana Drago, syna rosyjskiego pięściarza, który zabił jego ojca. ©© **Piotr Gociek**

• „Creed II”, reż. Steven Caple Jr, wyst. Sylvester Stallone, Michael B. Jordan, Tessa Thompson, Dolph Lundgren, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Miłość jest wszystkim”, reż. Michał Kwieciński, Polska 2018
- „Assassination Nation”, reż. Sam Levinson, USA 2018
- „Sorry, Angel”, reż. Christophe Honoré, Francja 2018
- „Sofia”, reż. Meryem Benm'Barek-Aloisi, Francja/Katar 2018



Rozmowa z lustrem

Niektóre nastolatki są jak tykające bomby, wcześniej czy później muszą wybuchnąć. Maria ma prawie 18 lat, skłonności do pustelnicstwa i problemy ze snem. Pewnej nocy odkrywa, że jej odbicie w lustrze żyje swoim własnym życiem. Wkrótce w egzystencji naszej bohaterki zajdzie radykalna zmiana: z płacziwej ofierki i szkolnego popychadła zmieni się w arogancką zdiurę. Rozdwojenie jaźni czy opętanie przez złośliwego demona?

Izraelski reżyser stara się maksymalnie odwrócić rozstrzygnięcie tej fundamentalnej kwestii, więc z obcowania z „Obliczem mroku” satysfakcję mogą czerpać wyłącznie widzowie cierpliwi. Zadawoleni wyjdą z kina również

tropiciele sprawdzonych fabularnych schematów. Apodyktyczny tatuś Marii, z zawodu chirurg plastyczny, w gruncie rzeczy jest współczesnym wcieleniem dr. Frankensteina. Można też analizować ten film metodą dr. Freuda lub uznać go za hołd złożony „Carrie” (choć w tej ostatniej kategorii

ustępuje skandy-nawskiej „Thelmie”). Recenzenci lubią grymasić. Nie chcąc zanadto odbiegać od normy, twierdzą, że Easley jest za ładna do roli zakompleksionej małolatki. W to, że jankesi z klasy średniej fundują swym pociechom wypasione auta, nie wątpię wcale. Cały świat wzoruje się na Ameryce, więc apeluję do rządu o szybkie wdrożenie programu „parking plus”. ©©

Wiesław Chełmniał



★★★★★

REŻ. ASSAF BERNSTEIN
„OBLICZE MROKU” („LOOK AWAY”)
USA 2018

wyst. India Eisley,
Mira Sorvino, Jason
Isaacs



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NA POŁUDNIE OD GRANICY

Pierwszy „Sicario” był mocnym doświadczeniem. Ponura opowieść o piekle karteli w Juárez w Meksyku oraz o zemście samotnego kilerka wprowadzała widza w trans klimatyczną muzyką i rewelacyjnymi zdjęciami Rogera Deakinsa. Film numer dwa to już bardziej tradycyjne kino akcji, w którym najważniejsze jest pytanie

o honor między twardzielami. Po odkryciu, że terroryści islamscy płacą kartelom za szmuglowanie zamachowców przez granicę z Meksykiem, rząd USA postanawia uderzyć w narkobaronów. Tajne komando próbuje wywołać wojnę między kartelami, wszelkie chwytły dozwolone. Włącznie z porwaniem córki jednego z najpotężniejszych bandziorów. Zawsze miło zobaczyć na ekranie Benicia del Toro oraz Josha Brolina, ale cała zabawa, w porównaniu z „jedyńką”, nic nowego nie wnosi. A pomysł na nielegalne militarne uderzenie w kartele poza granicami USA mocno przypomina „Stan zagrożenia” – powieść Toma Clancy’ego oraz nakręcony na jej podstawie film z Harrisonem Fordem.



wyst. Benicio del Toro, Josh Brolin,
Isabela Moner

★★★★★

REŻ. STEFANO SOLLIMA
„SICARIO 2: SOLDADO”
USA 2018, MONOLITH

MIŁOŚĆ PRZYCHODZI O CZASIE

Liverpool, koniec lat 70.

XX w. Starzejąca się gwiazda filmowa wikała się w romans z młodszym o pokolenie początkującym aktorem. To, co wygląda na kaprys kochanki, okazuje się prawdziwym uczuciem. Jako główna bohaterka błyszczy Annette Bening (jej najlepsza rola od wielu lat), w młodego partnera wciela się gwiazda „Billy’ego Elliota” – Jamie Bell, który z wiekiem staje się coraz lepszy. Sam film przypomina trochę teatralne przedstawienie, to bardziej inscenizacja niż filmowa opowieść, a cała rzecz, choć koncertowo zagrana, jest dość przewidywalna. Ten kameralny dramat inspirowany jest prawdziwą historią ostatnich lat życia Glorii Grahame, gwiazdy Hollywood lat 40. i 50., laureatki Oscara za występ w „Pięknym i złym” (1953). Paul McGuigan wyreżyserował go na podstawie autobiograficznej książki Petera Turnera, prawdziwego kochanka prawdziwej Glorii Grahame. ©©



wyst. Annette Bening, Jamie Bell,
Kenneth Cranham

★★★★★

REŻ. PAUL MCGUIGAN
„GWIAZDY NIE UMIERAJĄ W LIVERPOOLU”
WIELKA Brytania 2017, IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „KURSK”

Jujubee to katowickie studio deweloperskie, które z gier mobilnych postanowiło przenieść się na komputery PC i konsole. Ich pierwsze poważne dzieło to thriller szpiegowski pt. „Kursk”. I nie chodzi tutaj o bitwę podczas II wojny światowej, ale zatopiony w wyniku katastrofy w 2000 r. atomowy okręt

podwodny. Tematyka pierwszy raz poruszana w grach komputerowych, pod wieloma względami delikatna. Naszym zadaniem jako szpiega skierowanego na pokład jest wykradzenie planów torped „Szkała”. Oczywiście w trakcie akcji dochodzi do tragedii. Twórcy unikają na szczęście teorii



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

spiskowych. Grze brakuje jeszcze kilku szlifów i optymalizacji, ale to ciekawy produkt. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** FPP/Thriller
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Jujubee
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kredyt na zęby

Zycie siedmiu niezwykle-
szych – jak głosi podtytuł
książki – ludzi świata
opowiedział w „Chrobocie”
Tomasz Michniewicz, podróżnik
i reporter, dobrze już znany z m.in.
opisującej Azję „Samsary”. Na
przewodników po współczesnym
świecie wybrał autor cztery
dziewczyny: z Ugandy, Indii,
Japonii i Kolumbii oraz trzech
chłopaków: z Zimbabwe, ze
Stanów Zjednoczonych i z Finlan-
dii. Co ich łączy poza tym, że są
rówieśnikami i opowiedzieli repor-
tażystę o swoim dzieciństwie,
dojrzwaniu, młodość? O tym, co
będzie, nie mówią za wiele, nie
snują dalekosiężnych planów,
nauczyli się bowiem, że z dnia na
dzień wszystko może się zmienić,
zawalić, a ich osobisty wpływ na
egzystencję, którą prowadzą, jest –
bądźmy szczerzy – nikomy.

Nie znaczy to, że nie ma w ich
życiu punktów stałych. Ależ są!
W Indiach dajmy na to: „Na środku
wciąż stała studnia, centrum
wszelkiego życia. Wcześniej stała
sama sobie, a teraz domy otoczyły
ją ciasno, więc jakby stała na placu.
Łańcuch nadal chrobołał cały dzień
po cembrowinie. Ludzie się myli,
mydliny płynęły. Urynał śmierdział”.

Ktoś powie: Ależ postęp się
dokonuje! No tak, po wodę
stoi się dziś krócej, jednak
łańcuch jak chrobołał, tak chro-
bocze. W krajach „ekonomicznie
przystosowanych” żyje się inaczej,
ale chrobot jest nie mniejszy,
towarzy nieustannemu wyścigowi
szczurów, pustce uczuciowej,
kompletnemu pogubieniu
w pseudowartościach narzuconych
przez postmodernizm. Na pozór
jest niby inaczej: w USA średnia
płaca to 3,5 tys. dol., w Finlandii
niemal tyle samo, a w Kolumbii
700, w Indiach, Zimbabwe i An-
goli – 50, może 70 dol. „Zresztą –
czytamy – kto to wie, nikt nie bada
wsi w górach i domostw w buszu.



FOT. TOMASZ URBANEK / ODWIN / FOT. NEWS

Średnia pewnie jest niższa, choć
kraje się niby rozwijają.

– Zjedź do końca, bo w Afryce
dzieci głodują.

– Ale przecież to nie moja wina”.

Wyrzuty sumienia lukrujemy
pomocą humanitarną. Polska, daj-
my na to, „dwukrotnie zobowią-
ła się do przekazywania na pomoc
biednym krajom 0,33 proc. PKB.
Przekazujemy trzy razy mniej”.
Takie instytucje jak Międzynaro-
dowy Fundusz Walutowy czy Bank
Światowy rzekomo eliminujące
biedę przez rozpowszechnianie
wolnego handlu tę biedę pogłębia-
ją. W Ugandzie projekty fundacji
Pay it Forward („uczaj nas, że
trzeba dawać wędkę, a nie rybę”)
rzeczywiście zmieniły życie mieszk-
kańców wioski Mubende – na
gorsze. W Indiach Madhuri, która
bardzo chciała mieć stałą pracę,
doczekała się takiej po trwających
rok staraniach. Zmarł jej mąż,
osierocił czworo dzieci, pytała:
„Z czego będziemy żyć?”. W końcu

została sprzątaczką, zgarnia liście
codziennie od godz. 7 do 14 –
w przeliczeniu – za 250 zł mie-
siecznie. Musiała podać adres,
a więc mieć dom, podać numer
telefonu, podpisać umowę: „żeby
zostać nikim, trzeba być już kimś”.

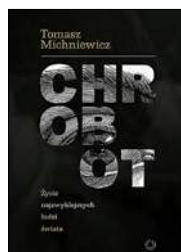
A gdzie są konfitury? Dla przy-
kładu Pfizer, wielka firma farma-
ceutyczna, od 2007 r. przez pięć lat
prowadziła swój flagowy program
filantropijny na rzecz leczenia
malaria. W sumie kosztował on
Pfizera 15 mln dol. Roczny zysk
firmy to 20 mld – dwa razy więcej,
niż wynosi roczny budżet Ugandy.

W Ameryce ludzie mają
ładne domy i samochody,
równe białe zęby. Tylko że
kredytu na zęby nie widać, a gdy
Casey chciał kupić auto za 5 tys.
dol. i brakowało mu połowy, bank
mu odmówił kredytu tylko dlate-
go, że nigdy wcześniej takiego nie
brał. Z punktu był podejrzany.

W Chinach jest 50 mln analfabe-
tów, w Japonii – kraju uczących się
– znane jest powiedzenie: „cztery
– zdasz, pięć – nie”, co oznacza, że
zdasz egzamin, gdy spać będziesz
cztery godziny dziennie, jeśli pięć
– oblejesz. „W Finlandii w Boże
Narodzenie wymienia się prezenty,
ale nie życzenia. Wyrażanie emocji
nie jest mocną stroną Finów. Może
tylko na cmentarzu przez chwilę
każdy się zaduma, pomyśli, czego
sam by sobie życzył. Mika też.
Żebym znalazł w życiu jakiś cel”.

Ci, którzy nie muszą się trosz-
czyć o codzienne zaspokajanie gło-
du, na sławne pytanie: „Mieć czy
być?” odpowiadają zdecydowanie:
„Być”. Ci z Trzeciego Świata (to już
też miano niepoprawne politycz-
nie) nie rozumieją tego dylematu.

Ważną i potrzebną książkę
napisał Tomasz Michniewicz.
Czytelniku, czy słyszysz koło
siebie drażniący, niepokojący
chrobot? I czy naprawdę uważasz,
że przyszło Ci żyć w najlepszym ze
światów? ©©



★★★★★

**TOMASZ
MICHNIEWICZ**
„CHROBOT.
ŻYCIE NAJ-
ZWYKLEJSZYCH
LUDZI ŚWIATA”
WYDAWNICTWO
OTWARTE 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kobiety Londynu

Podczas gdy Sara Paretsky powieściami o kobiecie prywatnym detektywie (V.I. Warshawski) redefiniowała w USA czarny kryminał, w Wielkiej Brytanii Lynda La Plante sfeminizowała na potrzeby telewizji świat przestępczy. Działo się to dawno temu, w latach 80. XX stulecia. W błędzie jest bowiem ten, kto sądzi, że moda na silne postacie kobiece w popkulturze to sprawa ostatnich lat.

Lynda La Plante stworzyła serial telewizyjny „Wdowy”, w którym liczą się właściwie tylko panie. Pokazany przez angielską ITV w 1983 r. cieszył się tak dużą popularnością, że szybko powstała jego kontynuacja (1985). W roku 2002 zrobiono telewizyjny remake, a teraz do kin wchodzi wersja hollywoodzka, do której scenariusz napisała Gillian Flynn (tak, ta od „Zaginionej dziewczyny” i „Ostrych przedmiotów”), a reżyserią zajął się Steve McQueen (Oscar za „Zniewolony: 12 Years a Slave”). La Plante dalszą pracę dla telewizji (rozmaite seriale, z których najgłośniejszy był „Główny podejrzany”) łączyła z pisaniem powieści kryminalnych, często opartych na własnych wcześniejszych scenariuszach.

Tak właśnie jest z powieścią „Wdowy”, która trafia do rąk polskiego czytelnika dopiero teraz: 35 lat po

premierze serialu. Próbę lat zniosła nieźle, choć dla współczesnego odbiorcy to już trochę kryminał retro, historia ze świata bez Internetu i telefonów komórkowych. Nie technologia jest jednak w tej historii najważniejsza, lecz postacie. Punkt wyjścia jest prosty: skok na transport dużej gotówki kończy się katastrofą, giną trzech główni sprawcy. Wdowa po szefie szajki nie zamierza się pograżać w żałobie. Na podstawie planu męża szykuje własny skok, a do współpracy wciąga wdowy po jego współnikach. Jednocześnie dybie na nią para mafiosów, którzy poszukują notatnika zmarłego, pełnego haków na przestępczych konkurentów. Tego samego chce od Dolly Rawlins policja, a najbardziej zaciekle jest oficer, który ma z rodziną Rawlinsów własne porachunki.

To, co najciekawsze w tej opowieści, dzieje się między kobietami. Dzieli je wszystko: status społeczny, talenty, przeszłość, a autorka doskonale wydobywa rozmaite sprzeczności. Warstwa obyczajowa jest więc zacna, intryga kryminalna bardziej

zaś skomplikowana, niż wcześniej wspominałem.

„Wdowy” to już klasyka i dobra lekcja dla współczesnych autorów thrillerów. Zamiast mnożenia makabry i dziwnych zwrotów akcji wystarczy dobra ręka do wymyślenia bohaterów. Z nimi zajdziecie dalej. ©



★★★★★
LYNDA LA PLANTE
„WDOWY”
W.A.B. 2018

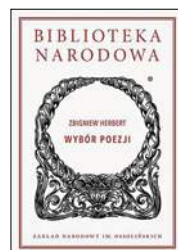
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Słodko-gorzka premiera dla fanów Martina. Gorzka, bo wciąż nie mogą się doczekać nowego tomu „Gry o tron”, słodka, bo dostają opowieść o wypadkach, do których doszło wiele stuleci przed akcją „Sagi Lodu i Ognia”.



GEORGE R.R. MARTIN
„OGIEŃ I KREW”,
TOM I
ZYSK I S-KA

Tylko jedno słowo ciśnie się na usta: „Nareszcie!”. Obszerny tom znakomitego polskiego poety i eseisty wydany w klasycznej serii „Biblioteka Narodowa”. Wstęp i opracowanie Małgorzata Mikołajczak.



ZBIGNIEW HERBERT
„WYBÓR POEZJI”
OSSOLINEUM

Znany amerykański fizyk i popularyzator nauki wiesz czy nam cudowne dekady i stulecia: podbój Marsa, podróże międzygwiazdowe, nieśmiertelność. Świetne uzupełnienie innych jego prac: „Przyszłości umysłu” i „Fizyki przyszłości”.



MICHIO KAKU
„PRZYSZŁOŚĆ
LUDZKOŚCI”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Zdobycyca Jerozolimy i jej król, bohater pierwszej krucjaty i poematu Torquata Tasso – baron z Lotaryngii znany jest głównie ze swych dokonań w Ziemi Świętej. Biografia pióra Johna Simona rozszerza ten obraz o jego młode lata. © **poleca Piotr Gociek**



JOHN SIMON
„GÓTFRYD
Z BOUILLON”
WYDAWNICTWO
NAPOLEON V

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Marek Szymaniak „Urobieni”** (Wydawnictwo Czarne) – reportaż o polskim świecie pracy, od beneficjentów transformacji do tych, którzy są na minimalnej pensji.
2. **Remigiusz Mróz „Kontratyp”** (Czwarta Strona) – ósmy tom serii o komisarzu Joannie Chyłce (wkrótce serial TVN, w roli głównej Magdalena Cielecka).
3. **Diane Coyle „PKB”** (PWN) – skąd pomysł, by rozwój krajów mierzyć w PKB i jak statystyka wpłynęła na gospodarkę, a gospodarka na politykę. Intrygujące.
4. **L.J. Shen „Skandal”** (Edipresse Książki) – trzeci tom serii „Święci grzesznicy”, czyli przyozdobione wątkami kryminalnymi popłuczyny po „50 twarzach Greya”.
5. **Yuval Noah Harari „Homo deus”** (Wydawnictwo Literackie) – podtytuł: „Krótka historia jutra”. Autor: izraelski historyk, weganin, zwolennik medytacji Vipassana.

(Najchętniej kupowane e-booki października 2018 r. w Ebookpoint.pl)



I tylko Maryli żal

FOT. ARTISERWICE/FORUM

Chyba żadne z wydarzeń obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości nie było tak jednoznacznie pozytywnie oceniane. Koncert dla Niepodległej zorganizowany na Stadionie Narodowym pokazało pięć telewizji – TVP, Polsat, TVN, Republika oraz Trwam – i transmitowało Polskie Radio. Koncert wart rocznicy, której główną część obchodów rozpoczynał. Kto nie widział, może obejrzeć za darmo w Internecie.

„Spotkaliśmy się, by świętować razem, ponad podziałami. Koncert dla Niepodległej to opowieść o stu latach historii przedstawiona w piosenkach. Usłyszmy utwory, które towarzyszyły Polakom zarówno podczas pokoju i radości, jak i wojen i żałoby. [...] Będziemy dzisiaj wspominać momenty bolesne, ale będziemy się też radować, będziemy się cieszyć z tego, że Polska spełniła nasze marzenia, spełniła marzenia wielu pokoleń naszych rodaków” – mówił na rozpoczęcie koncertu Przemysław Babiarz.

A potem na scenie zobaczyliśmy Natalię Sikorę i się zaczęło! Nie ma w Polsce kobiecego głosu, który mógłby wypaść lepiej w „Widziałam ja orła na niebie”. Wykonanym a capella, tak jak przed laty przez nieodżałowaną Teresę Heremzę, „Widziałam ja ludzi spętanych / Z rękami skutymi w kajdany / Lecz mieli serca jak róże płonące / A myśli gońcem szlachetny był gniew”.

Wspaniale rozpoczęła przez Natalię podróż przez historię polskiej piosenki, przez historię Polski – od piosenek legionowych do wielkich przebojów lat 80. ubiegłego wieku – na równie wielkim poziomie kontynuowali kolejni wykonawcy, którzy nie tylko wykonaniem, lecz także stylizacją wpisali się w epokę i okoliczności powstania śpiewanych przez siebie piosenek oraz klimat koncertu.

I tylko Maryla Rodowicz, jakby wyjęta z innej bajki, z peruką z plastikowych słomek, w sukieneczce niczym postać, która na scenę wskoczyła przez króliczą norę wprost ze świata Alicji, rozzarowała. Wielokrotnie w swoich stylizacjach ocierała się o kicz, na tym koncercie granicę kiczu zostawiła daleko za sobą. Małgośka, jesteś żywą legendą, kochamy cię, nie musisz już niczego udowadniać. A już na pewno nie w ten sposób. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

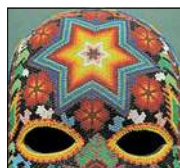
Neopogańskie Bachanalia na sprzęt Hi-Fi

Na dziewiątej płycie australijski duet stworzył soundtrack do antycznego szaleństwa ku czci boga Dionizosa. Święto to, oparte na religijno-hedonistycznej ekstazie, zostało w 186 r. p.n.e. zakazane przez rzymskich senatorów.

Album zawiera neopogańską muzykę opartą na natarczywie wybijanych rytmach, dźwiękach natury, etnicznych ornamentach i żeńskich zaśpiewach. Dead Can Dance od lat tworzy panglobalny folk utkany z brzmień i rytmów wywodzących się z różnych rejonów świata. Tym razem ten Hi-Tech koktajl dźwiękowy łączy

mistyczną muzykę suficką, hinduską ragę i balinezyjski gamelan. W tym koncepcie perskie bębny obręczowe z powodzeniem łączą się ze słowackimi fujarami pasterskimi i arabską lutnią ud.

Wielbiciele grupy mogą być nieco zawiedzeni, gdyż tym razem zabrakło tego, co najbardziej kochają – uspakajającego śpiewu Lisy Gerard. Jest to bowiem oratorium bez słów. Dopiero w szóstym utworze, „The Forest”, Brendan Perry śpiewa w nieznanym mi języku. W kończącym album „Psychopomp” dołącza do niego Lisa, ale i tak trudno tu mówić o epickiej pieśni typowej dla stylistyki DCD. ©©

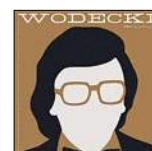


★★★★★
DEAD CAN DANCE
„DIONYSUS”
PIAS



★★★★★
MUSE
„SIMULATION THEORY”
MUSE

Pulsujące syntezatory, nostalgiczna estetyka filmowej muzyki SF, patetyczny wokół, walka z maszynami, dudniący bas... Jest tu wszystko to, co kochają przerośnięte dzieci, czyli elektroniczny pop szyty na stadionową miarę.



★★★★★
ZBIGNIEW WODECKI
„SNY PODRÓŻNIKA”
GAD

Dwanaście piosenek radiowych zrealizowanych w połowie lat 70. przez Zbigniewa Wodeckiego i orkiestrę Jerzego Miliana. Wydane po raz pierwszy na płycie dowodzą kunsztu aranżacyjnego katowickich muzyków i wokalnego mistrzostwa 20-latką. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Media wkurzałościowe

Zastanawiam się nad pozwaniem Marka Zuckerberga. Ten jego Facebook pozabawił mnie sporej liczby znajomych.

To jest jeden z paradoksów mediów społecznościowych. Zamiast zbliżać ludzi – jak powinno być w idealnym świecie – robią rzecz dokładnie odwrotną. Powodują, że na niektórych ludzi dostajemy alergii, a na innych nie możemy patrzeć. Jeszcze inni po prostu nas wkurzają.

Owszem, polityka odgrywa tu pewną rolę. W okolicach 11 listopada tak wielu rozsądnych i miłych ludzi wypisywało przynębiające okropności, że miałem ochotę włamać się do siedziby Internetu i wysadzić ją w powietrze albo przynajmniej odłączyć sieć od sieci elektrycznej. Przy czym mam na myśli zarówno tych, którzy wrzucali fejkowe zdjęcia z faszystami i gulgoczących „Hańba!”, jak i tych, którzy bardzo brzydko nazywali Donalda Tuska, nawiązując do koloru jego włosów oraz pewnej części ciała.

Nie ma jednak co zwać wszystkim na politykę. Idzie też o inną cechę Facebooka, a mianowicie to, że pozwala on obcować właściwie nieustannie z innymi ludźmi. I to jest trochę jak przebywanie z jakąś grupą, np. na jachcie. Albo spotkanie z rodziną na święta. Nie ma siły – po pewnym czasie wszyscy albo prawie wszyscy wydają się irytujący. Jeden próbuje być dowcipny, a nie jest. Drugi wypisuje banały z poczuciem,

że ogłasza odkrywcze prawdy. Trzeci mądrzy się w każdej sprawie, nawet jeśli nie ma o niej pojęcia. Czwarta też pozjadała wszystkie rozumy i poucza wszystkich w kwestii *savoir-vivre'u* i ubioru, chociaż jest starą panną (może właśnie dlatego). Piąta snuje nieskończoną opowieść o swoim piesku (kotku) i lansuje serial w HBO, jakby jej za to zapłacili. Szósty epatuje swoimi podróżami (to chyba moja przypadłość), siódmy i siedemnasty informują, co dzisiaj zrobili na obiad. A ktoś jeszcze wyznaje, że Krystyna Janda to największy myśliciel XXI w.

W dodatku Facebook wyolbrzymia pewne cechy ludzkie, kamuflując zarazem inne. Jeśli ktoś nie jest bystry, to media społecznościowe brutalnie to obnażają, choć w realnym życiu ten brak rożgnięcia może być rozcieńczany przez urok osobisty, poczciwość czy piękny uśmiech. Niestety, Facebook zdziera z człowieka ten kamuflaż i redukuje go do jednej, często irytującej cechy.

No i z grubsza dlatego potrafiłem wielu znajomych, których Facebook mi obrzydził. Oczywiście może być tak, że jestem jakimś strasznym mizantropem, choć większość życia przeszedłem w przekonaniu, że lubię ludzi. Ale wolę rzecz jasna szukać winy nie w sobie, lecz gdzie indziej. Obwiniam zatem Zuckerberga. Choć może prościej byłoby wziąć urlop od Facebooka. I podzielać trochę na Instagramie. Myślę, że świat czeka na moje selfie. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Cała Warszawa

Obserwowałem ten dzień ze środka manifestacji, z poziomu chodnika i nie próbowałem ukryć wzruszenia. Warszawa się ruszyła. Jakby w ramach ekspiacji za ostatnie wybory.

Widziałem młodych ludzi ściągających ze wszystkich dzielnic, z tych wypasionych lemingradów, zatok czerwonych świń, gierkowskich blokowisk i willowych osiedli. Podążali całym rodzinami, z uśmiechem na ustach, z flagą w rękę i determinacją w oczach, że trzeba być razem, trzeba maszerować.

**Wyjątkiem
w komunistycznej
sztampie był aplauz
dla prezydenta
Nixona, tego „psa
łańcuchowego
imperializmu”**

Jestem warszawiakiem od 70 lat i od paru pokoleń. Pamiętam ruiny, odbudowaną świeżo Starówkę, parterową Marszałkowską i rozciągający się na zachód od Pałacu Kultury i Nauki Dzikie Zachód. Nie byłem wprawdzie na słynnym wiecu na placu Defilad w październiku 1956 r., ale to, co się działo później, pamiętam doskonale. Spędę pierwszomajowe, kiedy sprawdzano listę obecności, wizyty oficjeli – razem ze szkołą pogoniono nas witać czeskiego satrapę Novotne-

go, a Radiokomitet zmusił pracowników do powitania Leonida Breżniewa na Dworcu Centralnym. Wyjątkiem w komunistycznej sztampie był nadzwyczajny aplauz dla prezydenta Nixona, tego „psa łańcuchowego imperializmu”, którego na placu Zwycięstwa pozdrowiał tłum zwykłych ludzi. Wcześniej dobrowolnie znalazłem się na ulicy w 1968 r. – na Krakowskim Przedmieściu 8 marca i pod Politechniką 9 marca.

Pamiętam z tamtych czasów piękny sen, być może inspirowany filmem „Młodość Chopina” – siedłem ulicą z początkowo małą grupką, do której spływały dopływy z bocznych uliczek, i rósł tłum większy i większy, jak rzeka, jak ocean. Obudziłem się, gdy dochodziliśmy do Komitetu Centralnego. I całe lata kombinowałem, jak to się mogło, jak powinno się skończyć.

A potem przyszedł czas Zesłania Ducha Świętego. Tłum przemienił się we wspólnotę. Pozostał nią w czasie burzy i naporu, ale także w chwilach zwątpienia. Widywaliśmy się w podgrupach, w Regionie Mazowsze (1980–1981), w Niespodziance przy placu Konstytucji (1989), przy zniczach w al. Jana Pawła II (2005) i przez osiem lat pod Pałacem Prezydenckim. Teraz spotkaliśmy się razem ponownie i mogliśmy się wreszcie policzyć. Niezależnie od wieku byliśmy znowu piękni i młodzi, jak Warszawa, jak Polska! ©©



Tomasz P. Terlikowski

Gdyby Wojciech Smarzowski chciał zrobić rzeczywiście głęboki oraz wstrząsający film o „zbrodni i karze” kleru, to zamiast antyklerykalnego produkcyjniaka, który powstał, zekranizowałby „Miłosierdzie” Jeana Raspaila

Nie, nie byłem i pewnie nie zostanę przesadnym wielbicielem twórczości Jeana Raspaila. Jak dotąd przeczytałem tylko „Obóz świętych”, znakomity jako profetyczna niemal wizja przyszłości Europy, ale niekoniecznie przekonujący mnie pod względem literackim. „Miłosierdzie” jednak od pierwszych stron przekonało mnie do siebie. Może trochę z powodu niesamowitych nawiązań literackich do Georges’a Bernanosa, niestety zapomnianego, a znakomitego katolickiego mistrza pióra, trochę z powodu nieco bardziej ukrytego nawiązania do „Zbrodni i kary”, która pozostaje moim pierwszym naprawdę ważnym literackim i filozoficznym przeżyciem, a trochę dlatego, że Raspail w niesamowity sposób ukazuje prawdę o katolickim rozumieniu miłosierdzia. Miłosierdzie, które nie jest miłusim uczuciem, nie jest sentymentalnym wszechprzebaczeniem ani tym bardziej „tanim wybaczeniem”, które nie wymaga ani skruchy, ani postanowienia poprawy, ani nawet przepracowania własnych zbrodni. Tutaj mamy do czynienia z prawdziwą zbrodnią, ale i prawdziwą skruchą, a także prawdziwym miłosierdziem. Miłosierdziem tak mocnym, że aż wyczerpującym możliwości literatury.

PRAWDZIWA ZBRODNIĄ KS. JACQUES’A

Krótki opis historii, od której zaczyna się książka, nie będzie przestępstwem, bo to nie sama narracja (oparta zresztą – niemal jak u Dostojewskiego – na prawdziwej, choć przetworzonej literacko zbrodni) jest najważniejszą siłą prozy Raspaila. Punktem wyjścia jest przerażający mord, który ksiądz popełnił na swojej ciężarnej kochance i ich nienarodzonego dziecko (które dobił po tym, jak je ochrzcił). Oszczędzę szczegółowego



FOT. ADRIEN STOCK

Kapłańska zbrodnia i kara

opisu samej zbrodni (Raspail dawkuje go w niezwykle literacki sposób, tak by nie doprowadzić do uczucia obrzydzenia, a jednocześnie uświadomić, jak potworna była to zbrodnia), istotniejsze bowiem od tego są motywy. Ksiądz chce uniknąć zgorszenia, uniknąć zrzucenia sutanny, zniszczyć dowody grzechu. Straszne? Niewątpliwie! Okrutne? A jakże!

Łatwo mógłby z tego wyjść antykatolicki, antykościelny, a nawet antycelibatowy produkcyjniak. Jednak nie pod piórem Raspaila. On próbuje wejść w duszę zbrodniarza, ukazać całą złożoność sytuacji, to, jak demony (nie ma zaś wątpliwości, że przy całym skomplikowanym podejściu pisarza do kwestii praktyk religijnych jest on człowiekiem wierzącym, a to oznacza – uznającym istnienie świata demonicznego) wykorzystują szlachetność duszy i jak doprowadzają duchownego do strasznego upadku. Nie jest to jednak koniec drogi upadłego kapłana, nie jest ostatnie słowo Boga i Kościoła, bo na końcu jest... miłosierdzie.

Nie, nie udawane, nie cikliwe, tanie miłosierdzie, które neguje potworność zbrodni, które udaje, że w istocie nie ma ona znaczenia, bo liczy się przecież tylko wybaczenie, które jest nam ofiarowywane jak baloniki podczas akcji reklamowych banków. Tutaj miłosierdzie przychodzi przez trud, surową karę, odrzucenie, ale i pochylenie się nad każdym zbrodniarzem. Pochylenie się, u którego podstaw leży... własna słabość. „Miłosierdzie” Raspaila to bowiem także opowieść o innym kapłanie, ks. Simonie Giordanie, który zostaje wyrzucony z wioski i ukarany przez biskupa, bo (prawie) wpada w pułapkę pokusy, którą zastawia na niego piękna kobieta. To on, gdy uświadomi sobie pokusę i to, jak blisko sam był upadku, staje się lekarzem duszy kapłana-mordercy. Jak do tego dochodzi? Jak dokonuje się uzdrowienie? Tego do końca nie wiemy. Raspail jest zbyt dobrym pisarzem, by pozwolić sobie na dosłowne odpowiedzi, na prowadzenie nas przez tak silną wiwisekcję duszy, której zrozumieć się nie da. Wiemy jednak jedno: prawdziwe miłosierdzie zacząć może się dopiero, gdy zarówno prowadzący, jak i prowadzony są w pełni świadomi nie tylko powagi grzechu, lecz także własnej grzeszności. Nie udawanej, nie pozorowanej, ale do trzewi uświadomionej.

Ukrytym, ale nie mniej ważnym bohaterem tej książki jest także Kościół. Ten przedsoborowy, często oskarżany

o formalizm, brak miłosierdzia, zastanie w tradycji. U Raspaila, który wcale nie jest bezprzykładnym jego chwałą, który dostrzega brudy ukrywane pod pozornie czystymi obrusami i potrafi zrozumieć brzydotę serc, która owocuje brzydotą plebanii czy pałaców biskupich (ale także potrafi dostrzec piękno serc pod taką właśnie powłoką brzydoty), to właśnie za sprawą tego Kościoła nadchodzi miłosierdzie. Najpierw jest jednak – i to także z wnętrza Kościoła – jego brak, okrucieństwo odrzucenia, które bierze się ze strachu, z uznania, że zbrodnia to efekt szaleństwa, a nie ukrytego, zdeformowanego pragnienia uratowania zszarganej świętości. Ostatecznie ratunek przychodzi od biskupa, który przez lata był proboszczem w zapyziałej, małej wiosce, a nawet małej ludzkiej wiosce gdzieś w zlaicyzowanej (już w latach 60. XX w.) Francji.

Nie, nie jest to w żadnym razie bohater literacki, piękny święty rodem z hagiograficznych powieści. Mężczyzna siorbie, nie jest intelektualistą, a czyta w kółko kilkanaście dewocyjnych książek, a do tego brudzi ceraty, na których spożywa posiłki, tłumacząc, że obrusy nie są dla niego. To właśnie on potrafi jednak za demoniczną brzydotą, za głębią upadku dostrzec piękno człowieka. I on, inaczej niż wielu nam współczesnych mających usta pełnych miłosierdzia pasterzy, potrafi dać drugą szansę i kolejne tym, którzy upadli. To jego ustami wyraża także Raspail najgłębsze i najtragiczniejsze prawdy na temat stanu współczesnego duchowieństwa. Jego problemem wcale nie jest bowiem celibat ani brak modlitwy, ale... porażająca samotność, od której ucieczką jest często grzech. Biskup jest człowiekiem bardzo ludzkim, bardzo zwyczajnym, ale właśnie przez to niezwykle świętym i mogącym prowadzić ludzi do Boga.

Raspail wcale nie proponuje wizji Kościoła bez zasad, bez rygorów, bez adwokatów diabła. Obok biskupa mamy bowiem także księdza kanonika Jacquela, dobrego ułożonego, ukierunkowanego na karierę, który doskonale wie, co i gdzie należy powiedzieć, i który szykowany jest od lat na biskupa. Pod innym piórem mógłby powstać obraz karierowicza, który rzuca kłody pod nogi miło-

siernemu biskupowi. Tak się jednak nie stało. Raspail pokazuje, że i taka osoba jest w Kościele niezbędna, że umożliwia ona lepsze postrzeganie rzeczywistości, że sprawia, iż miłosierdzie nie tanieje, ale jest realnym trudem, wyzwaniem, ale i ryzykiem.

GRZECH NASZ POWSZEDNI

„Miłosierdzie” Raspaila, i to także jest ważny jego element, to jednak także opowieść o grzechu świeckich. Na pierwszy rzut oka mniejszym, bardziej przyjemnym, codziennym niż ten, który dotknął kapłana-mordercy. To jednak tylko na pierwszy rzut oka. Przypadkowa, niedokończona spowiedź starego adwokata to znakomity przykład tego, jak powinny wyglądać nasze spowiedzi. Lekkie przymrużenie oka, udawanie, że grzech nie ma znaczenia, że nasze ułomności nic w istocie nie znaczą, przyska, gdy prawnik spotyka się z miłosierdziem, po którym przewodnikiem jest... ks. Jacques. To on,

ale za pomocą pytań, ukazuje, że tak częsty, iż aż naturalny grzech porzucenia żony (tej, która towarzyszyła w czasie lat chudych), wyrzucenia z pracy kogoś, kogo się nie lubiło, z trudem ukrywanej pychy to rzeczywiście jest duchowy dramat, który równa się z zamordowaniem kochanki. I to nie dlatego, że te grzechy są porównywalne, ale dlatego, że wyrastają z tego samego demonicznego zwieźdzenia, o którym Raspail pisze w mistrzowski sposób. Adwokat, upadły ksiądz, który stanie się wielkim spowiednikiem, także kapłan, który staje się ratunkiem dla upadłego – to wszystko są

ludzie udreżeni prawdziwym grzechem, którzy spotykają – właśnie dzięki temu – prawdziwe miłosierdzie.

Jak to się dokonuje? W jaki sposób dochodzi do przemiany mordercy w skruszonego spowiednika? Tego nie tylko ja, lecz także sam Raspail nie wyjaśnia. Wielu czytelników może być zaskoczonych (ja też byłem) zakończeniem tej powieści, ale i ono wyrasta jakoś z ducha myślenia o miłosierdziu, przebaczeniu czy o Kościele, które właściwie jest temu pisarzowi (a może każdemu wielkiemu pisarzowi). To, co najważniejsze, pozostaje tajemnicą. Tajemnicą, która ma moc przemieniania także życia czytelników.



JEAN RASPAIL
„MIŁOSIERDZIE”
WYDAWNICTWO
DĘBOGÓRA,
POZNAŃ 2018

MACIEJ PIECZYŃSKI: W tym roku na Marszu Niepodległości nie pojawiły się hasła wychwalające „supremację białej rasy”.

KRZYSZTOF BOSAK: Dbamy o to, aby nie dawać amunicji do ręki naszym przeciwnikom. Marsz wyszedł wspaniale, choć oczywiście jego krytycy tradycyjnie szukają dziury w całym.

Czy pojawienie się włoskich neofaszystów z Forza Nuova na marszu to nie jest właśnie dawanie amunicji przeciwnikom?

To nie są neofaszyści, tylko włoscy nacjonaści. Przez ostatnie siedem lat na marszach były delegacje pewnie ze 30 różnych organizacji – od patriotów do radykalnych nacjonalistów, z kilkunastu europejskich państw. To bardzo dobrze, że Marsz Niepodległości budzi zainteresowanie za granicą. Polska ze swoją narodową, niepodległościową, katolicką kulturą stała się ważnym punktem odniesienia na prawicowej mapie świata.

Forza Nuova była częścią Akcji Socjalnej – założonej przez Alessandro Mussolini, wnuczkę Benita, koalicji zrzeszającej partie faszystowskie. Nie przeszkadza to panu?

Po pierwsze, Forza Nuova istniała jeszcze przed Akcją Społeczną. Po drugie, Akcja Społeczna to był rozłam z nieistniejącego już Sojuszu Narodowego, który nieco przypominał Ligę Polskich Rodzin. We Włoszech wszystkie partie na prawo od centrum oskarżane są o faszyzm. Nas lewica zresztą określa podobnie. Nie możemy nieustannie przejmować się opinią liberalnych mediów. A co do wnuczki Mussoliniego, to zdaje się, że nie odgrywa ona żadnej istotnej roli we włoskich organizacjach narodowych.

Rzeczywiście marsz przebiegł dość spokojnie. Jednak, jak ustalił Wojciech Wybranowski z „Do Rzeczy”, ABW wraz z policją zatrzymały w przededniu marszu sporą grupę osób, które zostały zidentyfikowane jako zagrażające bezpieczeństwu. Wśród nich działacze grupy Szturmowców. Z tego wynika, że gdyby nie służby, marsz mógł mieć zupełnie inny przebieg, doszłoby do kompromitujących prowokacji.

Trudno mi ocenić takie spekulacje, gdyż nie wiem, kto został zatrzymany. Nie mieliśmy też sygnałów, aby były na Marsz Niepodległości szykowane jakieś prowokacje.

Jakie Ruch Narodowy ma relacje z narodowosocjalistyczną grupą Szturmowców?

Żadnych.



Z Krzysztofem Bosakiem, wiceprezesem Ruchu Narodowego rozmawia Maciej Pieczyński

Nie damy przejąć marszu

To wciąż marginalna grupa. Nie obawia się pan jednak konkurencji z ich strony? Szermują hasłami narodowymi, tyle że są od was o wiele bardziej radykalni. Może z czasem ich radykalizm zacznie przyciągać młodych nacjonalistów, na razie popierających ONR, MW czy RN?

Takie ryzyko powstałoby w momencie, gdyby ONR czy MW zrezygnowały ze swojego pryncypialnego, bezkompromisowego charakteru na rzecz poprawności politycznej. Wówczas przestałyby być atrakcyjne dla młodych ideowców. Moim zdaniem organizacje narodowe utrzymują jednak prawidłowy balans pomiędzy radykalizmem formułowanych haseł a wiernością przekonaniom o profilu narodowym i katolickim.

Działaczom MW i ONR też zdarzało się głosić idee „separatyizmu rasowego”. Szybko się z tego wycofano, ale niesmak pozostał.

Rok temu po Marszu Niepodległości odbyliśmy szybką debatę o tym, jakimi pojęciami się posługiwać, by nie wywoływać ideologicznych nieporozumień. Ich rezultatem była wspólna deklaracja w sprawie narodu, dostępna w Internecie.

Mówienie o separatyzmie rasowym to ideologiczne nieporozumienie?

To niepotrzebne koncentrowanie się na biologicznej warstwie natury człowieka, podczas gdy dla nas najważniejsza jest warstwa cywilizacyjna, sfera duchowo-kulturowa. Jesteśmy przeciwko multikulturalizmowi i masowej imigracji, ale z powodów narodowych, nie zaś rasowych.

A czy 11 listopada ulicami Warszawy przeszedł w ogóle jakiś Marsz Niepodległości? Bo np. widzowie TVP Info mogli się dowiedzieć, że był tylko Białoczerwony Marsz...

Odbyły się oba te marsze, w ramach jednego wydarzenia. Chciałbym, żeby media publiczne, kontrolowane obecnie przez PiS, mówiły prawdę. A prawda jest taka, że to narodowcy zorganizowali Marsz Niepodległości. Rząd pojawił się „za pięć dwunasta”, kiedy już niemal wszystko było gotowe.

Wicepremier Gliński stwierdził, że Marsz Niepodległości powinien zostać państwowym na stałe.

Stowarzyszenie Marsz Niepodległości organizuje to wydarzenie od dziewięciu lat. Jako wydarzenie cykliczne marsz jest zarejestrowany na konkretnej trasie do 2020 r. Dokonana przez PiS próba przejęcia dopiętego na ostatni guzik wydarzenia jest dla mnie czymś nieakceptowalnym. Przypomnę, że zgromadzenia publiczne podlegają ochronie prawnej.

PiS może jednak zmienić ustawę o zgromadzeniach publicznych tak, by w przyszłym roku to państwo organizowało Marsz Niepodległości.

Prawo nie działa wstecz. Poza tym wierzymy, że jakkolwiek próba przejęcia marszu pod hasłem fałszywie rozumianej „jedności” spotka się ze sprzeciwem ludzi zaangażowanych w jego organizację, a także samych uczestników, którzy cenią sobie ten klimat wolności, oddolności i autentyczności.

Czujecie się oszukani przez obóz władzy?

Te nieliczne ustalenia zawarte dwa dni przed 11 listopada zostały dotrzymane. Marsz się odbył, służby państwowe sprawnie współpracowały ze strażą marszu. Tutaj nie mamy uwag. Mam jednak zastrzeżenie natury ogólnej: rząd nie powinien traktować organizacji społecznych z pozycji siły. Jeżeli obecna władza

uznała Marsz Niepodległości za wartościowe wydarzenie, to powinna albo poszukać porozumienia z organizatorami, albo przedstawić alternatywę. Przypomnę, że przedstawiciele SMN nie zostali zaproszeni do prezydenckiego komitetu obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Nie skontaktował się z nami również Jarosław Sellin, pełnomocnik rządu ds. obchodów. Rozmowy podjęto dopiero niewiele ponad miesiąc przed marszem. Całą logistykę wydarzenia mieliśmy już wówczas załatwioną. Marsz Niepodległości ma w dużym stopniu wymiar młodzieżowy. Z całym szcunkiem dla polityków pełniących najważniejsze funkcje w państwie – nie zawsze mają właściwe wyczucie sytuacji na ulicy, ponieważ po prostu nigdy takich wydarzeń nie organizowali. Podam przykład: w poprzednich latach stawialiśmy scenę przy rondzie Dmowskiego. Tym razem na to nie pozwolono. W efekcie prezydent przemawiał z land rovera, w mało eksponowanym miejscu, przy słabym nagłośnieniu, i wielu uczestników marszu ani nie widziało, ani nie słyszało tego wystąpienia. Nie byłoby takich niedociągnięć organizacyjnych, gdyby nam zaufano i pozwolono w pełni wykonać swoją pracę.

Sąd uchylił zakaz marszu. Więc nie musieliście dogadywać się ze stroną rządowo-prezydencką.

Marsz Niepodległości to nie tylko zgromadzenie, lecz także cała związana z nim logistyka, której nie się zorganizować wbrew służbom państwowym. Gdyby rząd zdecydował, że blokuje narodowcom budowę scen, nagłośnienia, wjazd karetek w ramach zabezpieczenia medycznego, przejście straży marszu, to sparaliżowałby znaczną część naszej pracy. W związku z zapowiedzią siłowego przejęcia kontroli nad całą trasą byliśmy zmuszeni do przededefiniowania formuły marszu. To nie był nasz wybór. Postanowiliśmy ratować tyle, ile się da, z samego marszu.

Ze strony rządowej padają argumenty w stylu: „To już nie jest marsz narodowców, tylko marsz wszystkich Polaków”. Trochę w tym racji. Poza tym rekordowa liczba 250 tys. uczestników to ponad dwa razy więcej niż średnia frekwencja na marszu. Być może więc wielu dołączyło po apelu prezydenta.

Uważamy, że jest to marsz narodowy, który gromadzi Polaków o różnych sympatiach politycznych. Nie jesteśmy właścicielami marszu, ale jego twórcami i gospodarzami. A pracę twórców i gospodarzy danego wydarzenia trzeba szanować, jeśli chce się w nim uczestniczyć.

Prezydent apelował, by marsz przeszedł pod barwami wyłącznie biało-czerwonymi. Nie ugięliście się. Były flagi ONR, Forza Nuova... Prorządowi komentatorzy twierdzą, że na stulecie niepodległości mogliście schować dumę do kieszeni i darować sobie nacjonalistyczną symbolikę.

To całkowite nieporozumienie. Już zeszłoroczny marsz był tak naprawdę biało-czerwony. 99 proc. uczestników szło z flagami narodowymi, tylko 1 proc. – z bannerami, transparentami organizacji czy stowarzyszeń. Marsz to nie jest konwencja partyjna, na którą wpuszcza się za okazaniem wejściówki, tylko wielka, oddolna inicjatywa. Żaden apel prezydenta nie sprawi, że tysiące ludzi, którzy co roku maszerują z własnymi hasłami, nagle przestaną okazywać własną tożsamość. Każdy ma zresztą do tego prawo.

A jak ktoś chce spalić na marszu flagę Unii Europejskiej, to jeszcze go publicznie pochwali Krzysztof Bosak...

Postrzegamy UE jako organizację, która odbiera nam część naszej niepodległości.

Jednak żeby palić jej symbole?!

Jeżeli ktoś traktuje niepodległość swojego kraju na poważnie, to ma prawo w taki czy inny sposób wyrazić swoją dezaprobatę wobec działań Brukseli.

A jednak, odkąd rządzi PiS, na marszach jest spokojnie. Nie ma policyjnych prowokacji. Może więc jednak powinniście być wdzięczni Kaczyńskiemu.

Zmiana polega na tym, że policja przestała gnębić obywateli. To nie jest żaden sukces, tylko po prostu normalność. Właśnie tak powinny funkcjonować służby porządkowe.

Roman Giertych nazwał skandalem to, że „polskie państwo oddało 11 listopada narodowcom”. Pomyśleć, że kiedyś byli panowie w jednej politycznej drużynie... Co się stało z założycielem Młodzieży Wszechpolskiej?

Zrezygnował z oddolnej pracy ramię w ramię z Polakami o poglądach narodowo-katolickich i postanowił wkomponować się w establishment. A jeśli wybiera się taką drogę, to trzeba mówić językiem establishmentu. I to właśnie robi w tej chwili Roman Giertych.

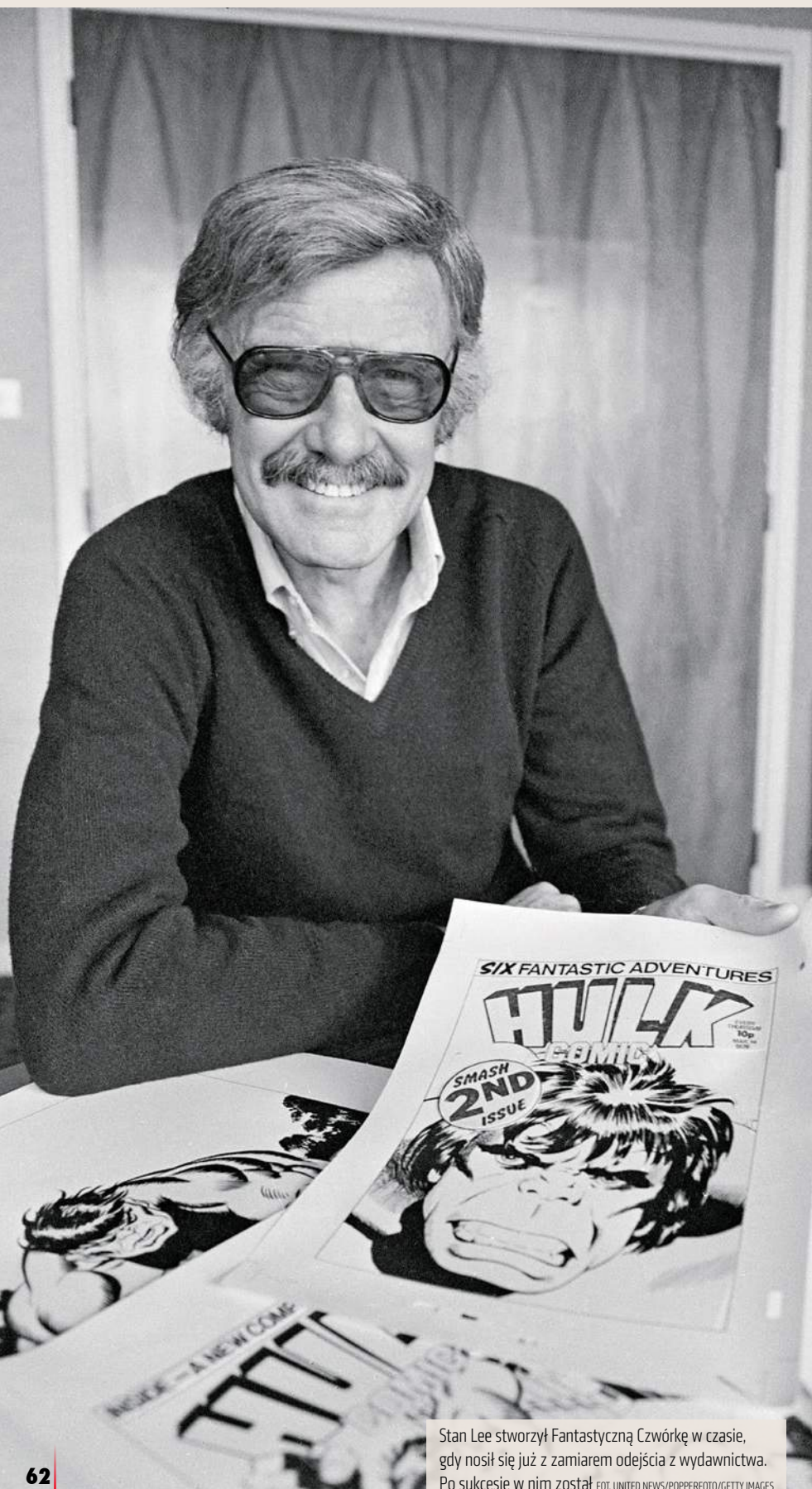
Potrąficie co roku zebrać kilkadziesiąt tysięcy ludzi na ulicach Warszawy, a Ruch Narodowy w sondażach ma zaledwie 1–2 proc. głosów? Co robicie źle?

Nastroje większości wyborców-patriotów zagospodarował PiS, zaś eurosceptyków, przynajmniej w poprzednich wyborach do europarlamentu, skupił wokół siebie Janusz Korwin-Mikke. Jednak w demokracji sytuacja zawsze jest zmienna. Przypomnę, że eurosceptyczna Liga Polskich Rodzin miała około miliona wyborców, którzy później powędrowali gdzie indziej. Jeśli PiS zawiedzie narodową i konserwatywną część swoich wyborców, to w naturalny sposób propozycję dla nich może stanowić Ruch Narodowy. Nad tym pracujemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. GRZEGORZ JANUSZEWSKI/POLSKA PRESSFEST NEWS





Stan Lee stworzył Fantastyczną Czwórkę w czasie, gdy nosił się już z zamiarem odejścia z wydawnictwa. Po sukcesie w nim został FOT. UNITED NEWS/POPPERFOTO/GETTY IMAGES



Łukasz Czarnecki

Fantastyczna Czwórka zwiesiła głowy, Spider-Man przywdział żałobny strój, a Hulk gorzko zapłakał. Ich twórca Stan Lee odszedł z tego świata w wieku 95 lat

Stanley Martin Lieber – bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko – przeszedł długą drogę. Ten syn ubogiego żydowskiego krawca poznał nędzę wywołaną wielkim kryzysem, a umarł jako bogacz, ikona popkultury. Był świadkiem i duchem sprawczym wielkiej metamorfozy branży komiksowej. Kiedy zaczynał karierę scenarzysty, komiksy uważano za szkodliwą rozrywkę dla mało rozgarniętych dzieci. Dzisiaj rynek komiksowy jest wart miliardy dolarów, poświęcone obrazkowym opowieściom konwenty gromadzą dziesiątki tysięcy fanów, na kinowych ekranach królują przygody herosów w trykotach, a Kapitan Ameryka i jego przyjaciele stali się bohaterami doktoratów. Bez Stana Lee nigdy by do tego nie doszło.

POCZĄTKI

Przyszła na świat 28 grudnia 1922 r. Na wczesnych latach jego życia swoje piętno odcisnęła wielki kryzys. Światowa zapaść gospodarcza bardzo dotknęła rodzinę przyszłego komiksowego guru. Jego ojciec przez wiele lat nie mógł znaleźć stałego zatrudnienia, a on sam, nie mogąc po zakończeniu szkoły średniej pozwolić sobie na dalszą edukację, jeszcze jako nastolatek zaczął ciężko pracować, by wspomóc rodzinę borykającą się z biedą.

W roku 1939 (lub w 1940 – dokładna data pozostaje niejasna) młodzieniec rozpoczął pracę w wydawnictwie Timely Comics, należącym do spowinowaconego z jego rodziną biznesmena Martina Goodmana. Oficyna specjalizowała się w wydawaniu mało ambitnych, ocierających się niekiedy o zwykłą pornografię magazynów dla mężczyzn. Kiedy w drugiej połowie lat 30. popularność wśród amerykańskich czytelników zaczęły zdobywać komiksy o Batmanie i Supermanie, Goodman postanowił podpiąć się pod trend. Pracujący dla niego Jack Kirby

Władca wyobraźni

i Joe Simon stworzyli postać Kapitana Ameryki, który wkrótce zdobył wielką popularność i stał się obok Supermana jednym z najpopularniejszych bohaterów komiksów. Kapitana Amerykę reklamowano jako „jedyne go człowieka, który może powstrzymać Hitlera” – na okładce pierwszego numeru swych przygód nokautował on wodza III Rzeszy.

Początkowo młody Stanley przynosił Kirby'emu i Simonowi kawę oraz kanapki, z czasem pozwolono mu pisać scenariusze do pobocznych historyjek. Swoje utwory chłopak podpisywał stworzonym jeszcze w liceum pseudonimem Stan Lee.

WIELKA WOJNA I MAŁA WOJENKA

Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy Goodman odkrył, że jego flagowi twórcy komiksów po cichu wykonują też projekty dla konkurencji. Kirby i Simon wylecieli z pracy (w późniejszych latach

pierwszy z nich powrócił do wydawnictwa i dołożył całą ścianę cegieł do jego sukcesu), a ich zadania przejął Lee. Młodzieniec pisał kolejne scenariusze, nawet wtedy, gdy w czasie II wojny światowej odbywał służbę wojskową. Ta ostatnia nie była dla niego zresztą zbyt uciążliwa – przydzielony do Korpusu Łączności Stan całą wojnę przesiedział w USA, gdzie tworzył materiały edukacyjne i propagandowe dla armii. Szczególną dumą napawał go stworzony w tym okresie plakat ostrzegający żołnierzy przed rzeźnięcą.

Po demobilizacji Lee wrócił do pracy dla Goodmana. Zapewniała mu ona dostatni byt, ale nie odpowiadała jego ambicjom. Marzył o karierze literackiej z prawdziwego zdarzenia. Co gorsza, dla komiksów nastały ciężkie czasy: w roku 1954 psychiatra Frederic Wertham rozpoczął przeciw nim wojnę, w której

wszystkie chwytły uważał za dozwolone. Z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy medycznej Wertham sam kwalifikował się do leczenia (w swojej autobiografii Stan Lee wspomina, że z seksem kojarzyły mu się nawet rysunki przedstawiające... żyrafy), ale jego tezy głoszące, że komiksy demoralizują młodzież, zyskały duże wpływy w amerykańskim społeczeństwie. W efekcie branża komiksowa narzuciła sobie krępującą kreatywność autocenzurę, która miała obowiązywać aż do roku 1971.

OJCIEC BOHATERÓW

W roku 1961 Stan Lee po ponad 20 latach w branży czuł się wypalony. Zbliżał się do czterdziestki. Powoli dojrzewała w nim myśl o rzuceniu pracy redaktora naczelnego w wydawnictwie Goodmana (które zmieniło nazwę na Marvel Comics) i zajęciu się czymś poważnym. ■

REKLAMA

**POLSKA REPREZENTACJA
GOTOWA NA ABU DHABI**

**ŚWIATOWE
LETNIE IGRZYSKA
Olimpiad Specjalnych
ABU DHABI 2019** الأولمبياد الخاص العالمية أبو ظبي 2019

Światowe Letnie Igrzyska Olimpiad Specjalnych, 14-21 marca 2019
7000 sportowców z niepełnosprawnością intelektualną
170 krajów | **64** zawodników z Polski

#GrajmyRazem
www.OlimpiadySpecjalne.pl

**Olimpiady
Specjalne
Polska**

Fot.: A. Nurkiewicz

SPONSOR STRATEGICZNY
OLIMPIAD SPECJALNYCH POLSKA

PARTNER KAMPANII #GrajmyRazem

Ministerstwo
Sportu i Turystyki

Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych

■ I wtedy właśnie szef zlecił mu stworzenie komiksu o drużynie herosów. Polecenie było pochodną sukcesu, który odniósł wydawany przez DC Comics cykl o przygodach Ligi Sprawiedliwości. Goodman żądał od Lee de facto splagiatowania pomysłu konkurencji i napisania scenariusza serii, którą roboczo nazwał „Liga Prawych”.

Stan Lee, który postanowił, że zadanie to będzie stanowić jego pożegnanie z Marveliem, uznał, iż wykona je po swojemu. I tak zamiast oczekiwanego przez Goodmana gromady posągowych herosów w stylu Batmana i Supermana narodziła się Fantastyczna Czwórka. Powołując do życia ową ekipę, która miała stać się znana jako „najsławniejsza rodzina Marvela”, Lee złamał właściwie wszystkie obowiązujące w komiksach konwencje. Przywódcą drużyny nie był umięśniony niczym młody bóg atleta, lecz szczupły, szpakowaty naukowiec Reed Richards, a wchodząca w jej skład kobieta Susan Storm nie była typową „damą w opałach”, lecz pełnoprawną partnerką Reeda. Co więcej, zarówno owa para, jak i pozostali członkowie Fantastycznej Czwórki (władający ogniem brat Susan Johnny Storm i obdarzony kamienną skórą siłacz Ben Grimm) poza ratowaniem świata borykali się z problemami życia codziennego, którego posiadanie nadludzkich mocy bynajmniej nie ułatwiało.

Nowa jakość prezentowana przez przygody niezwyklej drużyny okazała się strzałem w dziesiątkę. W ciągu kilku tygodni od publikacji komiksu do redakcji Marvela przyszły tysiące listów od zachwyconych czytelników. Sukces nowego projektu odwiódł Stana Lee od pomysłu porzucenia branży komiksowej. W następnych latach znajdujący się na fali wznoszącej Lee tworzył kolejnych nietypowych herosów, takich jak uczeń liceum Spider-Man (do chwili jego debiutu nastoletni młodzieńcy byli w komiksach co najwyżej pomocnikami), parający się magią Doktor Strange, prześladowani za swą inność X-Meni czy pierwszy w dziejach czarnoskóry bohater, zadający kłam stereotypom rasowym król fikcyjnej Wakandy – T’Challa, znany też jako Czarna Pantera. Zaslugą redaktora naczelnego Marvela było też zerwanie z autocenzurą – w roku 1971 na łamach swej serii Spider-Man musiał zmierzyć się z problemem narkomanii wśród młodzieży. Dotychczas na kartach komiksu tak poważne sprawy były nieobecne –

ten jeden wyjątek spowodował lawinę, która zmiotła dotychczasowe ograniczenia. Marvel nadal grał pierwsze skrzypce w tej dziedzinie: inny z jego sztandarowych bohaterów, Iron Man, borykał się z uzależnieniem alkoholowym.

Skutkiem ryzykownych posunięć naszego bohatera była rewolucja w sposobie, w jaki postrzegano komiksy. To, co niedawno uważano za rozrywkę dla dzieci i półanalfabetów, zaczęło się cieszyć zainteresowaniem i sympatią społeczeństwa. Co więcej, po opowieści o herosach zaczęli sięgać też bardziej dojrzały i wyrobieni czytelnicy. Marvel zdobył szturmem kamпусy uniwersyteckie w całych Stanach Zjednoczonych, a następnie wyruszył na podbój świata. Komiksy z logo wydawnictwa sprzedawano w całym demokratycznym świecie, a za żelazną kurtyną pokazywano je na propagandowych wystawach, mających ukazać skalę dekadencji Zachodu. Założona przez Goodmana firma wznosiła się z zawrotną prędkością ku gwiazdom, aż w końcu zdetronizowała dotychczasowego władcę komiksowego rynku, wydawnictwo DC Comics.

Następne półwiecze było dla Lee czasem niezwykle wyťažonej pracy. W tym

Nowa jakość serii nazwanej roboczo „Liga Prawych” okazała się dla Marvela wydawniczym strzałem w dziesiątkę

czasie Marvel kilkakrotnie zmieniał właścicieli, a raz nawet ogłosił bankructwo, niezależnie jednak od wszelkiej maści zawirowań pozycja Stana Lee pozostawała niezachwiana. Wraz z kolejnymi przetrasowaniami w firmie wędrował po korporacyjnej drabinie (przez pewien czas był nawet prezesem wydawnictwa), ale żaden z kolejnych właścicieli nie mógł sobie pozwolić na jego lekceważenie.

HEROSI NA EKRANACH

Na przełomie XX i XXI w. nowego rozpędu karierze postaci stworzonych przez Lee i jego współpracowników nadało kino. Filmowi twórcy po fabuły Marvela sięgali już wcześniej, na potrzeby telewizji. O ile jednak powstałe na podstawie komiksów seriale animowane po dziś dzień cieszą się statusem kulto-

wych, o tyle produkcje autorskie mogą budzić co najwyżej uśmiech politowania. Technika filmowa w latach 70. i 80. nie dorosła jeszcze do tego, by w pełni oddać magię komiksowych opowieści. Zmieniło się to pod koniec ostatniej dekady XX stulecia.

Pierwszym z nowej fali filmów opartych na komiksach był „Blade” z 1998 r. Opowieść o łowcy wampirów, toczącym wieczną krucjatę przeciw dzieciom nocy, okazała się sukcesem kasowym i ośmieliła wytwórnie filmowe do eksploatacji świata komiksu. Kolejno na ekrany kin wchodziły filmy o X-Menach i Spider-Manie.

Prawdziwy renesans nadszedł dekadę temu, gdy Marvel Studios wypuściło film „Iron Man”. W tytułowej roli wystąpił Robert Downey Jr. Aktor po przejściach (miał za sobą problemy narkotykowe i pobyt w więzieniu) wcielił się w postać głównego bohatera tak brawurowo, że kreacja ta stała się nowym początkiem zarówno dla niego, jak i dla filmów komiksowych. Od tej pory Marvel, zamiast udzielać licencji zewnętrznym wykonawcom, sam kręci obrazy na podstawie swych komiksów. Tradycją stało się też, że w każdym filmie opartym na marvelowskich historiach obrazkowych zawarta była zawsze niewielka scena z udziałem Stana Lee.

Wiadomość o śmierci Stana Lee obiegła świat 12 listopada 2018 r. i pogрузzyła w żalobie fanów komiksów. Na czym polegał jego fenomen? – Stan Lee uczynił swoich superbohaterów bardzo ludzkimi, zbliżył ich do czytelników – mówi redaktor naczelny „Nowej Fantastyki” Jerzy Rzymowski. – Sprawił, że w postaciach tych dostrzeżono nie tylko wyidealizowanych herosów współczesnej mitologii, lecz także ludzi z krwi i kości, obarczonych problemami, z którymi czytelnicy mogli się identyfikować, żyjących w miejscach, które były im dobrze znane.

Filmoznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego dr hab. Piotr Kletowski dodaje: – Receptą na superbohaterów Lee było to, że często pod płaszczykami i trykotami ukrywali postaci, z którymi mogli się utożsamiać przeciętni śmiertelnicy. Peter Parker, nastolatek zamieniający się w Człowieka Pajaka, symbolizował każdego młodego człowieka zmagającego się z wchodzeniem w dorosłość. A mutanci z X-Menów odwoływali się wprost do żydowskiej tożsamości samego Lee.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

DEBATY WOKÓŁ NIEPODLEGŁOŚCI

W MUZEUM NARODOWYM
W WARSZAWIE

CYKL TOWARZYSZĄCY WYSTAWIE
KRZYCZĄC: POLSKA! NIEPODLEGŁA 1918
Z UDZIAŁEM HISTORYKÓW, PUBLICYSTÓW
I PRZEDSTAWICIELI MEDIÓW

25.11.2018 / 18.30

**Józef Piłsudski i kształt
ustroju państwa**

PROWADZENIE: TYGODNIK „DO RZECZY”

UCZESTNICY:

PAWEŁ LISICKI (MODERATOR), PIOTR SEMKA,
RAFAŁ ZIEMKIEWICZ, PIOTR ZYCHOWICZ

20.01.2019

**Pamięć zbiorowa: 1905, Wielka
Wojna, zabójstwo Narutowicza**

PROWADZENIE: DZIENNIK „GAZETA WYBORCZA”

17.02.2019

**Kształtowanie tożsamości
narodowej: 1918–2018**

PROWADZENIE: DZIENNIK „RZECZPOSPOLITA”

10.03.2019

**Czy jest potrzebna sztuka
narodowa, a jeśli tak – to jaka
miałaby być?**

PROWADZENIE: MNW

WSTĘP WOLNY / LICZBA MIEJSC OGRANICZONA
INFORMACJE: DEBATY.MNW.PL

MN / Muzeum Narodowe
w Warszawie

TYGODNIK
**DO
RZECZY**

GAZETA
wyborcza

 **RZECZPOSPOLITA**

Obchody pod okiem SB



Sebastian Ligarski



Grzegorz Majchrzak

Komunistyczne „elity” wołały obchodzić kolejne rocznice „wielkiej” rewolucji październikowej, a święto odzyskania przez Polskę niepodległości było w PRL zakazane. Tę sytuację zmieniło – niestety na krótko – powstanie Solidarności

Od drugiej połowy lat 70. niezależnie obchody rocznicowe odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. organizowali działacze opozycji. Kiedy więc nadszedł „solidarnościowy karnawał”, wydawałoby się, że rocznicę tę będzie można świętować już bez przeszkód i obaw. Przynajmniej w 1980 r. nie do końca tak było... Z całą pewnością pękła jednak pewna bariera strachu. Rocznicę 11 listopada 1918 r. świętowano w wielu miastach i na różne sposoby.

Według zapewne zaniżonych danych SB różnego rodzaju obchody 62. rocznicy odzyskania niepodległości zorganizowano w 13 województwach i brało w nich udział ok. 40 tys. osób (rok wcześniej nielegalne obchody zorganizowano zaledwie w czterech miastach, a miało w nich uczestniczyć ok. 3 tys. osób).

W Lublinie (z powodu „wrogich” przemówień w trakcie wiecu zorganizowanego przez Konfederację Polski Niepodległej) zatrzymano Piotra Opozde i Piotra Szczudłowskiego – studentów KUL. Po interwencji Tymczasowego Komitetu Założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów obu co prawda zwolniono, ale wszczęto przeciwko nim postępowanie karne. Zatrzymano też (z innych przyczyn) innych trzech studentów. W efekcie 28 listopada na KUL proklamowano strajk przeciwko działaniom organów ścigania. Akcja ta zresztą miała wymiar ponadregionalny, planowano nawet zawiadomienie Amnesty International. Mimo tego władze nie zrezygnowały z procesu Opozdy i Szczudłowskiego, który toczył się przed kolejnymi sądami do 1984 r., kiedy to na mocy amnestii został umorzony.

Pośrednio w związku z obchodami 62. rocznicy odzyskania niepodległości, jak wynika z danych MSW, zatrzymani zostali również dwaj inni działacze opozycji – członek Rady Politycznej KPN Zygmunt Goławski (12 listopada) oraz inicjator

i organizator Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu – Wojciech Ziemiński (13 listopada). W ich przypadku przyczynami zatrzymania były druk i kolportaż druków „szkalujących PRL”.

OD WARSZAWY DO GDAŃSKA

W Warszawie odprawiono uroczyste nabożeństwo w katedrze św. Jana Chrzciciela, a następnie zorganizowano uroczysty przemarsz na pl. Zwycięstwa pod Grób Nieznanego Żołnierza. W jego trakcie śpiewano pieśni patriotyczne (hymn narodowy, „Boże coś Polskę”, „Warszawiankę”). Na placu zgromadziło się (w ocenie funkcjonariuszy SB) 10 tys. osób. Apel poległych prowadził ks. Stanisław Małkowski, który – jak odnotowali esbecy – wzywał m.in. do modlenia się za zamordowanych w Katyniu, pomordowanych przez NKWD na zamku w Lublinie, a także za „pomordowanych przez UB [w więzieniach – przyp. G.M.] we Wronkach, w Strzelcach oraz na Mokotowie”.

Również w Gdańsku odprawiono (w bazylice Mariackiej) uroczyste nabożeństwo, w którym brało udział w ocenie Służby Bezpieczeństwa ok. 20 tys. osób, najczęściej młodych. Co podkreślali esbecy, w niektórych gdańskich szkołach średnich nauczyciele mieli rzekomo nakłaniać uczniów do udziału w uroczystościach. Obchody organizował Ruch Młodej Polski wraz z Międzyzakładowym Komitetem

Założycielskim NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Po zakończeniu mszy jej uczestnicy przeszli pod pomnik króla Jana III Sobieskiego. Przemawiali m.in. Lech Wałęsa, Dariusz Kozbdej i Tadeusz Szczudłowski. Na wiec na Uniwersytecie Gdańskim przyszło 2 tys. osób. Z kolei na Politechnice Gdańskiej, w ramach organizowanych tam uroczystości, kolejne 2 tys. osób odśpiewało hymn narodowy.

W Lublinie rocznicę odzyskania niepodległości świętowano dwa dni. 10 listopada zorganizowano uroczystości na KUL. W ich trakcie (podobnie jak dzień później w trakcie mszy świętej w kościele Kapucynów) Służba Bezpieczeństwa nie odnotowała „wrogich akcentów”. Inaczej było jednak w przypadku wiecu z udziałem ok. 1,5 tys. osób. Jak raportowali potem esbecy: „Mówcy zabierający głos napastliwie wypowiadali się pod adresem PZPR”, co spotkało się zresztą z aplauzem zebranych, wznoszących „wrogie okrzyki”. Ponadto ks. Bronisław Sroka wzywał miał o modlitwę „w różnych intencjach (za Katyn, za KPN)”. Można się domyślać, że nie spodobały się im też niektóre transparenty – „Nigdy więcej Katynia”, a zwłaszcza „Rozkopana Jasna Góra zagładą PZPR”.

Nietypowy przebieg miały uroczystości pod Wawelem. Rozpoczęły się one od złożenia kwiatów przy Grobie Nieznanego Żołnierza i oficjalnej akademii, w której obok delegacji miejscowej Solidarności i kard. Franciszka Macharskiego wzięli udział przedstawiciele Frontu Jedności Narodu. Później kardynał odprawił mszę świętą w katedrze wawelskiej z udziałem ok. 5 tys. osób, w większości młodych. Po jej zakończeniu zorganizowano pochód do Grobu Nieznanego Żołnierza – co nietypowe w tym przypadku, organizatorzy dysponowali stosowną zgodą władz miejskich. Nie zmniejszyło to bynajmniej czujności SB. Funkcjonariusze odnotowali, że jego czołówkę stanowili działacze KPN, nie podobała im się także treść niektórych transparentów (np. co całkiem zrozumiałe: „Zbudź się Polsko, skrusz kajdany”, a nawet „Oto dziś dzień krwi i chwały”) czy „emblematy orła w koronie”. Przy grobie przemawiali przedstawiciel RMP w Krakowie Janusz Pierzchała i działacz KPN Stanisław Palczewski. Stwierdzali oni m.in., że reprezentowane przez nich organizacje są „kontynuatorami walki o niepodległość”.

Z kolei w Łodzi w katedrze uroczystą mszę odprawił bp Józef Rozwadowski. Potem połowa zgromadzonych (ok. 500 osób) udała się pod Grób Nieznanego Żołnierza,

aby złożyć tam kwiaty m.in. w imieniu Ruchu Młodej Polski. Okolicznościowe przemówienie wygłosił działacz RMP Jacek Bartyzel. Jak wynika z raportów Służby Bezpieczeństwa, stwierdził on m.in., że „walkę o suwerenność i niepodległość Polski należy nadal toczyć”. Łódzkie obchody zakończyło odśpiewanie hymnu.

We Wrocławiu mszę za ojczyznę, zamówioną przez miejscowy MKZ, odprawił abp Henryk Gulbinowicz. W ocenie MSW miało w niej uczestniczyć ok. tysiąca osób. Zorganizowano też okolicznościowe akademie m.in. w „Fadromie” oraz wydano czterostronicowy dodatek do „Solidarności Dolnośląskiej”.

W Jeleniej Górze Niezależne Zrzeszenie Studentów zorganizowało spotkanie rocznicowe w Wyższej Szkole Pedagogicznej z udziałem miejscowego biskupa i przedstawicieli Solidarności. Z inicjatywy związkowców odbyła się też akademie na miejscowej politechnice zakończona koncertem pieśni patriotycznych. Następnie zorganizowano przemarsz do Grobu Nieznanego Żołnierza, na którym poświęcono brzozy krzyż zamontowany rano, a następnie na cmentarz św. Rocha, gdzie bp Franciszek Musiel odprawił mszę świętą w intencji ojczyzny i poświęcił tablicę ku czci marszałka Józefa Piłsudskiego ufundowaną przez MKZ w Jeleniej Górze.

W Białymstoku z inicjatywy NZS odprawiono mszę świętą oraz zorganizowano przemarsz spod siedziby MKZ na cmentarz wojskowy, na którym złożono kwiaty na symbolicznym grobie poległych w latach 1914–1920 i odśpiewano „Rotę”. W Szczecinie natomiast miejscowa Solidarność ograniczyła się do złożenia wieńców pod pomnikiem Czynu Polaków. Kwiaty złożono również w Tarnowie przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Wyemitowano tam też wystąpienie, w którym – według esbeków – „zaakcentowano problem uporczywej walki Polaków o wyzwolenie narodowe i społeczne (w kontekście naszej dotychczasowej historii)”.

BLISKO PRZESILENIA

W 1981 r. w obchodach rocznicowych uczestniczyła rekordowa liczba – 100 tys. osób. Warto tu wspomnieć, że obchody Święta Niepodległości w 1981 r. odbywały się w zmienionej sytuacji politycznej, nieuchronnie zbliżającej się do przesilenia politycznego. Władze nie zamierzały zakazywać manifestacji 11 listopada, uznając, że dopuszczenie do nich pozwalało rozładować emocje wśród opozycji-

nie nastawionej części społeczeństwa. Organizatorzy mieli być odpowiedzialni za zachowanie uczestników manifestacji i dbać o to, aby trasy przemarszu nie zostały samowolnie zmienione. Wydział III-2 Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie wszczął sprawę obiektową (SO) o kryptonimie Rocznica II. Powodem była zapowiedź manifestacji w Warszawie na niespotykaną dotychczas skalę i zgromadzenie w jednym Komitecie organizacyjnym kilkunastu organizacji opozycyjnych – KPN, ROPCiO, Robotniczego Ruchu Narodowego, Komitetu Więzionych za Przekonania, NSZZ „Solidarność” i NZS.

Miejscem docelowym uroczystości był Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie głos zabierali poszczególni członkowie Komitetu Obywatelskiego Obchodów 11 listopada, m.in. Wojciech Ziemiński, Seweryn Jaworski, Andrzej Szomański (KPN), Stefan Melak. Ten ostatni odczytał list Leszka Moczulskiego napisany z aresztu śledczego przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie. Po nim głos zabrali Ryszard Marszałek w imieniu NZS i kilka innych osób. Modlitwę odmówił ks. Stanisław Małkowski, wcześniejszą mszę w katedrze św. Jana odprawili zaś bp Jerzy Modzelewski i ks. Stefan Niedziałek.

Rocznice uczczono w kilkudziesięciu miastach w Polsce w 31 województwach, co było wynikiem rekordowym.

Z kolei rok 1981 przyniósł zupełnie nowe elementy obchodów rocznicowych. Były to m.in. nadanie Stoczni Remontowej w Gdańsku imienia Józefa Piłsudskiego, plan przemianowania w Łodzi al. Niepodległości na ul. Józefa Piłsudskiego, wmurowywanie tablic pamiątkowych poświęconych Marszałkowi, uroczyste koncerty, akademie, odczyty czy konferencje naukowe eksponujące drogę do niepodległości Polski. Miała się nawet pojawić inicjatywa powołania nowego święta pn. Dnia Wolności 29 listopada, która była sygnowana przez małopolski zarząd regionu NSZZ „Solidarność”.

Pułkownik Henryk Walczyński, dyrektor Departamentu III MSW, podsumowując obchody rocznic, zakończył swój raport stwierdzeniem: „Ze społecznego punktu widzenia takie uregulowanie problemu uwiarygodni w oczach opinii publicznej oficjalne obchody rocznicy niepodległości, odbierze posmak sensacyjności nadawany przez niektóre środowiska”.

Stan wojenny spowodował, że te wnioski szybko straciły na aktualności, ale to już inna historia.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Alternatywna Polska

Co by było gdyby? To jedno z najciekawszych pytań, które można sobie zadać, kiedy się rozważa dzieje ojczyzny. Jak potoczyłaby się historia, gdyby nasi monarchowie, przywódcy polityczni lub dowódcy wojskowi w przełomowych momentach postąpili inaczej? Czy byłoby lepiej, czy gorzej?

Tak zwana historia alternatywna cieszy się na całym świecie olbrzymią popularnością wśród czytelników, ale również wśród naukowców i ekspertów, którzy analizują przeszłość, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość. W ostatnich latach dziedziną tą zyskuje również sporą popularność w Polsce, gdzie – na szczęście! – nie obowiązują już prawidła marksistowskiego determinizmu dziejowego.

Bardzo ciekawym głosem w tej dyskusji jest książka Witolda M. Orłowskiego „Inna Polska?”. Autor, znany ekonomista i analityk, przedstawia w niej cztery zasadnicze scenariusze alternatywne:

- Polska przegrywa wojnę z bolszewikami w 1920 r.;
- Polska w 1939 r. zawiera pakt z Niemcami;
- Polacy w 1944 r. wygrywają powstanie warszawskie;
- Polska transformacja ustrojowa załamuje się w roku 1991.

Mnie oczywiście najbardziej zainteresował scenariusz numer dwa. Witold M. Orłowski

zapatruje się na możliwość polsko-niemieckiego sojuszu odmiennie niż ja. Uważa, że polskie „tak” na propozycję Hitlera przyniosłoby Polsce w długiej perspektywie klęskę. Ja sądzę, że zaoszczędziłoby nam gigantycznych strat osobowych i dało szansę na zwycięstwo.

Mimo tych fundamentalnych różnic – a może dzięki nim? – przeczytałem książkę z prawdziwym zainteresowaniem. Wywody Witolda Orłowskiego zasługują na dyskusję. W przeciwieństwie do wielu zawodowych obrońców Józefa Becka nie sięga on bowiem po obelgi i patriotyczny szantaż. Jego argumenty są rzeczowe i merytoryczne, a nie emocjonalne.

„W innych uwarunkowaniach – pisze Orłowski – w innej sytuacji politycznej i społecznej, historia Polski potoczyłaby się inaczej. Ale czy zupełnie inaczej? Czy w żadnym scenariuszu nie znajdziemy odbicia tych samych mocnych i słabych stron

Polski i Polaków, które tak dobrze znamy z historii i współczesności. Zamiast narzekać na ciężkie losy kraju w XX w. i domagać się od niedobrego świata rekompensaty za nasze niezawinione krzywdy, zastanówmy się, jak wyglądałaby w różnych scenariuszach Inna Polska”.

Bez wątpienia jest to niezwykle pouczający intelektualny eksperyment. ©



★★★★★
WITOLD M. ORŁOWSKI
„INNA POLSKA?
1918–2018:
ALTERNATYWNE SCENARIUSZE
NASZEJ HISTORII”
REBIS 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Polka – władczyni Kremla

Jedyna Polka na tronie carów panowała zaledwie dziewięć dni, o władzę w Moskwie walczyła przez 11 lat. Była piękną i bezwzględną kobietą, a jej życie miało tragiczny epilog. Dwóch jej mężów zamordowano, kolejnego partnera stracono na palu, a trzyletniego syna powieszono. Zmarła otruta w wieku 27 lat w rosyjskim więzieniu. Zapewne nie tak wyobrażała sobie swoje życie Maryna Mniszchówna, gdy 22 listopada 1605 r. wychodziła w Krakowie za mąż za niedawno koronowanego cara Moskwy, Dymitra, zwanego później Samozwańcem. Wprawdzie był to ślub per procura, ale ważniejsze wydaje się to, że małżeństwo zawarto w obrządku katolickim. Pół roku później uroczystość powtórzono w Moskwie w wersji prawosławnej, a kilka dni później jej pierwszy mąż już nie żył, a następne lata przyniosły kolejne tragedie.

Biografia Maryny wydawać się mogła gotowym czy sensacyjnym romansu. Faktycznie, niedoszła władczyni Kremla stała się bohaterką wielu utworów. Szkoda tylko, że z reguły bardzo słabej jakości. Jednym z nielicznych wyjątków był „Borys Godunow” Aleksandra Puszkina, Maryna pojawiła się tam jednak tylko w roli drugoplanowej. Jej obraz był zresztą typowy dla rosyjskiej propagandy, ukazana została jako dumna Polka, żądna władzy na Kremlu. Podobny wizerunek w publicznej świa-

domości utrwaliła również opera Modesta Musorgskiego, której libretto oparto na poemacie Puszkina.

W rosyjskiej tradycji Maryna zagościła jako bohaterka „bylin, licznych przeciętnych dramatów, powieści oraz romansów”. Przedstawiana jest na ogół w najgorszym świetle, jako „wiedźma złowieszczą”. W tej sytuacji wydaje się dziwne, że tematu nie wykorzystali bolszewicy podczas wojny 1920 r., dla których „okrutna córka polskich panów” powinna być idealnym materiałem propagandowym...

Postać Maryny pojawiła się również w utworach twórców z zachodniej Europy, z których za najlepszą uchodzi niedokończony dramat Fryderyka Schillera „Demetrios, czyli krwawe gody w Moskwie”. Ten sam temat również podjął Prosper Mérimée. Niestety, jest to dzieło znacznie gorszej jakości.

Zdziwienie musi natomiast wzbudzać to, że osoba carowej praktycznie nigdy nie zagościła w polskiej literaturze. Słaba, wczesna powieść Zygmunta Krasińskiego („Agaj-han”) i „Maryna Mniszchówna” Józefa Szujskiego to niewiele jak na osobę jedynej Polki na moskiewskim tronie. Podobnie było w plastyce, właściwie pamiętany jest wyłącznie obraz Leona Wyczółkowskiego „Ucieczka Maryny Mniszchówny” przedstawiający carycę z małym synkiem oczekującą na nadwożańskich stopach na siepaczy Romanowów. ©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
SZOKUJĄCE ROZMOWY
z Żydami ocalałymi z getta

Piotr Zychowicz – **Żli i dobrzy policjanci**
Robert Frost – **I RP nie była skazana na klęskę**
Sławomir Koper – **Romanse Ignacego Paderewskiego**
Jonathan Brent – **Żydowskie ofiary Stalina**
Tomasz Stańczyk – **Ostatnie dni Stanisława Augusta**
Sławomir Cenckiewicz – **Memoriał Dmowskiego**
Mirosław Szumiło – **„Pogrom” we Lwowie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Krzysztof
Tyska-Drozdowski

Islam nauczył się metod zachodnich, przeciwiczył żargon politycznej poprawności, aby użyć go do swoich celów. Ma swoich pożytecznych idiotów, poznał się na naiwności ludzi Zachodu i dąży do podboju społeczności niewiernych

Największy sukces mahometańskie lobby odnosi w krajach, w których dochodzi do zamachów. Brzmi to paradoksalnie, trudno jednak temu zaprzeczyć. Po każdym zamachu krytyka islamu zostaje uciszona, a krytyk ryzykuje etykietę „islamofoba” i rasisty. Muzułmanie i ich sojusznicy ze skrajnej lewicy wyrobili w mediach refleks piętnowania tych, którzy nie uważają religii Allaha za religię pokoju, kneblując usta wszystkim, którzy chcą rozpocząć dyskusję na poważnie. Za każdym razem media, zamiast namyśleć się nad położeniem, w jakim znalazł się ich kraj, skupiają się przede wszystkim na podkreślaniu, że islam to religia miłości. Alexandre del Valle pisze w przenośni o „ucinaniu języków” dokonującym się równolegle z ucinaniem głów.

Po zamachu w Barcelonie na miejscu tragedii nie było żadnych krzyży, żadnych pokrzepiających patriotycznych napisów. Było za to całe mnóstwo karteczek z napisami pokroju: „Islam to pokój”, „Islam jest niewinny”. Nazajutrz po zamachu burmistrz miasta zasilł znaczną sumą konto organizacji walczącej z islamofobią. Gdy po atakach Europę stać jedynie na rozgrzeszanie mułmanów i zapalanie świec, sygnał wysyłany do mahometan jest jasny: jesteśmy słabeuzami.

ZAKAZAĆ KRYTYKI

Wszystkie wysiłki mułmańskiego lobby zmierzają w jednym kierunku. Chodzi o zakazanie krytyki islamu, o kryninalizację islamofobii. We Francji to zadanie wykonuje m.in. Collectif Contre l'Islamophobie, czyli Kolektyw przeciw Islamofobii (muzułmanie opanowali trik polegający na tym, aby każdą organizację nazywać „kolektywem”, bo to gwarantuje odruchowe poparcie lewicy). Założono go w 2003 r., w czasie dyskusji nad zaka-



Islamskie lobby



Jedną z najbardziej rozpoznawalnych opozycjonistek w USA jest Linda Sarsour. Pozuje na feministkę, ale prawdziwa sprawa, o którą walczy, to panowanie szariatu FOT. JOE PENNEY/REUTERS/FORUM

zem noszenia hidżabu w szkołach. Wtedy dziennikarz Claude Imbert powiedział wprost: „Jestem islamofobem, przynajmniej bez skrupowania”. Samy Debah, nauczyciel historii, uznał, że tego za wiele. Zebrał podobnie myślących mahometan, aby stworzyć organizację, której dewiza brzmi: „Islamofobia to nie opinia, to przestępstwo”.

O kolektywie było głośno, gdy wniósł skargę na Laurence Rossignol, minister w rządzie Hollande’a, gdy ta ośmieliła się powiedzieć, że kobiety noszące woal dobrowolnie godzą się na niewolę. W czasie polemiki wywołanej przez burkini, czyli stroje kąpielowe zgodne z szariatem, organizacja oburzała się

w mediach, że władze nie pozwalają na noszenie takich strojów ze względu na „kolonialistyczny stosunek do muzułmanek”. O źródłach finansowania kolektywu niewiele wiadomo poza tym, że są to środowiska zbliżone do Bractwa Muzułmańskiego. Pieniądze przekazywała również fundacja Open Society, należąca do George’a Sorosa. Sam kolektyw był wielokrotnie zapraszany na seminaria przez OBWE.

Największy ośrodek propagandy stanowi Organizacja Współpracy Islamskiej. Zrzesza ona 57 krajów muzułmańskich, to ONZ świata islamu. Obok współpracy gospodarczej za główny cel obrała sobie ochronę mniejszości muzułmańskich

przed islamofobią. OWI ingeruje wszędzie tam, gdzie muzułmanie ścierają się z niewiernymi: wspierając mahometan bijących się z chrześcijanami w czasie wojny domowej w Libanie, pomagając oddziałom islamskim w Bośni albo separatystom z Kaszmiru. Na froncie europejskim koncentruje swoje siły na powstrzymaniu asymilacji. Dokłada starań, wydaje środki, aby muzułmanie nie roztopili się w społeczeństwach, do których przybyli, aby zachowali odrębność. Nakłania do zasklepiania się w gettach.

Czasopismo OWI w latach 80. wyjaśniało założenia, które stoją za działalnością organizacji. Umma, czyli wspólnota wszystkich muzułmanów, zaczęła się od jednej osoby, dlatego nie należy ustawać w wysiłkach, aby wszystkie mniejszości mahometańskie rozsiadane po świecie stały się większością w krajach, w których żyją. Islamizacja musi nabrać tempa i rozszerzyć swój zasięg, aż ogarnie całe państwa, następnie kontynenty. „Im te społeczności będą silniejsze, im będą bardziej akceptowane w swoich krajach, tym lepiej będą bronić interesów świata muzułmańskiego, bo Umma jest jedna i niepodzielna”. Ofensywa przybiera na sile – w Belgii na popularności zyskuje partia Islam, której program to przekształcenie Belgii w państwo islamskie. Z kolei w maju tego roku Erdoğan wezwał w Sarajewie wszystkich Turków do wstępowania do ugrupowań politycznych w krajach, do których wyemigrowali.

OWI przewodzi Arabia Saudyjska. Udało się jej wprowadzić OWI do dwóch komisji ONZ: do komisji praw kobiet oraz do komisji zajmującej się prawami człowieka. Przypomnijmy, że to państwo, w którym kobietom nie wolno wychodzić samym z domu i w którym rocznie dokonuje się setek egzekucji. Najświeższy przykład to Ali Mohammed al-Nimr, 21-letni szyita, skazany na ukrzyżowanie i ścięcie. W czasie tortur „przyznał się” do rzucania koktajlami Mołotowa w policję.

WALKA O SZARIAT

Ciekawą operację oswajania Francuzów z islamem przeprowadzono w programie „The Voice”. Wystąpiła tam młoda dziewczyna, Mennel Ibtissem, która oczarowała wszystkich głosem i ujmującym sposobem bycia. Jasna karnacja i niebieskie oczy sprawiały, że nikt nie kojarzył jej z islamem, tylko wystylizo-

Wany turban zwracał uwagę. Mennel podbiła serca wszystkich. Do czasu. W mediach społecznościowych wygrzebano jej wpisy, w których twierdziła, że za zamachami w Nicei stoją służby podsycające nienawiść wobec mahometan, a dzień po mordzie ojca Hamel stwierdziła na Twitterze, iż „rząd to najwięksi terroryści”. Niezawodna lewica wzięła ją w obronę, tłumacząc, że nie należy cenzurować żadnych poglądów, dodając, iż to młodzieńcza pomyłka (choć te wpisy zostały zamieszczone półtora roku przed programem).

Nieomylny znak, że mniejszość wygrywa, to stosowanie podwójnych standardów. Młodej mużulmance wolno wygadywać bzdury, które rozpowszechnia Bractwo Mużulmańskie w Internecie, krzywdząc ofiary i obrażając poczucie przyzwoitości, a Tariqowi Ramadanowi, intelektualście reprezentującemu islam z ludzką twarzą, wolno krzywdzić kobiety. Gdy wyszło na jaw, że ten znany w świecie francuskojęzycznym myśliciel dopuszczał się gwałtów, lewica biła na alarm: nie dopuścimy do maccartyzmu. Aresztowanie Ramadana uznała za uderzenie w demokrację, w jej najświętszą podstawę – w pluralizm.

W Stanach natomiast jedną z najbardziej rozpoznawalnych opozycjonistek wobec Trumpa jest Linda Sarsour. Należy do czwórki organizatorek Women's March, za co została umieszczona przez „Time” na liście 100 najbardziej wpływowych osób. Senator z ramienia demokratów, Kirsten Gillibrand, powiedziała o niej, że stanowi nowe wcielenie sufrażystki, a Obama odznaczył ją tytułem „Champion of Change”.

Sarsour pozuje na feministkę, ale prawdziwa sprawa, o którą walczy, to panowanie szariatu. Jej brat, Jamil Sarsour, był zaangażowany, według FBI, w zbieranie pieniędzy dla Hamasu, za co trafił do więzienia w 1998 r. Sama działaczka przyznała też, że jej krewni siedzą w izraelskich więzieniach za przynależność do Hamasu. Przestała być na jakiś czas ulubienicą liberałów, gdy wezwała do „dżihadu przeciw Trumpowi”. Główny nurt nie był jeszcze przygotowany na tak brutalny język, Sarsour się pośpieszyła. Nadal jednak każda krytyka spotykała się z odporem – dyskusje ucinają się uwagami, że to rasiści i islamofobi podważają jej dobre intencje.

Sarsour zasłynęła też wpisami, w których oświadczała, że „nie ma niczego

bardziej odrażającego niż syjonizm”, albo atakiem na Ali Hirsi, która uciekła spod mużulmańskiego knuta i odważyła się mówić o życiu kobiet pod panowaniem szariatu. Sarsour stwierdziła, że Ali „nie zasługuje na to, aby być kobietą”.

Ostatnim wielkim zwycięstwem islamu w Stanach jest wprowadzenie dwóch mużulmanek do Kongresu. Jedną z nich, Ilhan Omar, hołubiona przez lewicę, swego czasu napisała na Twitterze, że Izrael zahipnotyzował świat, przez co nikt nie dostrzega żydowskich zbrodni przeciwko Palestyńczykom. Gdy była w samorządzie Minnesoty, głosowała przeciw prawu, które pozwalało firmom ubezpieczeniowym na niewypłacanie świadczeń rodzinom terrorystów.

MODA NA HIDŻAB

Walka o normalizację hidżabu to inny ważny odcinek frontu. Stworzono nowy termin: hidżabistka, na określenie kobiet, które nie tylko noszą to nakrycie głowy, lecz także robią to szykownie. Media nie mogą nachwalić się tych dziewczyn, które zrywają z ponurymi kolorami, w jakie ubierały się ich matki, i noszą się radośnie.

Pewien francuski publicysta porównał noszenie hidżabu do noszenia koszulki z napisem: „Kobiety nie powinny

Wielkie korporacje promują polityczną poprawność, którą coraz trudniej odróżnić od islamskiej propagandy. Ostatecznie możliwość zdobycia nowego rynku – mużulmańskiego – stanowi zbyt wielką pokusę. Tak było w przypadku Coca-Coli, która wypuściła spot „Ramadan 2018”, w którym młoda dziewczyna w hidżabie biegnie do autobusu, ale złośliwy kierowca zamyka jej drzwi przed nosem. Potem idzie przez miasto i spotykają ją nienawistne spojrzenia oraz szyderstwa, aż w końcu jakaś biegaczka zauważa jej cierpienia i proponuje napój. Niestety, trwa ramadan, więc musi poczekać razem z nią do zachodu słońca i dopiero wtedy wszystko zostaje naprawione, prześladowana mużulmanka odnajduje zrozumienie przy butelce. Klamrę stanowi slogan: „To, co nas łączy, jest mocniejsze niż to, co nas dzieli”.

Hidżab to znak, który przekreśla równość między kobietą a mężczyzną. Mężczyźnie wolno nosić, co mu się podoba, kobieta skazana jest na nakrycie głowy. I GAP tę wizję świata promuje w imię politycznej poprawności. W jednej z ostatnich reklam w grupce dzieci jedna dziewczynka, na oko 10-, 12-letnia, ma na sobie hidżab. Wszystko to w chwili,

Walka o normalizację hidżabu to kolejny ważny odcinek frontu. Stworzono nawet nowy termin: „hidżabistka”

mieć tych samych praw co mężczyźni”. Pomimo tego feministki spod znaku półksiężyca, choćby Rokhaya Diallo, domagają się prawa do noszenia nakrycia głowy w miejscu pracy i w urzędach. Zakaz religijnych symboli to w ich ocenie wyraz dyskryminacji, jak piszą w manifestie opublikowanym w dzienniku „La Libre Belgique”. Manifest nafaszerowany jest nowomową multikulturalizmu. Są w nim odwołania do „europejskiego modelu inkluzji i pluralizmu, który umożliwia wszystkim dostęp do edukacji i pracy” albo nawoływania do „podejścia inkluzywnego i pozytywne-go” jako warunku „emancypacji kobiet”. Laickie prawa, które zakazują również noszenia jarmużki albo zbyt rzucającego się w oczy krzyża, są, w ich mniemaniu, wymierzone w mużulmanki. Są z gruntu islamofobiczne.

gdy w Iranie kobiety walczą o to, aby móc chodzić z odkrytą głową. Te, które się odważą, muszą stawić czoło agresji i wyzwiskom, niektóre trafiły nawet do aresztu – Coca-Cola i GAP nie chcą o nich pamiętać. Wolność nigdy nie miała zbyt wielu obrońców.

Mużulmanom udało się narzucić pogląd, że separatyzm kulturowy to nie złego. Gorzej, że teraz to wyraz postępu. To w Stanach mużulmanie odnieśli pod tym względem największe sukcesy, wmawiając wszystkim, że najwyższy wyraz tolerancji to uznanie prawa mniejszości do odcięcia się od reszty społeczeństwa. Prawo do tworzenia społeczeństwa równoległego uznano za nienaruszalne. Zanim wpadniemy w pułapkę, zastanówmy się, na ile pozwolimy mniejszościom, które rozrastają się w naszym kraju.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**GDY PROBLEMY SĄ ZBYT POWAŻNE STARAMY SIĘ ICH NIE DOSTRZEGAĆ.
PORNOGRAFIA TO POWSZECHNY PROBLEM WŚRÓD DZIECI I MŁODZIEŻY.
NIE ZNIKNE DLATEGO, ŻE NIE BĘDZIEMY GO WIDZIEĆ.
CHROŃ DZIECKO. WEJDŹ NA WWW.OPORNOGRAFII.PL**

Prawie 90% dzieci w wieku 14-16 lat uważa,
że dostęp do pornografii jest zbyt łatwy.

*Badania IPZIN, N=11386



OPORNOGRAFII.PL

STOWARZYSZENIE TWOJA SPRAWA

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości.



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 228da01d64



Jacek Przybylski

W 2025 r. 80 proc. Rosjan ma mieć prowadzony przez rząd profil cyfrowy, który będzie dokumentował każde ich osiągnięcie i porażkę. Pięć lat wcześniej budowę systemu kontroli ludności dokończą Chiny

Ponad 50 mld dol. wart jest Program Cyfrowej Gospodarki. Jak podał „The Moscow Times”, jego wdrażanie w całej Rosji ma się zakończyć do 2024 r., czyli w ostatnim roku czwartej kadencji prezydenta Władimira Putina. Według szefa IT rosyjskiego odpowiednika ZUS do 2025 r. mniej więcej cztery piąte Rosjan będzie mieć prowadzony przez rząd profil cyfrowy. Ma on śledzić m.in. sukcesy i porażki studentów. I chociaż Kreml zaprzecza, aby założenia projektu przypominały chiński system oceny wiarygodności obywateli, to eksperci są już innego zdania.

PARTIA RZĄDZI, PARTIA RADZI

W Państwie Środka od dwóch lat na milionach obywateli testowany jest system oceny obywateli (pomysł jego budowy władze ogłosiły już w roku 2014). Na ocenę każdego z miliarda czterystu milionów mieszkańców Chińczyków składać się mają nie tylko czynniki finansowe (m.in. preferencje zakupowe, historia kredytowa), lecz także społeczne oraz polityczne.

Nowy system ma unowocześnić istniejący system inwigilacji wszystkich obywateli, a jednocześnie przywrócić setkom milionów Chińczyków zaufanie do władzy, które kuleje od czasów Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Kulturalnej zainicjowanej w 1966 r. przez Mao Zedonga, a także zaufanie do biznesmenów, które zostało podważone przez liczne skandale finansowe, sprzedaż podrabianych produktów czy serwowanie nieświeżego jedzenia.

Każdy Chińczyk zaczyna od 1000 pkt. Za dobre zachowanie – np. uzyskanie wyróżnienia od lokalnego urzędu, działalność charytatywną czy też udzielenie pomocy rodzinie znajdującej się w trudnej sytuacji finansowej – rośnie od 5 do

30 pkt. Za każde złamanie społecznych reguł ocena spada. Obywatelom przypisywana jest też ocena. Najwyższą ocenę „A” mają ci, którzy zachowali od 960 do 1000 pkt. „B” to ocena dla osób, które mają od 850 do 955 pkt. Od 600 do 849 to obywatele klasy „C”.

Bardzo szybko dużą liczbę punktów można stracić, np. za jazdę po pijanemu (wówczas z „A” spada się prosto do „C”) czy malwersacje finansowe. Spadek „wiarygodności” powoduje również wiele mniej poważnych występów: od mandatu za wykroczenie drogowe, niezatrzymanie się przed przejściem dla pieszych, przez rozpowszechnianie fake newsów i spędzanie zbyt dużej ilości czasu na graniu w gry wideo, do nieprzestrzega-

nia regulaminu w środkach publicznej komunikacji. Odpowiednie nagrania przypominają o tym podróżnym, np. podczas jazdy superszybkim pociągami na linii Pekin – Szanghaj. Na obniżenie oceny wiarygodności obywatela mogą również wpływać palenie papierosów w przedziałach dla niepalących, jazda na gapę czy zaśmiecanie peronów. Po 50 pkt tracić mogą też osoby, które nie otaczają wystarczającą troską swoich starszych krewnych lub są członkami nieuczynawego przez władze kultu.

Obywatel utraci też część „wiarygodności” w oczach rządu za odmowę zapłaty mandatu, przeglądanie w Internecie stron pornograficznych, niepłacenie rachunków w terminie, a nawet – jak



FOT. BOBBY P. REUTERS/FORUM



Czerwony Brat

informował magazyn „Foreign Policy” – za marnowanie pieniędzy na kupowanie w Internecie niepotrzebnych bzdur. Żle widziane jest też marnowanie zbyt dużej ilości czasu na aktywność w mediach społecznościowych.

Zamiast zwiększenia liczby szpiegów działających wewnątrz kraju czy też akcji zachęcania Chińczyków do donoszenia na krewnych i sąsiadów władze w Pekinie postawiły na nowoczesne technologie. Do śledzenia każdego kroku obywateli wykorzystywane są miliony kamer bezpieczeństwa (obecnie jest ich 170 mln, ale do 2020 r. ich łączna liczba ma przekroczyć pół miliarda), zaawansowane technologie rozpoznawania twarzy i tablic rejestracyjnych oraz sztuczna

inteligencja, która analizując zebrane dane, jest w stanie zidentyfikować również wiek, rasę czy płeć. Oprócz tego do identyfikacji łamiących zasady obywateli służą np. używane przez policję w Pekinie specjalne okulary z wbudowaną miniaturą kamerą, podłączone do programu rozpoznającego twarze. Możliwości systemu monitoringu są już tak zaawansowane, że podczas ubiegłorocznego testu znalezienie i ujęcie reportera BBC Johna Sudwortha na jednej z chińskich ulic zajęło władzom zaledwie siedem minut.

KIJ I MARCHEWKA

System obecny w pełni operacyjny będzie w roku 2020. Już teraz władze

nagradzają jednak wzorowych obywateli, którzy mają na koncie dużo punktów, oraz surowo karzą krnąbrnych mieszkańców z rejestrem poważnych występów. Ci pierwsi mogą liczyć np. na szybszy awans w pracy, zniżki w opłatach za media, atrakcyjne oprocentowanie kredytów bankowych czy możliwość bezpłatnego korzystania z publicznych rowerów. Chińczycy z klasy „A” mogą też jeździć na zagraniczne wakacje bez żadnych restrykcji, a także korzystać z przyspieszonej kontroli bezpieczeństwa na lotniskach. Zdjęcia najbardziej wiarygodnych obywateli są też wywieszane w bibliotekach publicznych oraz w holach wieżowców.

Co więcej, „dobrzy” Chińczycy mają większe szanse na znalezienie miłości

– według BBC największy serwis randkowy Baihe wyszukuje użytkownikom ze świetną oceną dużo większą liczbę potencjalnych partnerek.

Ci „źli” – z liczbą punktów poniżej 600 – są uznawani za „niegodnych zaufania”. Taka ocena wiąże się nie tylko z niemożnością otrzymania kredytu czy karty kredytowej. Posiadacze najniższej oceny są wpisywani przez sądy na czarne listy. Teoretycznie powinni być o tym zawiadamiani, a prawo daje im 10 dni na odwołanie. W praktyce wielu Chińczyków o tym, że nie mogą już kupić biletu na samolot ani korzystać z przejazdów szybkimi pociągami, dowiaduje się dopiero, gdy próbują zapłacić za podróż. Surowe kary nie są wcale rzadkie. Według oficjalnych danych przez system oceny obywateli już ponad 11 mln osób z niską oceną nie mogło kupić biletów lotniczych, a ponad czterem milionom odmówiono prawa do podróżowania biznes class w szybkich pociągach.

Osoby „niegodne zaufania” mogą też spotkać się z odmową zameldowania w niektórych hotelach lub koniecznością zapłaty wysokiej kaucji. Zgodnie z ideą promowaną przez prezydenta Xi Jinpinga, który chce, aby system oceny obywateli bazował na zasadzie „raz niegodny zaufania, zawsze z ograniczonymi prawami”, urzędnicy zachęcają także pracodawców do korzystania z państwowych czarnych list przy podejmowaniu decyzji o zatrudnieniu. „Niegodnym” ma być również spowalniany Internet. Surowo ukarane mogą być nawet dzieci „niegodnych” – za występki rodziców mogą m.in. stracić możliwość nauki w wybranej szkole średniej lub na wybranej uczelni wyższej.

Niektórzy niepokorni karani są również m.in. poprzez stawianie przed elektronicznym pręgiem – ich zdjęcia oraz imiona i nazwiska wyświetlane są na billboardach w centrach miast czy przed emisją filmów w kinie.

System oceny wiarygodności obywateli nie jest zarządzany przez jedną instytucję w kraju. Składa się z sieci różnych regionalnych systemów, komercyjnych aplikacji, danych ze sklepów internetowych etc. W mieście Jinan system punktowy już w zeszłym roku poszerzono np. na wszystkich właścicieli psów. Wyjściowo każdy posiadacz czworonoga ma 12 pkt. Za udział w programie dla ochotników w schroniskach można zarobić dodatkowe punk-



W Chinach działa już 170 mln kamer. Do 2020 r. ma ich być niemal 600 mln

FOT. ETIENNE OLIVEAU/GETTY IMAGES

ty, za wyprowadzanie psów bez smyczy, niesprzątnięcie po psie lub zakłócanie ciszy przez szczekającego futrzaka punkty są odejmowane. Osobom, które stracą wszystkie punkty, grozi grzywna lub nawet odebranie zwierzęcia – aby je odzyskać, niepokorni właściciele muszą ukończyć specjalny kurs ze znajomości przepisów dotyczących obchodzenia się z psami. Według rządowego dziennika „China Daily” pomysł się sprawdza: liczba skarg na ugryzienia lub uciążliwe szczekanie psów spadła w 2017 r. o 65 proc. w porównaniu z rokiem 2016, a liczba skarg na psy wyprowadzane bez smyczy zmalała o 43 proc. Wkrótce podobne rozwiązania mają być więc wprowadzane w innych miastach Chin.

Dzięki połączeniu w jedną sieć różnych systemów elektronicznej inwigilacji Komunistyczna Partia Chin zyskuje ogromną ilość danych, które umożliwiają władzom lepsze sterowanie polityką i gospodarką oraz totalną kontrolę obywateli.

PUNKTY PO AMERYKAŃSKU

Władze w Pekinie przekonują jednak, że ich projekt oceny obywateli wzorowany jest na amerykańskim „credit score”, czyli systemie punktowej oceny wiarygodności kredytowej. Nie jest on aż tak kontrowersyjny jak chińska wersja, ale też istotnie wpływa na jakość życia mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Przyznaje się w nim punkty za poszczególne cechy kredytobiorcy, a także na podstawie ich zachowań w przeszłości.

Dużo lepszą ocenę dostanie więc mężczyzna żonaty, który regularnie płaci rachunki i nie wykorzystuje za dużo limitu na karcie kredytowej niż kawaler mający częste problemy z terminową spłatą pożyczek. Niski osobisty rating może też utrudnić znalezienie nowego zatrudnienia – zgodnie z prawem

pracodawcy, rekrutując pracowników, mają bowiem prawo korzystać z danych zawartych w raporcie o ocenie kredytowej.

Amerykanom ze słabą oceną kredytową trudniej jest też wynająć apartament. Podobnie jak w Chinach „credit score” ma też bezpośredni wpływ na koszty transportu: co prawda nikt nie odmawia takim osobom biletu lotniczego, ale już stawka za ubezpieczenie komunikacyjne jest istotnie wyższa niż w przypadku Amerykanów, którzy mogą się pochwalić świetną oceną kredytową. Podobnie jest z kosztem pożyczki na samochód: im gorsza ocena kredytowa, tym wyższe odsetki.

Ogromną ilością danych potrzebną do stworzenia dokładnych profili Amerykanów dysponują też wielkie sklepy internetowe. Ich dane o użytkownikach są tak dokładne, że Amazon rozpoczął prace nad projektem wysyłania produktów do klienta, jeszcze zanim ten wreszcie zdecyduje się na zakup. W rękach rządów takie narzędzia mogłyby stać się potężną bronią.

W Polsce ocenę punktową stosuje m.in. Biuro Informacji Kredytowej. Szczegóły jej konstruowania są chronione tajemnicą handlową. Wiadomo jednak, że w systemie BIK statystyczny Kowalski może otrzymać od 1 do 100 pkt, a ostateczna ocena jest sumą punktów za poszczególne elementy profilu klienta. BIK ocenia, że 80 pkt to wynik bardzo dobry, a 60 pkt dobry. Im mniej punktów ma Kowalski, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że bank udzieli mu kredytu.

W Chinach system punktowy ułatwi walkę z dysydentami czy członkami mniejszości religijnych, którzy nie chcą ulec władzom i porzucić wiary ojców. Jednocześnie ma on jednak sprawić, że przeciętni Chińczycy będą szczęśliwsi, a przez to mniej skłonni do popełniania występków przeciw władzy czy choćby orwellowskich „myślóbrodni”.

Narzędzie służące partii do utrzymania się u władzy wzbudza zaniepokojenie socjologów, ostrzegających, że użycie nowoczesnych technologii do nieustannej inwigilacji setek milionów ludzi ostatecznie zamieni Państwo Środka w gigantyczne więzienie. Jeśli zaś w ślady Chin pójda inne kraje, to z wolnością jednostki będzie można się pożegnać już na długie lata.

100 %

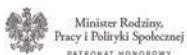
**polski
produkt**

OGŁOSZENIE WYNIKÓW
III. EDYCJI KONKURSU
100% POLSKI PRODUKT

JUŻ 28 LISTOPADA

**PODCZAS UROCZYTEJ GALI
W HOTELU POLONIA PALACE
W WARSZAWIE**

PATRONAT HONOROWY



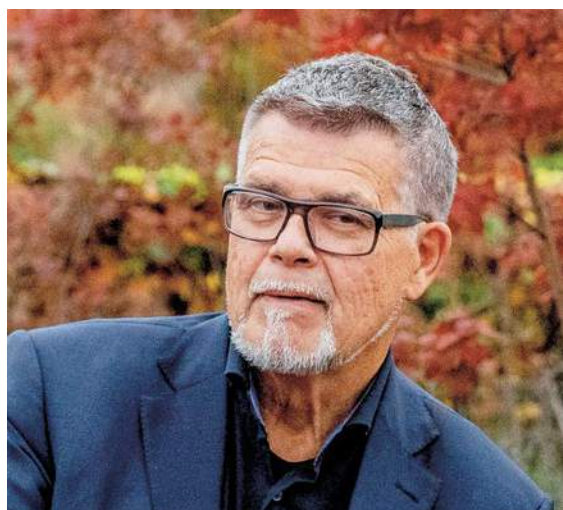
Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wzrznego



PARTNER MERYTORYCZNY

PARTNERZY





CHCE BYĆ MŁODSZY. LEGALNIE

Emile Ratelband, mówca motywacyjny z Holandii, rozpoczął prawną batalię o to, by oficjalnie uznano, że ma mniej lat, niż ma. Panu Ratelbandowi minęło bowiem 69 wiosen, a czuje się młodszy o 20. Ma też ważne argumenty – gdyby miał 49 lat, mógłby więcej zarabiać, dostać łatwiej kredyt i mieć większe szanse na portalach randkowych. Ma też asa w rękawie – twierdzi, że skoro legalnie można wybierać sobie płeć, to dlaczego nie można wybrać wieku.

FOT. ROBIN UTRECHT/REX/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

BAŁTYCKIE BAŁKANY TRUMPA

Francuska prasa doniosła, że prezydent USA spotkał się w kwietniu w Białym Domu z prezydentami Litwy, Łotwy oraz Estonii i podczas rozmowy wypomnił im, że doprowadzili do wybuchu wojny, który spowodował rozpad Jugosławii. Bałkany czy kraje bałtyckie, kto by tam spamiętał... Amerykańska prasa zwraca jednak uwagę, że francuskie informacje pojawiły się teraz, gdy Trump wyśmiał prezydenta Macrona i jego plany tworzenia armii UE.

BO CZASEM MÓWIŁA, ŻE CHCE UMRZEĆ

Holenderska prokuratura wszczęła śledztwo przeciw lekarce, która zabiła pacjentkę. Śledczy mają wątpliwości, czy 74-latką rzeczywiście życzyła sobie zabiegu eutanazji – legalnego w Holandii od 16 lat. Wiadomo, że cierpiąca na alzheimera kobieta czasem mówiła, iż chce umrzeć. Jednak czasem twierdziła, że umierać nie chce. Zdaniem prokuratorów lekarka przed zabiegiem powinna się upewnić.

PIŁKARZE POBICI, PREZES ZATRZYMANY

Były prezes Sportingu Lizbona został zatrzymany, bo jest podejrzenie, że zlecił pobicie piłkarzy tego klubu – w maju tego roku sportowcy zostali poturbowani przez kibiców w ośrodku treningowym koło Lizbony. Śledczy twierdzą, że prezes nie mógł znieść słabych występów zespołu. Sporting był trzeci w portugalskiej lidze, a w Lidze Europy dotarł do ćwierćfinałów. Piłkarze z polskiej ligi powinni czasem pomyśleć, jak wielkie mają szczęście, że grają nad Wisłą, a nie w Lizbonie...

PILOT BAŁ SIĘ LATAĆ

Matthew Guest, pilot brytyjskich linii lotniczych Flybe, wygrał sprawę w sądzie pracy. Od pewnego czasu bał się latać na dłuższych dystansach. Miał ataki paniki. Gdy zgłaszał to zwierzchnikom, radzili mu, żeby zajął się w kabinie rozwiązywaniem krzyżówek albo poczytał książkę. W końcu zwolniono go z pracy. Sędzia uznał teraz, że linie powinny mu po prostu zaoferować krótsze trasy. © ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Auschwitzland

Valentina Vignali, koszykarka rzymskiego klubu Athena Basket, jest powszechnie znana dlatego, że się rozebrała dla „Playboya” i często występuje w TV, gdzie zajmuje się kuchnią i modą. Ma na Instagramie aż 2 mln „followersów”. Ostatnio, właśnie na potrzeby tej gawiedzi, koszykarka opublikowała na Instagramie swoje zdjęcie na tle skromnych produktów spożywczych (głównie puszkowanych warzyw) z komentarzem: „Diety Auschwitz nie będę prowadzić, choćbyście mi za to płacili”. Dzięki temu dowiedziałem się, że mój dziadek zginął w Auschwitz, bo stosował złą dietę, a z komentarza

w „Corriere della Sera” na temat tej żenującej publikacji – że Auschwitz był polskim obozem.

W odpowiedzi na falę krytyki kobieta uczciwie zrzuciła odpowiedzialność na własną głupotę. Organ intelektualny znów ją zawiodł. Chcąc jakoś wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, poinformowała, że w tym roku w lecie nie pojechała na Ibizę, ale do Austrii, gdzie rzekomo zwiedzała obozy koncentracyjne. Po prawdzie był tylko jeden – w Mauthausen.

Można gorzej? Można. 28 października przypada rocznica marszu na Rzym. W Predappio, miasteczku Mussoliniego, świętowało

w tym roku 2 tys. kretynów z Forza Nuova, którym absolutnie nie przeszkadza, że rządy Duce pociągnęły za sobą pół miliona włoskich ofiar II wojny, prześladowania Żydów i zrujnowały kraj. Arcykretynka o nazwisku Selene Ticchi D’Urso paradowała tam w koszulce z napisem: „Auschwitzland” na obfitych piersiach. W Auschwitz zginęło blisko 6 tys. włoskich Żydów. Kretynstwo wywołało oburzenie całej Italii, ale babsko się nie przejęło. „Będę kontynuować swoją działalność polityczną z podniesioną głową” – oświadczyła włoskiej prasie.

Ręce i piersi opadają. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

GRUPA 


PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.


PKPCARGO


POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna


PKP INTERCITY



Grupa PKP

100 miliardów złotych
na inwestycje do 2023 roku


www.pkp.pl



Maria Kądzilska

Amerykańsko-chińska wojna celna, odwołanie przyjazdu do Chin gen. Jamesa Mattisa, opublikowanie chińskiej białej księgi, a wreszcie bezprecedensowe wystąpienie wiceprezydenta Mike'a Pence'a w Hudson Institute. Co stanowi przyczynę tarć na linii Waszyngton – Pekin?

Gospodarcza

Relacje amerykańsko-chińskie w ostatnich miesiącach wyraźnie się zaostrzyły. Obecna sytuacja jest dalekim pokłosiem zmiany w stosunkach amerykańsko-chińskich, która nastąpiła w latach 70. za prezydentury Richarda Nixona. Jej architektem był Henry Kissinger, który doprowadził do gospodarczego i częściowo politycznego otwarcia się Stanów Zjednoczonych na Chiny. Chodziło wtedy zarówno o wygranie chińskiej karty przeciwko Związkowi Sowieckiemu, jak i o wzmocnienie gospodarczych interesów USA. Rezultatem wielu dziesiątków lat pogłębiania ekonomicznych więzi między oboma krajami jest obecnie gospodarczy twór nazywany przez niektórych ekonomistów „Chimeryką”. Jednak w ostatnich latach punkt ciężkości zaczął się przesunąć ze starego hegemonu na ChRL. Ta młoda kapitalistyczna gospodarka uzyskała tak gigantyczną nadwyżkę w handlu z USA, że prędzej czy później należało się spodziewać jakiejś reakcji ze strony władz amerykańskich.

Chiny wyrosły na globalnego konkurenta Stanów Zjednoczonych, jednak rywalizacja między nimi odbywa się już nie tylko na planie ekonomicznym, lecz także politycznym i militarnym. Jest spór o Morze Południowochińskie, które Państwo Środka usiłuje traktować jak własne wody terytorialne, usypując na morzu sztuczne wyspy, obsadzając je marynarką wojenną i dążąc do całkowitej kontroli akwenu. Z kolei USA uznają ten obszar za wody międzynarodowe, pilnując na nim swobody żeglugi własną marynarką wojenną, co ma też związek z ich wojskowymi zobowiąza-

niami względem Tajwanu. Dalszy rozwój ekonomiczny Chin zależy od uzyskania kontroli żeglugi na Morzu Południowochińskim, gdyż to przez ten obszar przechodzi morską część Nowego Jedwabnego Szlaku. Wielkie znaczenie mają również obawy sąsiadów, a szczególnie największego sojusznika USA w regionie – Japonii. Jej premier Shinzō Abe z wielkim niepokojem obserwuje ekspansję Chin na Dalekim Wschodzie. W tym kontekście nie można również nie doceniać jego osobistych doskonałych kontaktów z prezydentem Donaldem Trumpem.

RETORYKA ZIMNOWOJENNA

Uważni obserwatorzy zauważyli zapowiedzi zmiany relacji chińsko-amerykańskich po regularnie publikowanych tweetach prezydenta Trumpa, w których szafował on pod adresem Pekinu określeniami „nieuczciwy handlarz” i „złodziej technologii”. Ostatecznie potwierdziło ten zwrot wystąpienie wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Mike'a Pence'a, ogłoszone 4 października w Hudson Institute – najpoważniejszym konserwatywnym think tanku. Stanowi ono kompletny zwrot w stosunkach między oboma mocarstwami. Do tego stopnia, że wielu komentatorów uważa je za rozpoczęcie nowej zimnej wojny.

„Pekin angażuje cały państwowy aparat, wykorzystując narzędzia polityczne, ekonomiczne i militarne, jak również propagandę, aby zwiększyć swój wpływ i poszerzyć interesy w USA” – mówił Pence w Waszyngtonie. Zadeklarował także: „Rozpoczyna się nowa era rywali-

zacji wielkich potęg. Stany Zjednoczone przyjmują nową, odmienną politykę wobec Chin”. Dodatkowo zdaniem Pence'a Chiny „prowadzą rozwiniętą i skoordynowaną kampanię na rzecz podważenia zaufania do prezydenta, naszego programu oraz najcenniejszych ideałów naszego narodu oraz chcą stordedować nadchodzące wybory”. Z uwagi na to obecna administracja, w przeciwieństwie do poprzednich, zamierza „bronić interesów amerykańskich za pomocą odnowionej siły”, tak militarnej, jak gospodarczej. Pence podkreślił, że USA modernizują swój arsenał nuklearny, zajmują się opracowaniem najnowszych niszczycieli i bombowców, budują nową generację lotniskowców i okrętów wojennych.

Po tym wystąpieniu natychmiast posypały się mocne komentarze amerykańskich publicystów. Jim Cramer z CNBC pisał o tym, że „ta mowa musiała naprawdę przerazić Chińczyków oraz że mogłaby być ogłoszona w 1947 r. przeciw Sowietom”. Fox News zauważył, że uwagi Pence'a pojawiły się tydzień po tym, jak prezydent Trump podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ oskarżył Chiny o próbę ingerencji w listopadowe wybory. Nawet „The New York Times” przychylnie odniósł się do słów wiceprezydenta. To wystąpienie nie umknęło również azjatyckim dziennikarzom. O jego dokładną analizę pokusił się „The Japan Times” – Satoshiro Akimoto skomentował, że to najtwardsza amerykańska retoryka wobec Chin od dziesięcioleci.

Czy amerykańskie obawy są nieuzasadnione? Wręcz odwrotnie. Można



zimna wojna?

FOT. ADOBE STOCK

zadać pytanie: Dlaczego nie reagowały wcześniej? Przykładem działań Chin, które prowadzą do zmiany równowagi sił na arenie międzynarodowej, jest m.in. neokolonizacja Afryki – Chiny są największym inwestorem oraz donatorem pomocy na Czarnym Lądzie, której nie obwarowują wymogami politycznymi, dotyczącymi praw człowieka, oraz pożyczają pieniądze krajom afrykańskim na mniejszy procent niż instytucje międzynarodowe. W Kenii z chińskich funduszy są realizowane wielkie projekty infrastrukturalne: kolejowe, drogowe i portowe, w Afryce Subsaharyjskiej tworzony jest zaś od podstaw nowoczesny przemysł. Chiny pełnią również funkcję największego partnera handlowego Sudanu, skąd sprowadzają 6 proc. swojego zapotrzebowania na ropę naftową.

Innym przykładem próby osiągnięcia dominacji przez Państwo Środka jest uzależnienie od siebie gospodarczo krajów Ameryki Południowej. Prowadzą one politykę inwestycyjną we wszystkich państwach dysponujących złożami surowców strategicznych. Stały się największym partnerem handlowym Brazylii, Kuby, Ekwadoru oraz Wenezeli, zwiększają także obroty handlowe z Peru i Argentyną. Wszystkich tych operacji handlowych, zarówno w Afryce, jak i Ameryce Południowej, starają się dokonywać w juanie, tym samym wypierając dolara z jego dotychczasowego monopolu w obrocie międzynarodowym. Ponadto stawiając sobie za cel uniezależnienie od USA, budują alternatywny globalny system finan-

sowy i handlowy (Asian Infrastructure Investment Bank), oparty na inicjatywie Nowego Jedwabnego Szlaku, stanowiącego współcześnie równowartość 12 planów Marshalla.

WOJNA CELNA

Podgrzanie stosunków na linii Waszyngton–Pekin rozpoczęło się kilka miesięcy temu. Wiosną tego roku USA nałożyły na wybrane chińskie produkty cła w wysokości 10 proc. A już 6 lipca w Chinach weszły w życie taryfy celne o wartości 34 mld na amerykańskie produkty rolne, owoce morza i samochody. Pod koniec września USA wprowadziły dodatkowe cła na szeroką paletę importowanych chińskich towarów, od wyrobów mięsnych do elektroniki, obejmując import o wartości 200 mld dol. Dodatkowo nałożone wiosną cła po 1 stycznia 2019 r. mają wzrosnąć do 25 proc.

Wydaje się, że Chińczycy zostali zaskoczeni tak gwałtownymi krokami prezydenta Trumpa. W celu zdyscyplinowania dwustronnych relacji handlowych 24 września Chiny opublikowały obszerną białą księgę (sześć rozdziałów, 71 stron) poświęconą stosunkom handlowym z USA. „Chiny nie chcą wojny handlowej, ale nie boją się jej [...] – czytamy w dokumencie. – Mamy bardzo prężną gospodarkę, ogromny rynek i ciężko pracujących, utalentowanych i zjednoczonych Chińczyków, a także posiadamy poparcie wszystkich krajów na świecie, które odrzucają protekcyjność, unilateralizm i hegemonię”. Pekin odwołał się do górnolotnych wartości,

jednocześnie oskarżając USA o destabilizację światowego ładu handlowego.

Rywalizacja ekonomiczna natychmiast została przeniesiona na płaszczyznę dyplomatyczną. Szybko odwołano przyjazd do Chin szefa Pentagonu, gen. Jamesa Mattisa. Do spotkania na wysokim szczeblu administracyjnym doszło jednak 8 października, kiedy szef amerykańskiej dyplomacji Mike Pompeo poleciał do Pekinu. Cel spotkania jednak wyraźnie ograniczono do dynamicznej sytuacji na Półwyspie Koreańskim, próżno szukać w nim wypowiedzi o relacjach dwustronnych czy komentarzy dotyczących relacji handlowych. Po wystąpieniu Pence’a piłeczka znalazła się po stronie chińskiej.

Bez wątpienia celem Chin nie jest jednak bezpośredni konflikt militarny, ale dalszy wzrost ekonomiczny i zakończenie procesu transformacji. Wyraźnie widać to w tzw. Konstytucji 28 znaków (ershiba xianfa), którą jako spuściznę i drogowskaz dla przyszłych pokoleń pozostawił po sobie Deng Xiaoping. Mówi ona: „Twardo stąpać po ziemi i stanowczo bronić swoich interesów”, jak również „zachować ostrożność i nie wywyższać się”. Poprzez swoje ambitne działania i ogłoszenie programu dwóch nowych Jedwabnych Szlaków Xi Jinping naruszył niektóre z tych przykazań. Czy teraz, po gwałtownej reakcji USA, smok znowu spuści głowę? Jedno jest pewne – Chiny nie dadzą się ponownie zepchnąć w Wiek Upokorzenia. Stały się pełnoprawnym partnerem dla Zachodu – zarówno gospodarczym, jak i politycznym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Polskie po raz trzeci



Łukasz Zboralski

Zbliża się kolejny finał plebiscytu „100% Polski Produkt”. Już po raz trzeci nagrodzimy tych, którzy oferują produkty znad Wisły

Na posiedzenie konkursowej kapituły w ubiegłym tygodniu wiozł mnie starszy taksówkarz. I jak to w taksówce bywa – streścił pół swojego życia. A było ciekawe. Jeszcze w latach 70. zajmował się ręcznym wyrobem biżuterii, którą głównie eksportował do RFN. Żeby robić

to dobrze, sam przygotowywał narzędzia i – jak wspominał – ludzie z branży byli skłonni mu zaoferować za zrobienie podobnych nowego malucha. Potem przyszły przemiany, zmiana kursu do dolara i biznes z biżuterią zaczął gasnąć. Wówczas ten rodzony warszawiak zajął się sprzedażą koszul polskich marek. Biznes szedł świetnie. Do momentu, gdy na wielką skalę nie wkroczyły do Polski supermarkety i tanie ciuchy z Chin.

Ta krótka podróż była jedną z wielu sytuacji, które pokazują, jak przedsiębiorczy i elastyczni potrafią być Polacy. Jak dają sobie radę z wyzwaniami, które stawia przed nimi zmieniający się świat. Dlatego naprawdę warto doceniać to, co oferują nam rodzimi producenci? I dlatego tak ważną inicjatywą jest konkurs „Do Rzeczy”, w którym wybieramy i doce-

niamy to, co jest „najbardziej” polskie w gospodarce.

TO, CO NASZE

Już od trzech lat polskie firmy mogą zgłaszać swoje produkty do konkursu, w którym wyróżniamy te najbardziej rodzime. Dzięki opracowanemu przez PwC rankingowi udaje się nam wyłaniać takie produkty, które nie tylko wytwarzane są w Polsce, lecz także mają unikalne polskie rozwiązania, komponenty, a przy ich produkcji łańcuch dostaw tworzą firmy znad Wisły.

– Jeśli zależy nam na wspieraniu dumy i pamięci, walce ze złymi stereotypami na temat Polski, to trzeba też pokazywać prawdziwą, dobrą twarz naszego kraju. I tu właśnie rodzimy biznes pokazuje, że działamy, że się liczymy na



Laureaci konkursu 100% Polski Produkt
w 2017 r. FOT. BEATA CZARNECKA/WWW.SPORTOGRAFIA.PL

O konkursie 100% Polski Produkt

Konkurs jest skierowany do firm prywatnych, spółdzielni oraz przedsiębiorstw z udziałem Skarbu Państwa opartych na polskim kapitale, które konsekwentnie budują swoją pozycję rynkową, stawiając na rodzime produkty i produkcję. Nagrody trafiają do przedsiębiorstw, które tworzą produkty, stosując polskie materiały i surowce, korzystają z polskiej siły wytwórczej oraz polskich podwykonawców i dostawców. Stanowią wyraz uznania dla firm i producentów, którzy w swojej działalności nie tylko kierują się kryterium zysku, lecz także biorą pod uwagę otoczenie makroekonomiczne i czynnik społeczny. Plebiscyt „Do Rzeczy” ma również pomóc konsumentom, którzy stawiają na patriotyzm gospodarczy.

LISTA PRODUKTÓW ZAKWALIFIKOWANYCH DO WALKI O NAGRODĘ GŁÓWNĄ (KOLEJNOŚĆ ALFABETYCZNA):

- 1 Baton energetyczny Go On Energy – Sante A. Kowalski sp.j.
- 2 Baton energetyczny Go On Vitamin – Sante A. Kowalski sp.j.
- 3 Bitwa pod Kłuszyńcem 1610, nadruk sublimacyjny – Aceron Paweł Szopa
- 4 Ciastka zbożowe FIT – Sante A. Kowalski sp.j.
- 5 Czekoladowe Sympatie – Fabryka Cukierników „Pszczółka” sp. z o. o.
- 6 Element murowy z betonu kruszywowego w technologii System 3E – System 3E SA
- 7 Granola – Sante A. Kowalski sp.j.
- 8 Makaron walcowany – ANIMAK-KOPCZA SC J.E. Kopcza
- 9 Miód akacjowy 40 g, zestaw upominkowy – Gospodarstwo pasieczne Noteckie Miody
- 10 New Wall – FKS94 Karol Filipiek
- 11 Odżywczy peeling cukrowy, truskawka – Clochee sp. z o. o.
- 12 Pasty warzywne WA:żywo – Joyfood K. Lewandowski sp.j.
- 13 Płatki śniadaniowe FIT – Sante A. Kowalski sp.j.
- 14 Polska Rzecz. Sklep z dobrymi polskimi produktami. Blog o dobrych polskich rzeczach – Polska Rzecz Marek Szafranec
- 15 Prompter Premium – MDG Dominik Gawroński
- 16 Ser smażony z kminkiem Hauskyszja, kubek 200 g – SERTOP sp. z o. o.
- 17 Smalczyk wegetariański – Primavika Sp. z o. o.
- 18 System energooszczędnych zewnętrznych drzwi kompozytowych – Przedsiębiorstwo Wielobranżowe VIKKING KTS sp. z o. o.
- 19 Victoria CYMES, sok marchwiowy, sok marchwiowo-selerowy, sok jabłkowy – VICTORIA CYMES sp. z o. o.
- 20 Technologia LSA do przetwarzania popiołów i innych surowców odpadowych – LSA sp. z o. o.

świecie – mówił podczas ubiegłorocznej gali 100% Polski Produkt Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”. – A ta nagroda udowadnia, że polskie produkty są świetne i wygrywają międzynarodową konkurencję.

I tym razem – tak jak w poprzednich latach – firmy zgłosiły produkty z rozmaitych branż: budowlanej, spożywczej i medycznej. Spośród tych zgłoszeń wyłoniono 20, które zakwalifikowały się do walki o nagrodę główną. Niebawem podczas uroczystej gali jedna z tych firm otrzyma wyróżnienie 100% Polski Produkt. Po kilkanaście zgłoszeń zakwalifikowano do pozostałych kategorii konkursowych. Oprócz nagrody głównej przyznane zostanie też wyróżnienie dla produktu wprowadzonego na rynek w tym roku – „100% Polski Produkt. No-

wość 2018”. Jeden z produktów polskich firm uhonorowany zostanie za najbardziej innowacyjne rozwiązanie – „100% Polski Produkt. Najbardziej Innowacyjny Produkt”.

NOWE KATEGORIE

Nowością w tym roku będą dwie kolejne kategorie. Uznaliśmy bowiem, że na oddzielne wyróżnienie zasługują polskie firmy, które prężnie konkurują z całym światem na polu usług. W wielu branżach, np. IT, polskie usługi są świetnie rozpoznawane i cenioną marką. Olbrzymie koncerny globalne powierzą polskiemu centrum obsługi swoich procesów. Jury przyzna więc w tym roku nagrodę „100% Polska Usługa”.

Drugą nową konkursową kategorią będzie „100% Polska Marka”. To nagroda

specjalna, którą jury zdecydowało się przyznać polskiej firmie w roku 100. rocznicy odzyskania niepodległości.

Galę wręczenia nagród 100% Polski Produkt odbędzie się 28 listopada o godz. 19 w hotelu Polonia Palace w Warszawie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNER RAPORTU 100% POLSKI PRODUKT





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto „bierze L4”,
kto „idzie na L4”

W języku polskim występuje pewien szczególnie związzek frazeologiczny, który wiele – wiele złego – mówi o nas, Polakach. Chodzi mi o zwroty „wziąć L4” i „wziąć zwolnienie (lekarskie)”, a także „pójść na L4” i „pójść na zwolnienie (lekarskie)”. Czyli o sformułowania, które, obawiam się, nieprzypadkowo brzmią po polsku tak podobnie, wręcz bliźniaczo, do określeń „wziąć urlop” czy „pójść na urlop”, choć przecież oznaczają – a raczej oznaczać powinny – coś odmiennego. O ile bowiem można „wziąć urlop” czy „pójść na urlop”, o tyle już trudno „wziąć zwolnienie (lekarskie)” czy „pójść na zwolnienie (lekarskie)”, bo trafiać się na nie powinno wyłącznie wtedy, gdy się zostanie wysłanym na nie przez lekarza – w związku z chorobą, na którą zapadliśmy.

Ostatnio sformułowania te szczególnie często pojawiały się w kontekście policjantów, a nieco wcześniej pracowników LOT, którzy nagle – czego nawet specjalnie nie ukrywano – w związku z toczonymi sporami zbiorowymi z pracodawcami zaczęli masowo nie przychodzić do pracy, zasłaniając się zwolnieniami wystawionymi im przez lekarzy (rzecz jasna, zarzut ten nie dotyczy naprawdę chorych). Czyli „brali L4” – jak o tym bez większego zażenowania mówili zarówno szefowie MSW, jak i związkowcy. W przypadku policjantów zaczęło się nawet – a jakże, prześmiewczo, hi, hi, hi, ha, ha, ha – mówić i pisać o fali „psiej grypy”. A przecież ta ich

„prześmieszna” operacja doprowadziła do tego, że trzeba było zamykać całe posterunki i komisariaty policji lub poszczególne wydziały, w wielu czynnych utrzymywano szcztątkową obsadę, nie patrolowano miast, a kierowcom, którzy stali się uczestnikami kolizji drogowej, radzono, by „dogadywali się sami”.

Jak wspominałem, szefowie resortu spraw wewnętrznych, a więc odpowiedzialnego za przestrzeganie prawa, zdawali się zupełnie nie reagować na tę bezprecedensową akcję, a minister Joachim Brudziński po prostu oznajmił: „Funkcjonariuszom, którzy się pochorowali, chciałbym, bez żadnej złośliwości, szczerze i z całego serca życzyć szybkiego powrotu do zdrowia”. I tylko gdzieś tam, nieśmiało jeden wicepremier Jarosław Gowin zaooponował, że „zwolnienia lekarskie, na które w ostatnim czasie poszła część policjantów, powinny być sprawdzone przez ZUS”. Inna sprawa, że proceder ten wystawia równie fatalne świadectwo tym policjantom, pracownikom LOT i pozostałym, którzy się do niego uciekają, co lekarzom, którzy im „lewe” zwolnienia wystawiają.

Po trzech dekadach powolnego, ale jednak powrotu do normalności, trudno o skłonność do tego rodzaju postępów, będących schedą po PRL, posądzać większość rodaków. Wszelako niedawne wydarzenia dowodzą, że od pełnej normalności w tej sprawie dzieli nas jeszcze prawdziwa przepaść. Która kosztuje nas wszystkich co roku, jak się szacuje, 1,5 mld zł. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Cyfrowy
bliźniak

Każdy z nas ma bliźniaka, chociaż nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. To cyfrowy bliźniak. Pojęcie „cyfrowy bliźniak” jest wykorzystywane w Internecie rzeczy oraz sztucznej inteligencji i oznacza bardzo dokładny cyfrowy model rzeczywistości.

Na przykład Rolls-Royce stosuje model cyfrowego bliźniaka do testów produkowanych silników lotniczych, co pozwala przyspieszyć prace i ograniczyć koszty. Przede wszystkim jednak pozwala przewidzieć przyszłość. Jeżeli testy wytrzymałości silnika, np. na uszkodzenia wentylatora podczas lotu, przejdą pozytywnie na cyfrowym bliźniaku, to wówczas w rzeczywistości też tak będzie z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością.

Zaawansowane technologicznie firmy budują cyfrowe bliźniaki dla procesu produkcji, dla analizy funkcjonowania swoich produktów na rynku. Takie modele pozwalają przewidzieć, że niedługo jakaś część w konkretnym produkcie się zepsuje, i wtedy wysłać się serwis, zanim usterka się pojawi. Co oczywiście zwiększa satysfakcję klienta i pozwala osiągać wyższe marże i zyski. W nieodległej przyszłości większość urządzeń, których używamy, będzie zanurzona w Internecie rzeczy i będzie funkcjonowała w ramach modelu cyfrowego bliźniaka. Nasze dzieci i wnuki nie będą wiedziały, co to jest zepsuty samochód lub uszkodzona lodówka, ponieważ konieczne działania serwisowe będą po-

dejmowane, zanim urządzenie się zepsuje.

Ludzie również mają cyfrowych bliźniaków. To cyfrowy ślad, który pozostawiamy w Internecie, w różnych bazach danych, np. nasze transakcje kartowe lub przelewy, historia kredytowa, nasza twarz sfilmowana przez kamery w metrze, na lotnisku, informacje o przebytych chorobach, lotach, pobytach w hotelach, oceny ze szkoły lub z uczelni, lista wykonanych telefonów etc.

Tych danych o każdym z nas jest olbrzymia ilość, one w sumie tworzą obraz naszego cyfrowego bliźniaka. Różnica z produktem firmy polega na tym, że firma w jednym miejscu zbiera wszystkie dane o funkcjonowaniu produktu, natomiast obraz naszego cyfrowego bliźniaka jest rozproszony w tysiącach miejsc. Jeżeli jednak zaczniemy integrować te dane, to wówczas wykorzystanie modelu cyfrowego bliźniaka pozwoli na przewidzenie tego, na co zachorujemy, czy popełnimy przestępstwo lub osiągniemy wybitne rezultaty w danej dziedzinie... A jeżeli model cyfrowego bliźniaka będzie wykorzystywał bardzo dużo danych, to wówczas prognozy będą się sprawdzały z wysokim prawdopodobieństwem.

Pytanie tylko, czy chcemy przewidywać naszą przyszłość kosztem całkowitej utraty prywatności. Chińczycy i Amerykanie odpowiedzieli twierdząco, Europejczycy jeszcze się wahają. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Poniedziałek - Czwartek
21:00



Rozmowa dnia

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

TEST „DO RZECZY”: OCZYSZCZACZ POWIETRZA PHILIPS AC2887

Ma opływowy, estetyczny wygląd, działa stosunkowo cicho i świeci na kilka fajnych kolorów – to największe zalety modelu AC2887. Niestety, urządzenie okazało się największym bblem, jaki do tej pory testowałem.

Liczne komunikaty o koszmarnie zanieczyszczonym powietrzu w okolicach największych polskich miast skłaniają do szybkiego zakupu oczyszczacza. Urządzenia tego typu działają dość podobnie: uzbrojone w zestaw filtrów – najczęściej wstępny, węglowy oraz HEPA – oczyszczają powietrze z pyłów zawieszonych, lotnych związków organicznych, sierści, pyłków, kurzu, a nawet z bakterii i wirusów. Niektóre oferują jeszcze możliwość sterowania za pomocą smartfona, jednocześnie nawilżają powietrze lub je jonizują (wszystkich tych funkcji testowany oczyszczacz Philipsa jest akurat pozbawiony).

Model AC2887 znanej holenderskiej firmy jest intuicyjny w obsłudze. Szkoda tylko, że dotykowe przyciski nie zawsze reagują na dotyk. Sprzęt wyposażony jest w trzy tryby pracy automatycznej: ogólny, tryb dla alergików oraz tryb „bakterie i wirusy”. Ma on też pięć trybów manualnych, m.in. nocny oraz turbo.

Niestety, w przeciwieństwie do wcześniej testowanych oczyszczaczy w przypadku tego modelu Philipsa trudno mi było odczuć zdecydowaną poprawę jakości powietrza.



Teoretyczną zaletą testowanego urządzenia jest numeryczny wskaźnik informujący o poziomie zanieczyszczeń, a także pierścień, którego kolor zmienia się w zależności od jakości po-

wietrza (niebieski to kolor czystego powietrza, a czerwony bardzo zanieczyszczonego).

Niestety, wskazania urządzenia potrafią zmienić się radykalnie bez żadnego powodu. To jeszcze można by przeżyć, gdyby nie to, że po czterech dniach od rozpoczęcia testu urządzenia wskaźnik PM 2.5 zaczął kompletnie wariować. Wskazania z 75 po kilku sekundach zmieniły się na 30, a po chwili wzrastały do 65. Po kilkunastu minutach działania oczyszczacza w małym pomieszczeniu przy zamkniętych oknach i włączonym trybie „turbo” poziom PM 2.5 szybko przekroczył 170, co statystycznemu Kowalskiemu mogłoby zmrozić krew w żyłach i zachęcić do kupna... konkurencyjnego oczyszczacza.

Jeszcze nigdy nie testowałem tak źle działającego urządzenia tak prestiżowej marki. Być może to tylko kwestia modelu lub wręcz problem konkretnego egzemplarza. Na podstawie własnych testów i doświadczeń ten oczyszczacz mogę jednak polecić osobom, które oczyszczacza tak naprawdę nie potrzebują i chcą mieć w domu ładny, świecący sprzęt, lub tym alergikom, którzy mieszkają bardzo blisko serwisu Philipsa i są na tyle zaprzyjaźnieni z jego pracownikami, że będą mogli w nim zamieszkać na kilka, kilkanaście dni, potrzebnych do zakończenia naprawy.

Cena: 1590 zł. ©©

Jacek Przybylski

POWRÓT PO LATACH

Czas zabawek i gadżetów dla maluchów nadchodzi. Znaczący – idą święta Bożego Narodzenia, a to oznacza, że producenci i konstruktorzy „elektronikaliów” będą chcieli opchnąć promocyjnie starocie, za to konstruktorzy gier, zabawek i różnych takich dla naszych milusińskich silą się na coraz atrakcyjniejsze albo chociaż zabawne projekty.

Na przykład takie jak nowa wersja popularnego w latach 90. Gurgling Gutza, czyli antystresowej piłeczki wydającej rozmaite dźwięki i wyglądającej jak ludzki organ: mózg, serce, żołądek albo gałka oczna. Zabawka wytwarzała guturalne bulgoczące odgłosy, gdy była ściśnięta, ponieważ płyn pulsował w wielu zagłębieniach i otworach gumowych organów.

Prawda, że znakomity prezent na święta? No dobrze, żartowałem z tym „znakomity”, ale na Zachodzie już sama zapowiedź wywołała żywe zainteresowanie młodszej młodzieży. Zwłaszcza że wracające po prawie 30 latach Gurgling Gutz są jeszcze bardziej krwawe, jeszcze bardziej odrażające i jeszcze bardziej piszcząco-bulgoczące.

Zabawka droga nie jest, kosztuje ok. 70 zł. Zamawiać ją można na Kickstarterze.



COŚ DLA MŁODSZYCH

Albo przynajmniej nieco bardziej normalnych, niemających inklinacji do naciśnięcia imitacji brzucha w celu sprawdzenia dźwięków, jakie wydaje. Dla nich na rynek wchodzi Scout – galaktyczny zwiadowca, czyli interaktywny robot, który może być świetnym towarzyszem do nauki i najlepszym przyjacielem. Generalnie specjalnością Scouta jest badanie galaktyki i to właśnie gry oraz opowieści z tym związane, ale także odpowiedzi na konkretne pytania, to jego podstawowe funkcje. Scout sprawdzi

się także w roli opiekunki, która zapamięta imię dziecka, wyczuje w tembrze głosu zmianę nastroju i opowie w razie potrzeby dowcip lub bajeczkę. Jako przybysz z kosmosu robot nie wie wszystkiego, bo na naszej planecie jest on przecież nowy, więc co jakiś czas prosi dziecko, aby go czegoś nauczało, co pozwala ćwiczyć umiejętności komunikacyjne i pokazuje, jak maluch opanował różne obszary tematyczne.

Niestety, jeśli robot miałby być prezentem na święta, to najwcześniej na przyszłoroczne Wielkanocne. Na Kickstarterze kosztuje ok. 350 zł. Dostawa w kwietniu. ©©

Wojciech Wybranowski

Agnieszka Radwańska przeniosła kibiców z Polski na największe arenę świata. Jak szybko doczekamy się Polki lub Polaka tak wysoko w rankingach?

Ma 29 lat, majątek wart ponad 100 mln zł, od roku męża (33-letniego sparingpartnera i drugiego trenera – Dawida Celta) i napisała na Facebooku, że ma już dość zawodowego tenisa. „Nie jest mi z tym łatwo. W głowie jeszcze tyle wspomnień, emocji zwycięstw, tych dwudziestu zdobytych turniejów i tych blisko sześciuset wygranych meczów. Niestety nie mogłam już trenować jak dawniej, a organizm i tak coraz częściej odmawiał posłuszeństwa. W trosce o swoje zdrowie, z pełną świadomością obciążenia, jakie niesie rywalizacja na tak wysokim poziomie, nie jestem już w stanie zmobilizować swojego organizmu do jeszcze większej eksploatacji” – wyznała Agnieszka Radwańska.

Jak ocenić te jej 13 lat na kortach? Można marudzić – że skończyła karierę przed trzydziestką, a Roger Federer ma 37 lat i wciąż gra (może już nie tak jak dawniej, ale wciąż jest na topie). Można też zauważyć, że latami zachwycaliśmy się Isią, a przecież nie wygrała ani jednego z najważniejszych turniejów Wielkiego Szlema. Była pięć razy w czwartych rundach US Open, w ćwierćfinale Roland Garros (2013), dwukrotnie w półfinale Australian Open (2014, 2016) i raz w finale Wimbledonu, gdzie przed sześciu laty uległa Serenii Williams.

No dobrze, ale czy to naprawdę mało? Móc kibicować Polce, która pokazała, że ma potencjał, by walczyć o zwycięstwa w wielkich



FOT. ANTHONY ALVING/GETTY IMAGES

turniejach? Takiej, która była numerem dwa w rankingu WTA (w roku wielkiego finału na Wimbledonie)?

Przypomnijmy sobie, kiedy przed Radwańską mogliśmy oglądać reprezentantkę lub reprezentanta naszego kraju w zmaganiach z najlepszymi

tenisistami na świecie. Czy nie była to, niestety, epoka Wojciecha Fibaka? I czy – z całym szacunkiem dla naszej tenisowej legendy – pamiętamy, że w latach 70. i 80. ubiegłego wieku on też nie sięgnął nigdy po najwyższe miejsce w Wielkim Szlemie?

Agnieszka Radwańska, trenowana przez ojca, rozpoczęła dla nas nową epokę – krakowskiego tenisa. Można chyba przyjąć, że już od 2005 r., gdy wygrała juniorski Wimbledon. Po Fibaku, a przed nią mieliśmy przebłąski, mgnienia zawodników, ale dopiero ona wyrównała do największych swojego czasu.

Jej styl – pełen finezyjnych zagrań, mądrych decyzji – przestał przystawać do współczesnego żeńskiego tenisa, w którym rozepchała się odrobinę siła. To prawda, że Isia nie poruszała się tak lekko na korcie ani nie grała z taką techniką jak choćby Justine Henin. Ale też nie uderzała piłek z prawdziwie męską siłą jak Serena Williams.

Zdumiała nas kilka razy. Gdy wyemancypowała się spod ojcowskiej trenerskiej ręki i wiadomo było już publicznie, że ich relacja jest trudna. Jednak to wtedy wydarzył się finał Wielkiego Szlema. W kategoriach sportowych decyzja była więc słuszna. Ojciec chyba długo nie mógł jej tego darować. Nie szczędził jej gorzkich słów po porażkach. Musiała z tym żyć. Postawiła na Tomasza Wiktorowskiego. Potem także – choć jak się okazało, na bardzo krótko – na Martinę Navrátilovą.

Innym razem wzbudziła kontrowersje, gdy po słabym występie na olimpiadzie w 2012 r. – a tamtego roku kibice naprawdę mieli powód, by liczyć na medal – stwierdziła, że igrzyska to nie jest najważniejszy dla tenisisty turniej. I przecież miała rację.

Smutek z zakończenia tej kariery jest podwójny. Na horyzoncie nie ma na razie nikogo, kto szybko zastąpi Agnieszkę Radwańską na głównych kortach. Rozpałił nas i spłonął jak meteor Jerzy Janowicz. Przebija się do sławy Hubert Hurkacz, puka tam też Iga Świątek. Potrzebują jednak jeszcze trochę czasu. ©

Łukasz Zboralski



FOT. ADRIAN STOLK

Skuteczna walka ze smogiem

W Polsce, według szacunków podawanych przez Polski Alarm Smogowy, co roku z powodu smogu umiera przedwcześnie ponad 40 tys. osób.

W tej sprawie niemal każdy z nas może coś zrobić, ponieważ na poziom zanieczyszczenia powietrza mają wpływ codzienne aktywności – głównie sposób ogrzewania domów. Dlatego w walce ze smogiem liczy się działanie każdego z nas i szerzenie wiedzy na ten temat. Z tą myślą powstała Edukacyjna Sieć Antysmogowa (ESA), w ramach której NASK Państwowy Instytut Badawczy instaluje na szkołach czujniki mierzące stężenie trującego pyłu PM_{2,5} i wyświetlacze informujące o jego wartości. Jednak – co najważniejsze – promuje wśród nauczycieli, uczniów i społeczności lokalnych wiedzę o sposobach ograniczania zanieczyszczeń. W projekt ESA zaangażowało się PZU, przekazując kwotę 200 tys. zł.

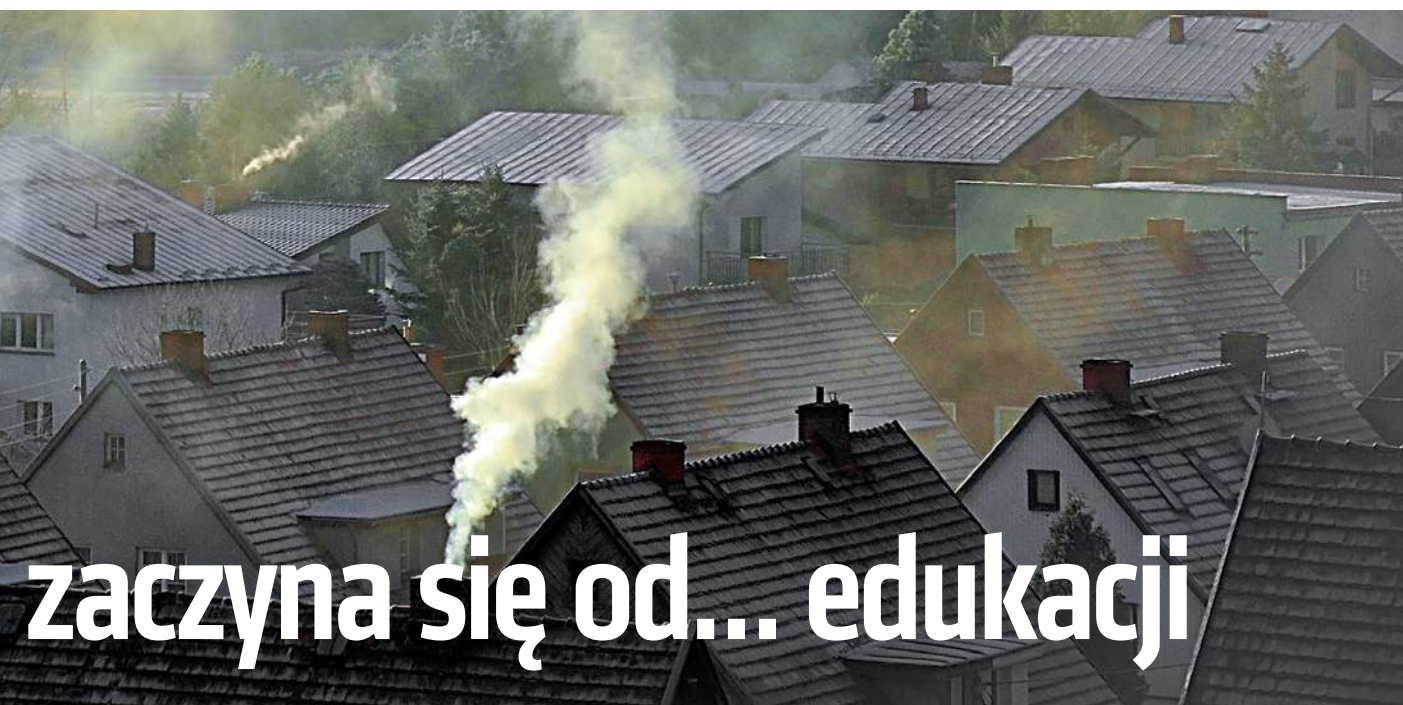
Jak co roku na jesieni, również teraz Polska zaczyna spowijać się smogiem. Pogorszenie się jakości powietrza wpływa na pogorszenie zdrowia. Drobną pył, krążącą w powietrzu, powoduje zaburzenia w układzie oddechowym, nerwowym i układzie krążenia, a trujący benzo(a)piren działa silnie rakotwórczo. Chociaż problem istnieje od wielu lat, to dopiero niedawno zaczęliśmy mówić o nim głośno. Jak każdy poważny

problem społeczny, smog ma szansę być ograniczony dopiero wtedy, kiedy większość mieszkańców naszego kraju uświadomi sobie powagę sytuacji i zacznie przeciwdziałać powstawaniu zanieczyszczeń. Stąd w oparciu o możliwości technologiczne NASK inicjatywa naszych działań informacyjno-edukacyjnych w tym obszarze – wyjaśnia Wojciech Racięcki, dyrektor Pionu Sieci Edukacyjnych w NASK PIB.

Działania są pilnie potrzebne. Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) spośród 50 najbardziej zanieczyszczonych miast w Unii Europejskiej aż 36 znajduje się w Polsce. Aż siedem jest w pierwszej dziesiątce, razem z trzema miastami bułgarskimi. Wśród miast w Polsce listę otwierają Opoczno, Żywiec i Rybnik, potem na kolejnych miejscach są Pszczyna i Kraków. W pierwszej dwudziestce najbardziej zanieczyszczonych miast 15 jest w Polsce. Wbrew powszechnemu myśleniu duże miasta nie są najgorszymi miejscami w naszym kraju, gdzie jesienią i zimą najtrudniej się oddycha. W Tomaszowie Mazowieckim stężenie rakotwórczego benzo(a)pirenu średnio przekracza 15-krotnie normy wyznaczone przez WHO jako bezpieczne dla zdrowia.

Walka ze smogiem to szczególne wyzwanie – wymaga nie tylko odpowiednich regulacji na poziomie prawa, lecz także przede wszystkim zmiany postawy mieszkańców. Tylko świadome działanie zwykłych ludzi ma w przypadku smogu szansę przełożyć się na realną poprawę sytuacji. W Polsce główną przyczyną smogu jest tzw. niska emisja, czyli – krótko mówiąc – dym z domowych pieców i kominów (ponad 52 proc.), istotny wpływ ma też transport drogowy (ponad 10 proc.). Na jakość powietrza wpływa więc indywidualna i świadoma decyzja każdego z nas, czyli wybór sposobu ogrzewania domu czy wybór środka komunikacji. Ocieplenie domu i ogrzewanie go gazem lub pompą ciepła, rezygnacja z samochodu na rzecz transportu zbiorowego to decyzje, które znacząco mogą zmienić sytuację

Zagrożenie zdrowotne, wynikające z korzystania z pieców starego typu, tzw. kopciuchów, jest bardzo poważne. Wraz z dymem z kominów unosi się drobny pył, który nazywamy pyłem zawieszonym, ponieważ długo unosi się w powietrzu. Wdychanie zanieczyszczonego pyłem powietrza powoduje choroby układu oddechowego, układu krążenia i układu nerwowego. Ponadto spalanie węgla lub drewna w piecach czy kominach niespełniających odpowiednich norm (spalanie w niskich temperaturach) doprowadza do emisji rakotwórczej



zaczyna się od... edukacji

substancji o nazwie benzo(a)piren, takiej samej, jaka znajduje się w dymie z papierosów. Niestety, dziś terytorium całej Polski jest zanieczyszczone benzo(a)pirenem. Wszyscy doznajemy szkód zdrowotnych takich samych jak wypalanie od kilku do nawet kilkunastu papierosów dziennie. Najbardziej szkodliwe jest to dla dzieci, kobiet w ciąży, osób starszych i przewlekle chorych – wyjaśnia Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU. Jak dodaje, w przypadku „niskiej emisji”, osoby korzystające z pieców i kominków niespełniających odpowiednich norm dosłownie trują samych siebie i swoich najbliższych, ponieważ wydobywający się z komina dym zalega w okolicy. Im więcej osób uświadomi sobie ten fakt, tym lepiej będzie się nam wszystkim oddychało. Dlatego warto zrobić wszystko, aby edukować społeczności szkolne: rodziców, młodzież i dzieci oraz całe społeczności lokalne – podkreśla Marek Baran.

Największy wpływ na jakość powietrza ma w naszym kraju to, jak ogrzewane są domy. Według Polskiego Alarmu Smogowego ponad połowa pyłu zawieszonego PM10, znajdującego się w naszym powietrzu, pochodzi z domowych pieców. Z nich też wydobywa się aż 87 proc. benzo(a)pirenu.

Program informacyjny Edukacyjna Sieć Antysmogowa zainicjował NASK Państwowy Instytut Badawczy, który jest operatorem rządowego programu OSE

(Ogólnopolska Sieć Edukacyjna), w ramach którego w ciągu dwóch lat wszystkie szkoły w Polsce uzyskają dostęp do bezpłatnego, szybkiego i bezpiecznego Internetu. W ramach OSE instytut rozwija współpracę w placówkami edukacyjnymi i organami prowadzącymi szkoły. Jedną z dodatkowych inicjatyw, realizowanych w oparciu o tę współpracę, jest właśnie Edukacyjna Sieć Antysmogowa. Szkoły biorące udział w programie są wyposażane w czujniki pomiaru stężenia zanieczyszczeń. Na budynku instalowany jest również wyświetlacz prezentujący na bieżąco wyniki odczytów. Na stronie internetowej programu ESA można zobaczyć odczyty ze wszystkich, zainstalowanych dotąd czujników i sprawdzić jakość powietrza w ich okolicy. Edukacyjna Sieć Antysmogowa to formuła przekazywania rzetelnej wiedzy w formie przystępnej i użytecznej dla uczniów oraz ich rodziców. Stała obecność ekranów przed szkołą umożliwia obserwowanie na bieżąco zmian w jakości powietrza. To pozwala ostrzegać lokalną społeczność przed zagrożeniem w dniach, kiedy stężenie szkodliwych substancji jest szczególnie wysokie. W takich sytuacjach zalecane jest ograniczenie czasu przebywania na zewnątrz, zwłaszcza dzieci nie powinny wychodzić na spacer i zabawę poza domem. Nie należy też wietrzyć mieszkania.

Najważniejszym elementem ESA jest edukacja. W ramach programu

ESA – PZU prowadzone są szkolenia dla nauczycieli, dystrybuowane są materiały dydaktyczne, scenariusze lekcji i karty pracy dla uczniów oraz plakaty informacyjne, a także materiały edukacyjne dla rodziców. Planowane są również spotkania ze społecznościami lokalnymi każdej z miejscowości objętej programem. Materiały edukacyjne oraz informacje na stronie internetowej powstały ze wsparciem merytorycznym ekspertów z Polskiego Alarmu Smogowego, którzy od lat z sukcesem działają na rzecz poprawy jakości powietrza w Polsce. Cieszymy się, że w rozwój tego programu zaangażował swoje środki PZU. Wiemy, że podejmowanie działań na rzecz czystego powietrza leży w naszym wspólnym interesie. Aktualnie dzięki współpracy z PZU zakupione zostały czujniki zanieczyszczenia i wyświetlacze jakości powietrza, które już instalowane są w 29 szkołach mieszczących się na terenie 36 najbardziej zanieczyszczonych gmin w Polsce – mówi Wojciech Racięcki z NASK PIB. Jak twierdzi, instytut planuje dalszy rozwój programu, który cieszy się dużym zainteresowaniem ze strony szkół i społeczności. We współpracy z nauczycielami cały czas powstają nowe materiały edukacyjne, organizowane są warsztaty dla rodziców i mieszkańców gmin, a także konkursy tematyczne dla uczniów.

Odra na Pomorzu (Kwidzyna, Gdańsk), Mazowszu (Warszawa, Pruszków), Mazurach (Ostróda), Lubelszczyźnie – można się spodziewać, że ognisk epidemicznych pojawi się więcej. Liczba zachorowań w Polsce rośnie: w 2010 r. było ich 17, w 2014 – 100, w 2016 – 130, do początku listopada 2018 – 128. – Nie da się przewidzieć miejsc, w których wystąpi kolejne ognisko epidemiczne – mówi dr n. med. Iwona Paradowska-Stankiewicz, krajowy konsultant w dziedzinie epidemiologii.

Jarosław Pinkas, główny inspektor sanitarny, apeluje o zaszczepienie tych dzieci, których rodzice odmawiali szczepienia przeciw odrze lub odwlekali je. Pierwsza dawka jest obowiązkowa w 13. miesiącu życia, druga w obecnym kalendarzu szczepień przypadała na 10. rok życia, ale z powodu sytuacji epidemiologicznej została przesunięta o cztery lata wcześniej od 2019 r. Jednak nie tylko dzieci powinny zostać zaszczepione. Nie wszyscy dorośli są uodpornieni. Obowiązkowe szczepienia przeciw tej chorobie w Polsce rozpoczęły się w 1975 r., tak więc osoby urodzone wcześniej – jeśli nie chorowały – mogą dziś być nią również zagrożone. Z kolei urodzeni między 1975 a 1991 r. dostali tylko jedną dawkę szczepionki, co nie w pełni chroni przed zachorowaniem. – Doradzam, żeby te osoby zbadały się, czy mają przeciwciała. Jeśli nie, to wówczas najlepiej się zaszczepić – przekonuje dr Michał Sutkowski z Kolegium Lekarzy Rodzinnych.

Po informacjach z listopada o zachorowaniach w podwarszawskim Pruszkowie i na Pomorzu część rodziców zdecydowała się na zaszczepienie dzieci. Nie wszyscy jednak. Przeciwnicy szczepień nie wierzą w zagrożenie odrą.

BŁAHA CZY ŚMIERTELNA

Na forum stowarzyszenia Stop NOP pełno jest wpisów, że za wszystkim stoi „big farma” i producenci szczepionek, którzy chcą pozbyć się zapasów. Jerzy Zięba, guru antyszczepionkowców, na swoim profilu przekonuje wprost, że odra to błaha choroba. – Błaha? – dziwi się prof. Włodzimierz Gut z Państwowego Zakładu Higieny, ekspert ds. wirusologii. – Umiera jedna osoba na 1 tys. chorujących. Niebezpieczne mogą być też powikłania, jednym z nich jest podostre stwardniające zapalenie mózgu. Choroba może ujawnić się nawet po latach. Wirus przedostaje się do mózgu i systematycznie go niszczy. Mózg rozpada się tak jak przy chorobie Alzheimera – tłumaczy

Nie tylko odra



Katarzyna Pinkosz

Projekt znoszący obowiązek szczepień przepadł w Sejmie, a niedawne ogniska odry spowodowały, że część rodziców, którzy do tej pory nie zaszczepili dzieci, zdecydowała się to zrobić. Czy szczepienia wrócą do łask?



prof. Gut. Przed 1975 r. na odrę w Polsce chorowało rocznie 200–300 tys. dzieci (a 200–300 z nich umierało). To, że dziś zachorowania liczymy na dziesiątki i setki, a nie na tysiące, jest zasługą powszechnych szczepień. Na razie powrót do takiej sytuacji nam nie grozi, jednak trzeba się liczyć ze wzrostem liczby zachorowań. Poziom wyszczepienia w 2017 r. wynosił 94 proc. pierwszą dawką, a 93 proc. drugą, podczas gdy zalecany przez Światową Organizację Zdrowia wynosi 95 proc.

Doktor Paradowska-Stankiewicz jest przekonana, że obecne zachorowania na odrę zostały spowodowane przez wirusy „przywleczone” z zagranicy, na co wskazuje to, iż ogniska epidemiczne pojawiają się w różnych regionach. Od stycznia 2018 r. zachorowało na Ukrainie już ponad 35 tys. osób, a 15 zmarło. Tylko w ostatnim tygodniu doszło tam do 1,5 tys. zachorowań, a ministerstwo zdrowia wciąż apeluje o szczepienie, bo bez tego nie uda się

zatrzymać rozprzestrzeniania się choroby. Jednak wirusa odrę można też „przywieźć” z innego kraju, gdzie zachorowań jest dużo, np. z Włoch, Francji, Niemiec, Grecji, Rumunii i Serbii. – Są u nas też szczepcy odrę z Tajlandii, więc nie można mówić, że przyczyna zachorowań to dwa lub trzy kraje europejskie – przekonuje prof. Gut.

Już kilka miesięcy temu pojawiły się pomysły, żeby każdą osobę przyjeżdżającą do Polski z krajów, gdzie jest dużo zachorowań, sprawdzać, czy była szczepiona. – To trudne do wprowadzenia. Warto jednak rozważyć realizację, nawet ze wsparciem państwa, obowiązku szczepień ochronnych u obcokrajowców, którzy przebywają na stałe lub pracują na terenie Polski, a nie byli szczepieni – mówi Krzysztof Kwiatkowski, prezes Najwyższej Izby Kontroli (NIK w ostatnich dwóch latach przygotowała dwa raporty dotyczące szczepień, wskazując na błędy w ich realizacji).



FOT. AGENCE FRANCE PRES

Wirus ospy tylko w laboratorium

Jedyną chorobą, którą jak dotąd udało się eradykować dzięki szczepieniom, jest ospa prawdziwa. Jej wirusy są przechowywane w czterech laboratoriach na świecie (mogą być użyte do wytworzenia szczepionek, gdyby pojawiły się zachorowania). Większość osób nie ma już odporności przeciw ospie prawdziwej.

Oczywiście gdyby wszyscy w Polsce byli zaszczepieni, nie dochodziłoby do rozprzestrzeniania się choroby. Napływ nieszczepionych osób z zagranicy oraz to, że coraz więcej rodziców w Polsce odmawia szczepień, mogą spowodować, że zachorowań będzie coraz więcej. Nie tylko zresztą na odrę. – To choroba o bardzo dużej zakaźności, dlatego gdy spada liczba

osób zaszczepionych, jako pierwszy pojawia się problem odrę. Jednak w ostatnich latach mamy też coraz więcej zachorowań np. na wirusowe zapalenie wątroby typu A. W 2016 r. zachorowało w Polsce tylko 35 osób, jednak w 2017 r. już ponad 3 tys. – dodaje dr Paweł Grzesiowski, pediatra kierujący konsultacyjnym punktem szczepień w Centrum Medycznym „Żelazna” w Warszawie. Rośnie też liczba zachorowań na krztusiec.

KONTRA ANTYSZCZEPIONKOWCÓW

Powszechne szczepienia powodują nie tylko to, że osoba zaszczepiona nie choruje, lecz także to, że wirus (lub bakteria) przestaje się rozprzestrzeniać. Dzięki szczepieniom w 1980 r. WHO ogłosiła eradykację (wykorzeniecie) ospy prawdziwej (ostatnia epidemia w Polsce przypadła na 1963 r., kiedy to przez kilka tygodni Wrocław był otoczony kordonem sanitarnym).

– Na przełomie XX i XXI w. byliśmy o krok od eradykacji polio, a wydawało się, że ok. 2010 r. nie będzie już odrę. Tymczasem zachorowania na polio są, a w przypadku odrę w wielu krajach mówi się już o epidemii – mówi dr Paweł Grzesiowski. – Nikt nie przewidział, jakie konsekwencje będzie miało opublikowanie w opiniotwórczym piśmie „The Lancet” w 1998 r. artykułu Andrew Wakefielda, który udowodnił, że szczepionka MMR (odra, świnka, różyczka) powoduje autyzm – dodaje dr Grzesiowski.

Artykuł zapoczątkował powstanie ruchu antyszczepionkowego. Nie pomogło to, że po kilku latach „Lancet” wycofał artykuł, autora pozbawiono prawa wykonywania zawodu w Wielkiej Brytanii, a wieloletnie badania wykluczyły, że szczepienia są przyczyną autyzmu. Antyszczepionkowcy twierdzą, że wszystkie były opłacane przez koncerny farmaceutyczne. Są też przeciwni np. obowiązkowym szczepieniom przeciw gruźlicy, szczególnie w pierwszych dniach życia dziecka. – Rezygnacja ze szczepień masowych i przejście tylko na szczepienia wybranych grup mogłyby nieść ryzyko zwiększenia liczby zachorowań – mówi prof. Maria Korzeniewska-Koseła, kierownik Zakładu Epidemiologii i Organizacji Walki z Gruźlicą Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie. Szczepionka BCG zapobiega ciężkim postaciom gruźlicy u dzieci.

Rodzice w Polsce są dziś mocno podzieleni. Zdecydowana większość szczepi zgodnie z obowiązkowym kalendarzem, a często podaje też zalecane preparaty. Jednak coraz więcej rodziców odmawia szczepień. – W 2013 r. było 7,2 tys. odmów, a w 2017 r. aż 30 tys. To wzrost aż o 400 proc. – mówi dr Michał Sutkowski. Co pewien czas pojawiają się pomysły mające na celu skłonić nieprzekonanych rodziców do szczepień (np. żeby nieszczepione dzieci nie były przyjmowane do publicznych żłobków i przedszkoli, rodzice nie dostawali dodatku „500+” albo opłacali koszty leczenia, jeśli dziecko zachoruje). Większość nieszczepiających rodziców to osoby wykształcone, dbające o dzieci i chcące dla nich jak najlepiej. Może więc się okazać, że dopiero wzrost liczby zachorowań skłoni je do zaszczepienia.

– Większość rodziców odmawiających szczepień to nie są antyszczepionkowcy. Boją się o dziecko i mają do tego prawo. Trzeba z nimi rozmawiać, tłumaczyć, tak jak przed każdym zabiegiem medycznym. Może to pomoże – mówi dr Grzesiowski.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ostatni toast Podkowy

Kozak Iwan Podkowa nabroił siła złego za króla Stefana Batorego, doprowadzając do konfliktu w relacjach polsko-tureckich. Wszystko zaczęło się zaś jesienią 1576 r. w Barze, kiedy do starosty Mikołaja Buczacznego zgłosił się Kozak podający się za Iwana Wołoszyna, przyrodniego brata zamordowanego hospodara mołdawskiego Jana III Srogiego, znanego również jako Iwonina. Ukazał listy wzywające go na tron i opatrzone pieczęciami licznych bojarów. Jednak Buczacki nie uległ wpływowi Wołoszyna, przeciwnie – wygnał go ze starostwa. Podkowa powędrował zatem do Braclawia, gdzie zaraz uzyskał posłuch u wojewody Janusza Zbaraskiego oraz wsparcie szlachcica Stanisława Kopyckiego, który pomógł mu zwerbować w Niemirowie 600 Kozaków. Pod koniec grudnia 1576 r. przekroczyli Dniestr i uderzyli na Mołdawię, odnosząc porażkę. Pobicci, wrócili do Niemirowa, gdzie zaraz Podkowa począł kreować się na prawdziwego następcę na hospodarskim tronie, werbować kolejnych Kozaków i zabijaków, którzy wyczuli dobrą sposobność do zwady i zdobycia łupów. Wspierany był oczywiście przez Zbaraskiego i innych kresowych panów, którym podobały się próby osadzenia w Mołdawii władcy przychylnego Rzeczypospolitej.

Nieprzychylny był temu jednak król Stefan Batory – raz, że nie szukał wojny z Turcją, dwa, że miał ważniejsze sprawy na głowie – trwającą wojnę w Moskwę. Wysłał zatem uniwersały do starostów i szlachty, napominając, aby odstąpili od Iwonina, a do Zbaraskiego – by wydał mu samozwańca. Na koniec wysłał chorągiew jazdy pod dowództwem Jeromonacha Boboleckiego, który jednak dotarł do Niemirowa i znajdując miasto dobrze ufortyfikowane i obsadzone, zawrócił z kwitkiem.



FOT. UNTERA.COM

Już jednak w listopadzie Iwonina wyruszył drugi raz do Mołdawii, pobił hospodara Piotra V Kulawego i zajął Jassy, w których ogłosił się władcą, przyjmując miano Jana Wody. O dziwo – Kozak na mołdawskim tronie zachowywał się inaczej niż poprzednicy, wśród których przeważali okrutnicy, szelmy lub wręcz szaleńcy. Nie ścinał przeciwników, wypuścił z lochu więźniów, nie nakładał rujnujących podatków, a nawet – O tempora, o mores! – nie gwałcił żon ani córek bojarów, od czego swoje porządki zaczynało wielu świeżych gospodarów.

Katastrofa przyszła w styczniu 1578 r. Przeciwno Janowi Wodzie wyruszył oddział wysłany przez brata króla Stefana, Krzysztofa, który zarządzał Siedmiogrodem. Na wieść o tym Podkowa razem ze swym kozackim atamanem Szachem zaczęli wycofywać się Dniestrem na Niemirow, gdzie czekał na nich stropiony Zbaraski, który miał już w ręku królewski nakaz pojmania watażki. Nie bardzo chcąc jednak zaczynać walkę z przeciwnikiem wyposażonym w armaty, zaprosił najpierw starszyznę na ucztę i nakłonił ją, aby zmusili samozwańca, by udał się do króla, pokłonił się mu

i uzyskał przebaczenie. Podkowa, zwany tak ze względu na siłę – tak wielką, że kruszył w rękach podkowy – się zgodził. Wyruszył – jak udzielny władca – do Warszawy, na sejm, po drodze pijąc i bratając się ze szlachtą. Batory jednak, jak mawiano w dawnej Polsce: „Kazał go wsadzić, żelazka dać na ręce i okowy na nogi, pilnie strzec”. Podkowa miał bowiem własną krwią utwierdzić Turków w przekonaniu, że Batory nie zamierza łamać układu pokojowego.

Na ścięcie król odesłał Kozaka do Lwowa. Przybył tam też turecki czausz, wściekły za naruszenie warunków pokoju, i wysłannik hospodara Piotra, który przywiózł ponoć dla króla dary – 50 wołów, cztery beczki wina, dwie solonych cytryn i pięknego rumaka.

Podkowa został zaprowadzony na szafot. Rozżalony, uczynił ze swej kaźni wielkie przedstawienie. Już wcześniej wymógł, aby nie wiązano mu rąk, teraz dał pokaz skrzywdzonej niewinności. „Panowie Polacy, idę na śmierć, nie wiem za co” – wykrzyknął. „Zawsze biłem się mężnie i po rycersku przeciwko nieprzyjaciółom imienia chrześcijańskiego”. Przed ścięciem poprosił o kielich wina, po czym wychylił nim zdrowie fundatora. Zobaczywszy zaś pęk słomy, na którym miał klęknąć, powiedział: „O Boże mój, czyliż nie godzien jestem uklęknąć na czymś lepszym od tego?!”. Po czym kazał, aby z jego rzeczy przyniesiono mu kosztowny turecki dywan.

Kiedy już klęknął, a cios nie padał, obrócił się do kata i spytał: „Co ty robisz?”.

„Panie – odrzekł kat – potrzeba suknie tak ułożyć, aby nie zawadzały”.

Na to Podkowa: „Bardzo dobrze”. Po czym sam podwinął kołnierz koszuli i nadstawił głowę. Był 16 czerwca 1578 r. ©©

ŚNIADANIE MINISTRÓW, CZYLI PORANEK KRZYSZTOFA JURGIELA

Kiedy jestem w domu, to na śniadania lubię przyrządzać zupy mleczne. Może nie jem ich codziennie, ale zdarza mi się dwa lub trzy razy w tygodniu tym posiłkiem rozpoczynać dzień. Wiem, że sporo osób ma niezbyt dobre wspomnienia z dzieciństwa związane z zupami mlecznymi, ale ja mam bardzo miłe. Zupa mleczna nie kojarzy mi się bowiem z jedzonym na siłę posiłkiem, lecz z bardzo smacznym śniadaniem podawanym przez mamę. Stawiam na klasykę – zupy mleczne jadam z makaronem lub z kaszą, czasem dodaję też odrobinę musli.

Zupa mleczna z kaszą jaglaną

Zupa mleczna może być posiłkiem na słodko lub wytrawnym, z różnymi dodatkami. Jedną z najpopularniejszych jest wersja z lanymi kluskami, na które ciasto przygotowujemy z mąki, jajek i wody, dodając szczyptę soli. Możemy też przygotować zupę na słojo z kupnym makaronem. Warta spróbowania jest mleczna z kaszą jaglaną, a przygotowuje się ją również bardzo prosto.

Składniki:

- 1 litr mleka
- 10 łyżek kaszy jaglanej
- ok. 5 łyżeczek cukru
- migdały (płatki)
- ulubione dodatki (np. posiekane orzechy, maliny, inne owoce)
- wanilia lub cynamon

Przygotowanie

Kaszę jaglaną przelewamy wrzątkiem, a następnie dokładnie odczdzamy i gotujemy na małym ogniu w jednej szklance

mleka (lub dwóch) pod przykryciem przez ok. 15 minut. Odstawiamy na kilka minut. W tym czasie mieszamy resztę mleka z cukrem, zalewamy nim kaszę i gotujemy dwie minuty. Doprawiamy wanilią lub cynamonem, a już do misek dorzucamy ulubione dodatki, np. płatki migdałów, siekane orzechy, maliny czy kawałki jabłek. ©©

oprac. raw

**Krzysztof Jurgiel jest
politykiem i samorządowcem,
był ministrem rolnictwa
i rozwoju wsi.**



FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dzieciaki, do rondla

Każdy, kto wpuszcza do kuchni dziecko, żeby pocwiczyło gotowanie (a zachęcają do tego pedagodzy), liczy się z tym, że przygotowanie obiadu potrwa ze trzy godziny, a po wszystkim mama będzie musiała posprzątać i uprać ubrania. Nie wiadomo zresztą, czy produkt końcowy będzie nadawał się do zjedzenia. O ile w ogóle do finału dojdzie i znudzone dziecko nie porzuci zabawy w obieranie, krojenie i smażenie.

Rodzice Flynna McGarry'ego nie mieli takiego kłopotu. Ich dziecko nie tylko już w wieku lat 10 gotowało smaczniej niż oni, lecz także w kuchni zachowywało się jak profesjonalista. Sytuacja nietypowa, ale też wszystko w tej historii odbiega od stereotypu. Jedyne, co wpisuje się w obecne nastroje, to to, że z latorośli wyrósł celebryta, który oblatuje teraz media, głównie jako bohater filmu, który nawet startuje w konkursie do ważnych nagród.

Więc od początku. Flynn McGarry urodził się w Nowym Jorku w roku 1998. W domu się nie gotowało. Każdy, kto tam był, wie, że wygodniej i często taniej jest w Nowym Jorku zjeść na mieście lub zamówić catering do domu.

Tak też było u państwa McGarrych, którym to nie przeszkadzało, za to dziecko było niezadowolone z takiego obrotu spraw. Mały Flynn postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Podszedł do tego profesjonalnie. Jak przystało na millenialsa, zaczął brać nauki z YouTube, z blogów, czasami też ze „starożytnej” li-



FOT. EUGENE COODURSKY/CITY IMAGES

teratury papierowej. W szczególności z książek Thomasa Kellera „The French Laundry Cookbook” z roku 1999, o dokonaniach szefa nowojorskiej restauracji French Laundry.

W przecuciu, że wychowują wunderkinda, i żeby miał on łatwiej, rodzice zainstalowali Flynnowi w sypialni kuchnię indukcyjną, parowar oraz grill binchotan – japoński grill na specjalny węgiel drzewny, charakteryzujący się tym, że nie wytwarza ani płomieni, ani dymu, za to gorąc daje taki, jakiego w piekle Dantego nie widzieli. Chłopiec spędzał tam cały czas, bo edukację odbywał metodą domową. W wieku 12 lat założył pierwszą restaurację. Była to Eureka w Los Angeles, z menu rozpoczynającym się od 160 dol. W międzyczasie pobierał nauki u kucharskich mistrzów Nowego Jorku. Wkrótce Eureka otworzyła swój oddział na Manhattanie.

Dziś 20-letni młodzieniec ma nie tylko słynne restauracje, ale nakręcono o nim film. Miał tylko problem ze zdobyciem licencji na alkohol w swojej knajpie, gdyż w Ameryce zakaz obejmuje młodzież do lat 21. Sprawę rozwiązano, załatwiając pozwolenie na pełnoletnią siostrę. Czego się nie robi dla celebryty. ©©

NASZ TEST: RENAULT TALISMAN INITIALE PARIS

Francuski sedan próbuje wywalczyć miejsce w klasie premium marce, która z rynkiem premium raczej się nie kojarzy. Klasyczne, harmonijne linie nadwozia, ładne, specjalnie zaprojektowane 19-calowe felgi czy intrygujący ciemnofioletowy lakier sprawiają, że jest to z pewnością najdostojniejsze auto spod znaku Renault. Jak dobrze wyglądający Francuz radzi sobie z konkurentami z segmentu D?

W KABINIE

Długi na 4449 mm i szeroki na 2081 mm Talisman oferuje pasażerom dużo przestrzeni. Jego zaletą jest też duży bagażnik o pojemności 608 l. Najważniejszym elementem nowocześnie wyglądającej deski rozdzielczej jest 8,7-calowy ekran dotykowy. Podobać może się też ogromny szyberdach.

drewniane wstawki etc. Niestety, czuć jednak, że jest to auto budżetowej marki z dużymi aspiracjami. Na przykład niektóre użyte plastiki potrafią ostro zaskrzypieć, przez co sprawiają wrażenie elementów wziętych prosto z tańszych modeli. Kłopot może sprawiać też nie zawsze do końca domykający się szyberdach, co po wjeździe na autostradę generuje nieprzyjemną dawkę hałasu. Oczywiście, zasłonięcie rolety pomaga, ale próba przekonania bogatszego klienta, że tak powinno być w limuzynie tej klasy, wymagałaby umiejętności retorycznych francuskiego ambasadora.

Różnie w Talismanie działa też elektronika. Na przykład samochód z gracją się otwiera, gdy tylko podchodzi do niego kierowca z kluczami, lub zamyka, gdy odchodzi. Fajne, gdyby nie to, że Francuz bywa nieco nadgorliwy. Jeśli więc najpierw otworzymy drzwi pięknej pasażerce, a następnie szybko przemknijemy na miejsce kierowcy,



wykonywanie manewrów na zatłoczonych parkingach.

Podczas testu Talisman spalał w cyklu mieszanym średnio 9,7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Renault Talisman otrzymał komplet pięciu gwiazdek, zdobywając 86 proc. i 84 proc. pkt za ochronę dorosłych pasażerów oraz dzieci, a także 68 proc. za ochronę pieszych.

Auto jest też wyposażone w wiele systemów, które mają zapobiec wypadkowi czy kolizji. Czujniki wykrywają więc samochody znajdujące się w strefie martwego pola, komputer zaalarmuje również w przypadku wykrycia ryzyka kolizji, a w razie gdy kierowca nie zareaguje, komputer sam zacznie wyhamowywać auto. Visio System rozpoznaje z kolei znaki drogowe i ostrzega o przekroczeniu prędkości, alarmuje w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa ruchu, a także automatycznie zmienia światła drogowe na mijania po wykryciu nadjeżdżającego z naprzeciwka auta.



Skórzane, wentylowane i podgrzewane fotele są wygodne. Opcja masażu jest jednak nie tylko głęboko ukryta w ustawieniach komputera, lecz także we francuskiej wersji może się spodobać jedynie tym, którzy nie próbowali jej w samochodach klasy premium konkurentów z Niemiec czy ze Szwecji.

Kabina w wersji Initiale Paris miała być w założeniu wykończona luksusowo: dużo skóry,

istnieje spore prawdopodobieństwo, że auto choć na krótki moment samo się zamknie.

JAZDA

Dwustukonny, turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 1,6 l rozpędza francuską limuzynę od zera do pierwszej setki w 7,6 s. Auto chętnie przyspiesza również przy prędkościach autostradowych. Wielu konkurentów jest jednak bardziej dynamicznych.

Na pochwałę zasługuje za to precyzyjny układ kierowniczy, dzięki któremu Talisman niczym wzorowy francuski lokaj grzecznie wykonuje wszystkie polecenia swego pana (lub swej pani). Zawieszenie jest stosunkowo miękkie i komfortowe. Auto jest też wyposażone w system czterech kół skrętnych, które ułatwiają

CENA

Najtańsze Renault Talisman kosztuje 122,5 tys. Francuska limuzyna w najbogatszej wersji wyposażenia Initiale Paris z napędem na jedną oś, benzynowym silnikiem i automatyczną skrzynią biegów to już wydatek co najmniej 154 tys.

KONKURENCI

Audi A4, BMW serii 3, Ford Mondeo, Kia Optima, Mazda 6, Mercedes klasy C, Opel Insignia, Škoda Superb, Toyota Avensis, VW Arteon, VW Passat. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Pod Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości

Concert de l'Indépendance de la **Po1**ogne

Koncert Niepodległości

2 grudnia 2018 roku, godz. 17:00
w Katedrze Św. Ludwika w Pałacu Inwalidów w Paryżu

koncert-niepodleglosci.pl
saisonmusicale.musee-armee.fr

**Kurpiński
Chopin
De Zeegant
Maksymiuk
Paderewski**

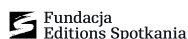
Partnerami projektu są: Ambasada Polska w Paryżu i Instytut Polski w Paryżu oraz Instytut Adama Mickiewicza w ramach programu Polska Music oraz programu Polska 100, międzynarodowego programu kulturalnego realizowanego dla uczczenia Stulecia odzyskania przez Polskę Niepodległości. Sfinansowano ze środków MKiDN w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA 2017-2022.

organizatorzy:

mecenas:

partnerzy:

patroni medialni:



eprasa.pl 228da01d64

ZŁY TYRMAND

Takiego marszu **jeszcze nie było**



MATTHEW TYRMAND

MARCIN MAKOWSKI: Byłeś na marszu z okazji 11 listopada organizowanym przez rząd, prezydenta i narodowców. Jakie wrażenia? Jądro ciemności? Największy na świecie złot neofaszystów?

MATTHEW TYRMAND: Gdybym czytał tylko relacje zagranicznych mediów, tak by to faktycznie wyglądało. Tymczasem brałem udział w ogromnym wydarzeniu, na które przyszło ponad 250 tys. osób. Skala była po prostu przytłaczająca. Starłem się zobaczyć jak najwięcej i wszędzie, od strony Al. Jerozolimskich, Nowego Świata, Kruczej, Marszałkowskiej – pełno było ludzi z biało-czerwonymi flagami. Byłem na dziesiątkach podobnych wieców – od Nowego Jorku przez Chicago do inauguracji Donalda Trumpa w Waszyngtonie na Pennsylvania Avenue – i nie da się tego nawet porównać. Poza tym wszyscy, których spotkałem, zachowywali się kulturalnie. Nie było przepychanek, agresji fizycznej, ludzie w przytłaczającej większości przyszli na manifestację patriotyczną, a nie na wiec ekstremistów. Francis Fukuyama, autor „Końca historii” i popularny na świecie myśliciel polityczny, stwierdził na swoim Twitterze, że mieliśmy do czynienia z agresywną manifestacją nacjonalistów. To ciekawe stwierdzenie z ust kogoś, kto właściwie w każdej swo-

jej próbie przewidzenia przyszłości i geopolityki poniósł porażkę, na marszu nie był i nie ma zielonego pojęcia, co się tam wydarzyło. Jednak gdy się pisze z własnej wieży z kości słoniowej, będąc klepanym po ramieniu przez elity tego świata, bardzo łatwo stworzyć własną wersję rzeczywistości, która pasuje do propagowanych tez, ale niestety nie pasuje do tego, co się faktycznie na świecie dzieje.

Zgodzisz się jednak, że mogliśmy obserwować transparenty i słyszeć okrzyki, których na marszu z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości być nie powinno? Mowa choćby o faszystującym włoskim ruchu Forza Nuova.

Faktycznie, było może kilkaset podobnych osób, manifestowali też ONR-owcy.

Powinni tam być?

W idealnym świecie ludzie podobnych poglądów przegraliby po prostu w walce na argumenty i idee. I to właśnie się dzieje, przecież ich obecność stanowiła absolutny margines marszu, podobnie jak wpływy polityczne. Na Ruch Narodowy głosuje ok. 1 proc. Polaków. Radykałowie zostali zdominowani i przytłoczeni przez patriotów, którzy chcieli zmanifestować przywiązanie do swojej ojczyzny.

Tymczasem z niereprezentatywnej grupy tworzy się obraz wszystkich 250 tys. uczestników, wzywając przy okazji do delegalizacji ONR. Nie tak się wygrywa w wolnym społeczeństwie. Jakies poglądy mogą mi nie pasować, ale nakładając restrykcje, jedynie czynimy je silniejszymi, ponieważ tego typu ludzie mogą się uważać za represjonowanych. Jeśli nie łamię się prawa, nie dokonuje aktów agresji, działa w granicach przyzwoitości, głosząc swoje postulaty – to żadna organizacja nie przeszkadza mi na ulicach 11 listopada. Edukacja, swobodna wymiana myśli, dialektyczny dyskurs – tak można budować prawdziwie wolne społeczeństwo, które z okazji odzyskania niepodległości pokazało w Warszawie, że ma ludzi z Forza Nuova w „głębokim poważaniu”.

To jednak oni zdominowali czołówki relacji medialnych.

Wiele z tych czołówek było napisanych jeszcze przed marszem. Bez znaczenia, kto by tam był – i tak usłyszeliśmy tę samą historię o groźnych ultranacjonalistach pałających żądzą zemsty na liberalnej i tolerancyjnej Unii i reszcie świata. Nie jestem w stanie zliczyć, ile podobnych „relacji” czytałem, w których ćwierć miliona osób zestawionych jest z neonazistami. W Warszawie nie spłonął ani jeden samochód, nikt nie ucierpiał, nie wybito ani jednej szyby, ulice były czyste. We Francji podczas Dnia Bastylli spalono prawie 850 aut, a Macron, który 11 listopada mówi o „nacjonalizmie jako zdradzie patriotyzmu”, odznacza hitlerowskiego kolaboranta, marszałka Pétaina, który wysyłał Żydów do komór gazowych. Dziwnym trafem nie te rzeczy zaprzątały uwagę mediów. Myślę, że to się komentuje samo. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

Wodzianka? **Fuj! Bez szans!**

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

No biedny ten Krzysiek. Biedny i niewinny. Jaki Krzysiek? No Rutkowski przecież. Najstłynniejszy polski detektyw, który według prawa w ogóle nie jest detektywem (ciekawostka taka).

Krzysiek jest połączeniem detektywa, którym – jak już mówiłem – oficjalnie nie jest, i celebryty, którym oficjalnie jest m.in. poprzez fryzurę, ale nie tylko, bo są przecież i okulary. Nieprawdopodobną posiada umiejętność brylowania w mediach, które niby patrzą na niego z dystansem, lekką kpina lub ciężką, ale informują o nim. I dzięki temu Krzysiek ugrywa swoje. Co ugrywa? Złecenia i pieniądze. Proste. Dobrze się dzięki temu żyje Krzyśkowi, co część ludzkości ma mu za złe. No bo jak? Jemu się żyje dobrze,

a części ludzkości żyje się niedobrze. Gdzie tu sprawiedliwość? Teraz Krzysiek ma pewne takie kłopoty związane z jakąś panią wodzianką, czyli z panią, która w show Kuby Wojewódzkiego podawała wodę gościom i dzięki temu opromieniła ją sława. Że niby Krzysiek miał z nią coś tego kilka razy plus et cetera. Że niby zdradził swoją piękną Maję, z którą ma pięknego syna.

Tymczasem Krzysiek jest po prostu miły dla kobiet. Wiem, bo znam go ćwierć wieku osobiście i widziałem po wielokroć, że jest miły dla kobiet. Po prostu jest miły całym sobą, aż się czasem nie może powstrzymać. Ja mu mówię: „Krzysiek, weź się powstrzymaj!”. A Krzysiek: „Sławciu, miłym trzeba być”. I tak nam wieczory schodziły.

Aha! Jeszcze mam taki dowód niezbity, że Krzysiek nic z tą panią wodzianką, w ogóle nic a nic. Co to za dowód? Otóż z Krzysztofem osobiście zjadłem oraz wypilem przez te lata niemało i w życiu nie widziałem, żeby pił wodę! W życiu! Może ma do picia wody awersję? No nie wiem, ale sami państwo rozumieją. Może schłodzona wodzianka miałaby cię szansy u Krzyśka. A wodzianka? Żadnej! Najmniejszej. Ręczę! Woda? W życiu! Fuj!

Byłem, byłem. No jak miałem nie być? Czytałem, czytałem. No jak miałem nie czytać? Oczywiście, oczywiście, że przypominał mi się „Matrix”. Jak miał się nie przypomnieć? Na Marszu Niepodległości byłem ze swoimi dziećmi.

Nawet byłem ciekaw tych faszystów, od których miało się tam roić. Nie widziałem jednak żadnego. Żadnego! Normalnie ani jednego faszysty nie widziałem. Nawet żadnych faszystowskich haseł nie słyszałem. Chociaż wcale nie ogłuchłem. Ludzie się cieszyli, byli dumni,

zadowoleni, trochę wzniosłości, trochę pikniku i duma z Polski, z naszych bohaterów, z naszej historii, z naszej wspólnoty. Siła, moc. Kiedy wróciłem do domu, przeczytałem urobek zachodnich baranków dziennikarstwa, że nad marszem unosił się jednak cień faszyzmu, szowinizmu i ogólna hańba się unosiła. Cóż, myślę sobie, że może tym pismakom na zamówienie musiały się mózgi unieść i nie wrócić do czaszek. Ale może do urobku mózgi nie są im potrzebne?

**Nawet byłem ciekaw
tych faszystów,
od których miało się
tam roić**

Każdy, kto był na marszu i czytał potem te obok stojące rzeczywistości relacje o rzekomym faszyzmie, już wie, jaki „Matrix” fundują nam media nienawidzące i bojące się polskości i polskiego patriotyzmu. Tyle że to na nic. Cała ciężka praca do kosza.

Z „Matrixa” pamiętam jeszcze cytate: „Pewne rzeczy się zmieniają, a inne nie”. Bardzo głęboka myśl. Przydatna. Skojarzyła mi się z Robertem Kubicą, który bodaj od pół wieku (tak dokładnie nie pamiętam od kiedy) po wypadku czeka na start w Formule 1. Z najnowszych informacji wynika, że w sezonie 2019 być może, a prawie chyba być może na pewno wręcz, wystartuje w zespole Williamsa. Wszyscy kibicujemy oczywiście, mając nadzieję, oczywiście. Tyle że od jego feralnego wypadku minęło siedem lat (o! przypomniałem sobie), a od jazdy w Formule 1 – osiem lat. Byłby to najbardziej niezwykły powrót w dziejach F1. Tak czy siak Jastrzęb trzyma, Robercie, kciuki! ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Miękkie prawo, ale prawo

RAFAŁ TRZASKOWSKI: *Jeżeli rząd powie tak: bierzemy za to pełną odpowiedzialność, zabezpieczamy marsz, jeżeli się pojawiają rasistowskie hasła, przychylimy się do wniosku miasta o rozwiązanie demonstracji, wtedy oczywiście nie ma żadnych podstaw, żeby a priori zakazać.*

Dwie sądowe instancje, które właśnie wypowiedziały się jednoznacznie na temat prewencyjnego zakazu Marszu Niepodległości, nie wystarczyły, żeby przyszedł prezydent Warszawy przyswoić sobie oczywistą i wielokrotnie już potwierdzaną w orzecznictwie zasadę, że wolność zgromadzeń nie może zostać przez władzę obywatelom odebrana tylko dlatego, że władza się ich boi. Niezrażony tegoroczną porażką obecnej prezydent Warszawy jej następca stawia więc warunki, pod jakimi za rok nie będzie robił problemu obywatelom chcącym skorzystać ze swoich praw. Warunkiem pierwszym jest wzięcie przez rząd pełnej odpowiedzialności za przebieg zgromadzenia, i tu jego wizja okazuje się zaskakująco zbieżna z wizją niektórych polityków PiS, którzy chętnie by upaństwowili Marsz Niepodległości. Ciekawe, że żadna ze stron nie bierze pod

uwagę teoretycznie możliwego przecież scenariusza, w którym za rok rządzić będzie Platforma. Czy PiS naprawdę chce, aby Marsz Niepodległości odbył się pod patronatem premiera Schetyny? Czy Rafał Trzaskowski jako warunek postawi wzięcie przez premiera Schetynę pełnej odpowiedzialności za jego przebieg? Dobrze byłoby, aby politycy zrobili sobie od czasu do czasu takie ćwiczenie intelektualne, zanim zaczną majstrować przy obywatelskich prawach i wolnościach.

Rafał Trzaskowski zapowiada rozwiązanie przyszłorocznego Marszu Niepodległości, jeśli tylko pojawią się rasistowskie transparenty. W 2010 r. sąd uniewinnił demonstrantów, którzy szli z transparentami: „Polska cała tylko biała”, bo uwierzył, że to był tylko wyraz ich miłości do Słowian. Uwierzył też, że nieco stylizowana swastyka nie była tym, czym prokurator myślał, że była, ale symbolem pradawnego słowiańskiego bóstwa solarnego. W 2013 r. inny sąd uniewinnił z kolei mężczyznę paradowającego w koszulce ze swastyką. Tłumaczył, że chciał tylko sprawdzić reakcję otoczenia, a sąd uznał, że przestępstwa nie popełnił, bo samo eksponowanie swastyki

nie jest propagowaniem faszyzmu. Decyzją jeszcze innego sądu falanga i krzyż celtycki są w Polsce legalnymi symbolami legalnie działających stronnictw, bo od lat nikt nie znalazł sposobu, aby je zdelegalizować. „Zapoznawszy się z przebiegiem Marszu Niepodległości, nie znajduję wystarczających argumentów za delegalizacją ONR czy Młodzieży Wszechpolskiej. To prawda – doszło do aktów przemocy. Ale czy odpowiadają za to organizatorzy, czy grupa osób będąca poza ich kontrolą? Czy jeśli przemocy dopuściliby się związkowcy, to ktokolwiek mówiłby o delegalizacji ich organizacji?” – tak Adam Bodnar kilka lat temu tłumaczył, dlaczego skuteczna delegalizacja partii czy organizacji po uważaniu nie jest łatwa, co więcej – wcale nie uważał, że to źle.

Jeśli mamy w przestrzeni publicznej problem z symboliką i hasłami, to pretensje o to możemy podzielić między ustawodawcę, który nie doprecyzował, czego nie wolno, i sądy, których orzecznictwo utrwaliło dość liberalne podejście do tego, co wolno. Na orzecznictwo politycy nie mają wpływu, ale pokażcie mi sensowne rozwiązanie prawne, które przez te lata zaproponowali. ©©

PODSŁUCHANE

Dalej spójrz

Grzegorz... Ja wiem, że ty może nie będziesz zadowolony, ale powiem ci szczerze – wzruszyłam się. Ja cię rozumiem, Kaśka. Ja właściwie też. Ta afera z Chrzanowskim naprawdę może nam przynieść wreszcie przełamanie.

Ale ja nie o tym przecież. Ile to już takich przełamań było i nic. Ja się wzruszyłam, jak Donald przemawiał.

A, ten...

Tak pięknie mówił o tej wspólnocie europejskiej, o niepodległości naszej, o Piłsudskim nawet coś tam było... Grzesiu, niech on wróci, a my tego Kaczora zgńeblimy!

Nie podzielam twego entuzjazmu...

Bo ty uprzedzony jesteś. Spójrz poza własny interes! Że co?!

No, w sensie: dalej spójrz. Donald to wizjoner, mąż stanu, prawdziwy mężczyzna!

Czy ty się z jakąś dziunią z liceum na lby mieniałaś?!

... przystojny taki, siłę taką w sobie ma...

Wydź mi stąd, bo e-maila muszę napisać!

... on nas poprowadzi, powiedzie, do zwycięstwa, Kaczora zdepcze, wszystko odwrócimy... No to ja wychodzę.

... dotknięty ręką boską, bolszewików przemoże i powiedzie przez morze! Amen. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Państwo PiS to rak. Albo naród wystąpi w wyborach w roli chirurga i ostrym cięciem usunie wszystkie nowotworowe komórki, albo rozejdą się po całym organizmie i doszczętnie go zniszczą”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



fot. Jerzy Gumowski

Grosz marnotrawny

Pomimo ciągłych zapewnień rządu, iż władza najczulej myśli o małych tudzież średnich przedsiębiorstwach — „real”, czyli rzeczywista praktyka, ma się do tej retoryki jak pięść do nosa. Nie zmieniają tego żadne, szumnie reklamowane, „konstytucje biznesu” (którym nie towarzyszy pakiet właściwych regulacji, konkretnych instrukcji, plus radykalne uproszczenie systemu podatkowego), czy przepisy tzw. „rozdzielonej płatności” („split payment”), ułatwiające życie fiskalnym biurokratom zamiast przedsiębiorcom. Andrzej Sadowski (prezydent Centrum im. Adama Smitha i członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP): „— Sytuacja mikro- i małych przedsiębiorców nie zmienia się jakościowo na lepsze” (2018). Tomasz Teluk (prezes Instytutu Globalizacji): „Rzeczywistość, w której funkcjonuje ponad 1,9 miliona małych przedsiębiorstw, w więc kilkanaście milionów Polaków (jeśli wliczyć pracowników oraz ich rodziny), wygląda dobrze tylko na czerwonym pasku w TVP. Najmniejsi nie mają dziś dobrej passy, a dla pana premiera Morawieckiego priorytetem są kwestie globalne” (2018). Janusz Piechocki (eksszef PSL, ekszastępca premiera rządu): „— Mamy teraz wzrost PKB między 4 a 5 procent rocznie, lecz mały i średni biznes tego nie czują. Nigdy nie widzieliśmy u nich takiej frustracji jak obecnie” (2018).

Sumując to co wyżej — można powiedzieć, że mały i średni polski biznes wciąż czekają na realne spełnienie obietnic PiS-u z kampanii wyborczej, że jeśli PiS wygra to władza przestanie traktować takie firmy po macoszemu i dobieże się do skóry wielkim cudzoziemskim korporacjom unikającym płacenia nad Wisłą podatków. Wiele z tych drugich odprowadza 100% zysków (ogromnych) do swych rodzimych państw, drobna część zostawia u nas (według danych Ministerstwa Finansów) ledwie 0,6% swych dochodów. Co tłumaczy dlaczego „megakorpo” tak chętnie inwestują w III RP, lecz to ma tyle wspólnego ze zdrowym „wolnym rynkiem” ile lincz z praworządnością. Am I right, mister Prime Minister?

Szerzej patrząc: jedna z głównych niesprawiedliwości tego świata polega właśnie na tym, że podatki muszą płacić „by the book” (według przepisów — co do grosza bądź centa) niezamożni i średniozamożni, zaś molochy międzynarodowe płacą tyle, ile chcą, czyli drobny ułamek tego, co płacić winny. Nadto one i prywatni milionerzy ukrywają dochody w „podatkowych rajach”, czego

gigantyczną skalę odsłoniła roku 2017 afera „Paradise Papers”. Frederik Obermaier („Süddeutsche Zeitung”): „Raje podatkowe to sztuka iluzji (...) Oszukiwanie ogółu obywateli, którzy grzecznie płacą podatki, jest wśród magnatów światowego rynku równie rozpowszechnione jak wśród iluzjonistów trik z przecinaną na pół panną” (2017).

Jednak wróćmy do rodzimego grajdołka. Oczywiście nie ja pierwszy podnoszę problem nierównoprawnego u nas traktowania drobnych i średnich lokalnych firm oraz megafirm. Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, żalił się Jarosławowi Kaczyńskiemu listem otwartym, że w Polsce dalej gnębiona jest pracująca krawcowa, „za to raj, taki sam jak za Platformy, mają korporacje, permanentnie wykazujące «straty» (...) A przecież obiecywaliście coś innego” (2016). Tomasz Walczak (redaktor „Super expressu”): „Zyskują na niskich podatkach tylko najbogatsi, którzy nie dość, że nie dają praktycznie nic państwu (czyli de facto nam wszystkim), to wcale nie wykorzystują zgromadzonego bogactwa, by inwestować w realną gospodarkę (w rozwój firm i związane z tym two-



Sebastian F. Klonowicz (XVI w.),
„O przyczynach waszego złego”:
„Gdy grosz trwonisz, zysku
nie ugonisz, własność
uroniś”



rzenie miejsc pracy). Zaoszczędzonymi na podatkach pieniędzmi spekulują na rynkach finansowych, co, po pierwsze, nie stanowi wartości dodanej dla naszych społeczeństw, a po drugie jedynie destabilizuje gospodarkę” (2016). Piotr Apel (poseł Kukiz’15): „— Prawo musi być tak skonstruowane, by nikogo nie można było faworyzować. Korporacje stosują triki przy niepłaceniu podatków. Czy to przez specjalne strefy ekonomiczne, czy przez państwowe dofinansowanie dla dużych firm, czy w końcu przez możliwość wyprowadzenia dochodów za granicę” (2017).

To finansowe kuglowanie, dzieło sztuki mistrzów (prawników i księgowych) megafirm, mocno uderza kraj, na którym one paśzują, zaś dalsze systemowe podtrzymywanie takiego stanu rzeczy byłoby po prostu akceptacją dla marnotrawienia grosza publicznego. Premier Morawiecki już VAT-owsko udowodnił, że chce i umie walczyć z marnotrawiącym fundusze publiczne łapownictwem tudzież złodziejstwem, niech więc teraz weźmie się za przekręty korporacyjnych bonzów. Zyski dla budżetu byłyby bez wątpienia dużo większe niż te ze zdyscyplinowania cwaniaków żonglujących lewy-

mi fakturami paliwowymi. A może w tę sarnacyjną (uzdrowicielską) akcję włączyliby się też pan Prezydent, który jest „de nomine” zwierzchnikiem państwa, i pan Prezes, który jest „ad usum” zwierzchnikiem państwa? Oni i premier Morawiecki winni także mocno wspierać zgłoszony przez Kukiz’15 projekt ustawy o obniżeniu PIT-u dla małych firm (z 19% do 15%), gdyż tego rodzaju decyzje przynoszą nie tylko obywatelom, lecz i budżetowi państwa duży zysk, co uodwodniono po obu stronach Oceanu Atlantyckiego (vide USA i Rumunia).

Premier Morawiecki został milionerem, bo dłuższy czas był bankierem. Przeciwnicy, którzy zwą go „banksterem”, twierdzą, że będzie bardzo pobłażliwy dla rozzuchwalonego środowiska bankierskiego (vulgo: że będzie tolerował „terror banków”), a zwolennicy, że odwrotnie: będzie repolonizował i dyscyplinował naszą bankowość. Oba te zabiegi są istotnie potrzebne — w takiej choćby, wielce przecież liberalnej Kanadzie, jak pisze Michael Taube na łamach „The Wall Street Journal”: „Jest prawie niemożliwe, by obywatelom mógł posiadać większość udziałów banku; tamtejszy sektor bankowy jest przeznaczony dla Kanadyjczyków mocą prawa” (2017). Również w Niemczech władze się z bankami nie pataczą. Zbigniew Wawak (wiceprezes Stowarzyszenia Chrześcijańsko-Narodowego): „— Niemiecki Bundestag uchwalił, że banki mają zwrócić ludziom co do grosza pieniądze utopione w polisolokatach. U nas robi się wielkie halo z 900 mln złotych sprzeniewierzonych przez Amber Gold — gdy tymczasem w polisolokatach ludzie stracili 50 mld złotych! Ale nasze władze nie odważyły się tknąć bankowych winowajców, bo podobno system bankowy okrutnie by się zemścił, banki przestałyby kupować obligacje, a to groziłoby kryzysem gospodarczym i politycznym” (2017).

Trzeba mieć też nadzieję, że pisowska „dobra zmiana” nie będzie dokonywała takich przerażających błędnych, marnotrawiących publiczny grosz inwestycji zagranicznych, jakich sporo było podczas rządów PO i PSL. Exemplum zakup kilku kanadyjskich spółek przez Orlen, czy inwestowanie przez PGNiG w ukraińską spółkę wydobywcą Dewon i wycofanie się (pod presją USA) przez PGNiG z rokującego duże zyski projektu irańskiego (Iranian Offshore Oil Company). Czy fatalny zakup przez Grupę Lotos udziałów w naftowym norweskim złożu Yme (Morze Północne). Czy cała seria dramatycznie błędnych inwestycji KGHM (Kanada, Chile, Kongo) — straty przekroczyły tu miliard dolarów. Szczęśliwie PiS doprowadziło do pierwszych zysków (po latach strat) z rafinerii Możejki (na Litwie), którą zwano wcześniej „najgorszą inwestycją zagraniczną III RP”. ©

Waldemar Łysiak

Jerzy Dudek

Jerzy Dudek

Technologie jutra

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Super Titanium™ jest hipoalergiczny, niezwykle lekki i zapewnia trwałość i wytrzymałość, którą można cieszyć się przez lata.



**Ti-IP SUPER
TITANIUM**

citizen.pl



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW